



MARIUSZ

CZUBAJ

PÓŁMISTRZ



W tej rozgrywce każdy zły ruch będzie śmiertelny

znak

MARIUSZ
CZUBAJ
PÓŁMISTRZ

Wydawnictwo Znak

Kraków 2023

„Żegluga z Gdyni do Buenos Aires nadzwyczaj
rozkoszna...”

Witold Gombrowicz, *Trans-Atlantyk*

„A więc pan rozumie – tylko tę jedną próbną partię,
próbna dla mnie samego, jedną, nie więcej”.

Stefan Zweig, *Nowela szachowa*

PROLOG

– Pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś, żeby zawsze myśleć trzy ruchy do przodu. A przynajmniej jeden.

Abramowski nie spodziewał się odpowiedzi.

Trudno oczekiwać jej od kogoś, kto ma zakneblowane usta.

Mężczyzna siedział na krześle z rękami przywiązanymi do oparcia. Miał skrępowane nogi. Na głowie potężnego siniaka. Gdy tylko wszedł do domu, w którym zwykł spędzać weekendy, został ogłuszony.

Abramowski zaplanował kilka posunięć. Zyskawszy pewność, że odnalazł tego, kogo szukał od wielu lat, zaczął go obserwować. Poznał rozkład dnia. Wiedział, w jakich restauracjach jada, w jakim winie gustuje, jak wysokie są napiwki, które zostawia. I o której godzinie gaśnie światło w jego oknach.

Uznał, że najlepszy będzie koniec tygodnia. Już w piątek rano tamten zwykł przyjeżdżać do domu nad jeziorem. Przez kolejne dwa dni łowił ryby. W niedzielę wracał do Buenos samochodem, wioząc kilka pstrągów.

Abramowski przybył w czwartek wynajętym autem. Spędził w nim noc. Czasy były niespokojne, mógł trafić na patrol policji, uznał jednak, że nic mu nie grozi. Powie, że przyjechał obejrzeć piękną okolicę i zgubił kluczyki. Był obcokrajowcem, zbliżał się do sześćdziesiątki, raczej budził sympatię niż podejrzewania. Nikt by go nie przeszukiwał. W najgorszym razie odwieźliby go do miasta.

Z samego rana dostał się do domu. Był to nierzucający się w oczy, otynkowany na biało budynek. Bez szczególnych zabezpieczeń i skomplikowanych alarmów.

Potem już tylko obserwował drogę. I czekał.

Mężczyzna żył samotnie. Dopiero w poniedziałek, gdy nie pojawi się w pracy i nie da znaku życia przełożonym, wzbudzi to niepokój. Zanim odnajdą ciało, może zrobić się wtorek. On będzie już wtedy u siebie. Na innym kontynencie. Życie będzie toczyło się nudnym, niespiesznym rytmem.

– Pomyśleć, że tyle lat minęło – mruknął. – Tyle czasu, że przestałem traktować tę sprawę jako osobistą. Myśl o tym tak samo. To po prostu jest wyrok. Nic więcej.

Podszedł do okna i je zamknął. Zaciągnął zasłony. Zastanawiał się, czy echo wystrzału będzie się niosło po jeziorze, lecz uznał, że na takie ryzyko może sobie pozwolić.

ROZDZIAŁ 1

– Zawsze trzeba myśleć trzy ruchy do przodu. A przynajmniej jeden. To bardzo przydaje się w życiu.

Edward Abramowski drgnął. Dopiero teraz spostrzegł, że nie stoi sam przy barierce. Ostatnią godzinę spędził na górnym pokładzie motorowca pasażersko-towarowego dumnie nazwanego „Przyszłość”, transatlantyku o wyporności piętnastu tysięcy ton, obserwując podróżnych zmierzających w stronę trapu. Pasażerowie zajmujący kajuty najwyższej klasy, tylko ci go tym razem interesowali, mieli osobne wejście na statek. Podróżujących klasą trzecią ustawiono w długi ogonek na nabrzeżu, gdzie cierpliwie czekali, żeby się zaokrętować. Odprawa pasażerów klasy pierwszej była uproszczona, trwała krócej, i może dlatego wielu przybywało w ostatniej chwili, wywołując niemałe zamieszanie. Na najniższym pokładzie, wypełnionym pryczami i pozbawionym wygod, znajdowały się miejsca dla tych, którzy byli sercem ruchu wychodźczego do obu Ameryk. Zwykle transportowano ich pociągiem z obozu emigracyjnego w Wejherowie na Dworzec Morski w Gdyni, potem poddawano żmudnej kontroli biletowej, bagażowej i celnej, a także badaniom lekarskim, które potrafiły się ciągnąć w nieskończoność. Tym razem jednak, z powodów Abramowskiemu nieznanym, statek nie przewoził emigrantów.

Zanim wszedł na pokład, przespacerował się nabrzeżem wzdłuż stosześćdziesięciometrowego kolosa. Zadarł głowę i przypatrywał się pokładom ponumerowanym od A do D, wyobrażając sobie rozkład kabin i pomieszczeń i zastanawiając się, w którym miejscu znajduje się jego kajuta. Wiedział, że

najbliższe trzy tygodnie spędzi na samej górze statku, chyba że jakieś specjalne względy sprawią inaczej.

Była sierpniowa sobota tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Upał był niemiłosierny, niebo czyste, a biało-czerwone flagi, od których roło się w porcie, zwisały niemal nieruchomo. Na tarasie Dworca Morskiego kłębiły się rodziny i znajomi odpływających, na nabrzeżu było równie tłoczno – wiele par, nie zważając na innych, czule się obejmowało, fotografowie pracownicy robili pamiątkowe zdjęcia. Wokół samochodów stali znudzeni szoferzy, rozmawiali i ćmili papierosy. Orkiestra grała marsze na przemian z ognistymi tangami, jakby chciała w ten sposób określić kierunek rejsu. Gdy milkła muzyka, z megafonów płynęły komunikaty. A to ktoś chciał się pożegnać w ostatniej chwili, a to zaopiekowano się zagubionym dzieckiem albo odnaleziono walizkę. Kurierzy i tragarze poruszali się pośród mas ludzkich z godną podziwu wprawą, torując drogę podróżnym. Niektórzy żegnali się z odpływającymi z wody, więc wokół transatlantyku, niczym plankton wokół wieloryba, krążyły łódki i stateczki wynajmowane za drobną opłatą. Muzycy niespodziewanie zagrali *Tę ostatnią niedzielę*, odezwał się baryton udanie naśladujący Mieczysława Fogga, a nadmorscy słuchacze, jakby byli w znowie, sięgnęli po chusteczki. Abramowski widział te sceny nie pierwszy raz. Niby wszystko było jak zwykle, gdy statek wypływał, niektórzy wybierali się w rejs życia po przygodę, inni, ci na ogół stanowili zdecydowaną większość, żegnali na zawsze ojczyznę, ale czuł, że tym razem jest jakoś inaczej. Jakoś podnioślej, ciężiej i wręcz przygnębiająco. To z pewnością kwestia upału, pomyślał.

Wachlował się folderem reklamującym spółkę Gdynia–America Line. Litery GAL z wkomponowanym w nie trójzębem, rysunek statku z banderą i hasło „W duchu teraźniejszości”. Abramowskiego głównie interesowała przyszłość, choćby ta niezbyt odległa. W piątek, za niecałe trzy tygodnie, to będzie już na początku września, dopłyną do Buenos Aires. Chyba że uda mu się załatwić to, co planował, wcześniej i zejdzie na ląd w Dakarze. Potem, przez kolejny tydzień, będą pośrodku oceanu, zanim dotrą do Rio. A na końcu tej drogi Argentyna, z którą łączyły go nie

najlepsze wspomnienia. Może zdarzyć się też tak, że cały zamysł spali na panewce, nie wydarzy się nic, a on odhaczy rejs jak zwykły turysta i wróci do kraju, gdy jesień będzie w rozkwicie. Tyle że taka bezproduktywna wyprawa nie rozwiąże żadnych problemów. Raczej je pomnoży. Nie wiadomo, jak będzie. W ogóle niewiele wiadomo. Tym bardziej warto było od razu przyjrzeć się towarzyszom podróży i nie tracić czasu.

Szczególnie uważnie powinien przypatrywać się mężczyznom, ale kobiety również musiał brać pod uwagę. Czemu nie miałyby być to kobiety? Albo dwie. Tak jak te, które właśnie kierowały się w stronę trapu. Niższa, blondynka z fryzurą na chłopczycę, w sukience w orientalne wzory i lekkim kremowym sweterku bez rękawów, jakby przyjechała tu wprost z kortu tenisowego, za to wyższa, o nieco niezgrabnych ruchach, cała w czerni, w sukni do ziemi i woalce. Z czarnym, a jakże, wachlarzem w ręce. Przed nimi maluteńki tragarz z walizami i sakwożażami z jasnej skóry. Było widać, że się spieszą, choć do wyjścia z portu zostało jeszcze trochę czasu. I najpewniej ten pośpiech stał się przyczyną katastrofy. Kobieta w czerni potknęła się i runęła na tragarza, który szczęśliwie zamortyzował jej upadek. Bagaze spadły z wózka i rozsypały się po nabrzeżu. Tenisistka krzyknęła. Tragarz podniósł się z trudem i rozcierał obolałe miejsca. Natychmiast otoczył ich tłum ciekawskich, od razu znalazło się też kilka pomocnych dłoni. Scena jak z komedii. Abramowski patrzył na nią z zainteresowaniem, nawet jakaś myśl przebiegła mu przez głowę, nie, nie myśl, ledwie namiastka skojarzenia, nim jednak zdążyła się wyklarować, rozwiął ją męski głos.

– Zawsze trzeba myśleć trzy ruchy do przodu. A przynajmniej jeden. To bardzo przydaje się w życiu.

Zdania wypowiedziane zostały łamaną polszczyzną.

Abramowski spojrział na mężczyznę. Wiek trudny do określenia, równie dobrze mógł mieć lat czterdzieści albo być znacznie starszy. Okrągłą łysą głowę pokrywały kropelki potu, na nosie tkwiły binokle, policzki były starannie wygolone i czerwone. Jasna angielska kamizelka opinała korpulentną sylwetkę. Sińce pod

oczami mogły świadczyć o tym, że albo na coś chorował, albo przynajmniej prowadził niezbyt zdrowy tryb życia.

– Gdyby przyjechały wcześniej, nie musiałyby się spieszyć. To raz. – Mężczyzna uniósł palec. Miał małe dłonie. – Gdyby ubrała się inaczej, nie potknęłyby się. To dwa. Gdyby nie ta woalka, widziałyby lepiej. – Odruchowo poprawił binokle. – To trzy. *N'est-ce pas?*

– *Bien sûr, monsieur* – odpowiedział Abramowski.

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową.

– Ciekawe, co je łączy. – Uznał, że może mówić po francusku. – Niech pan spojrzy. Jedna na biało, druga na czarno. Zabawne. Zupełnie jak... Ta wyższa jest na pewno starsza. To ciotka tej pani, która jest zresztą niczego sobie. Myśli pan, że będzie z nami podróżowało wiele atrakcyjnych kobiet?

Abramowski bezradnie rozłożył ręce.

– Byle nie było dzieci – zastrzegł mężczyzna. – Są hałaśliwe i rozpraszają uwagę. Zwierzęta mogą być, nie przeszkadzają mi. Ale dzieci są zmorą. A tamta, mówię panu, to ciotka. Założymy się?

– Myślę, że nie jest ciotką. O co chce się pan założyć?

– Ustalimy to później. – Mężczyzna zatarł dłonie. – Gdy już wygram zakład. – Roześmiał się. Wyjął z marynarki srebrną papierošnicę inkrustowaną literami „ST”. – Zapali pan? – Abramowski sięgnął po papierosa i podziękował. – O, o tego tam też moglibyśmy się założyć. Wygląda na ciekawego typa.

Przy wejściu na pokład stał trzydziestolatek z modnym przedziałkiem niemal pośrodku głowy. Atrakcyjną twarz zdobiły lub, wedle uznania, szpeciły odstające uszy. Podróżny nerwowo przeszukiwał kieszenie.

– No nie ma. Nigdzie nie ma. Mówili mi, że bym uważał, bo w Gdyni roi się od kieszonkowców – dobiegł z dołu żalosny dyszkant. – A ja tyle razy sprawdzałem, klepałem się po kieszeni, pewno zupełnie niepotrzebnie, ktoś musiał to zauważyć... A może przełożyłem do bagażu. – Odwrócił się w stronę tragarza z walizkami, a potem zaczął wykonywać wokół niego kółka.

– O tego nie musimy się zakładać – powiedział Abramowski. – Tak się składa, że wiem, co to za jeden. To pisarz. Nazywa się Gombrowicz.

– Gombrowicz? – Mężczyzna pokręcił głową. – Nie słyszałem o takim.

– Rok temu... nie, trochę więcej niż rok, wydał powieść, o której było dość głośno.

– Dobry?

Abramowski zastanowił się.

– Czy dobry? Bo ja wiem... Dziwny. To na pewno.

– Jak ten – mężczyzna pstrykał palcami – ten... Witkacy?

– Tak, też niezły oryginał, tylko chyba inaczej, mistrzu Savielly – zaakcentował ostatnie dwa słowa i spojrzał na rozmówcę.

Mężczyzna zamrugał. Przez chwilę był zaskoczony, potem jednak jego twarz przeciął uśmiech.

Polechtałem jego próżność, pomyślał Abramowski.

– A więc mnie też pan zna?

Potrafiłby odtworzyć z pamięci kilka partii słynnego Savielly'ego Tartakowera. Dziesięć lat temu mógłby mierzyć się z samym Alechinem o mistrzostwo świata, grał jak równy z równym z Capablancą, teraz najlepsze lata miał już chyba za sobą, ale nadal szchwany lis nie powiedział ostatniego słowa. No i trudno było wyobrazić sobie polską drużynę olimpijską bez tego człowieka. Urodził się w Rosji, mieszkał chyba w Paryżu i nigdy nie nauczył się dobrze mówić po polsku, co skrupulatnie wytykała mu prawicowa prasa. Próbował sobie przypomnieć, co pisał o nim i innych żydowskich szachistach Zbyszewski. Jak to szło? „Szkaradny to widok: brodaci pejsacze w chałatach, myckach, z białymi orłami na piersiach”.

– Znam także parę pańskich szachowych powiedzonek. – Abramowski strzepał popiół. – Partia szachów jest zwykle opowieścią o tysiącu jeden omyłkach. To chyba lubię najbardziej. O, niech pan spojrzy, Gombrowicz znalazł, zdaje się, pugilares.

Patrzyli w dół i słuchali piskliwej mowy dziękczynnej wygłaszanej przez pisarza, który we wzniesionej ręce dzierżył portfel. Orkiestra odegrała hymn państwowy i na dobre zamilkła. Gdzieś nad nimi skrzeczało morskie ptactwo.

– Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska – szachista przerwał milczenie.

– Nazywam się Edward Abramowski. Jestem... filozofem. Zajmuję się teorią prawdy. I przemocy...

Tartakower spojrzał na niego zdziwiony.

– Teorią przemocy? To w dzisiejszych czasach ma pan pole do popisu.

– Obawiam się, że miałbym je zawsze. Zmieniają się tylko jej formy. Istota pozostaje ta sama. – Uznał, że trzeba zmienić temat. To on miał sondować ludzi, nie zaś oni jego.

– Wygramy? – zapytał.

Tartakower zdjął binokle i potarł nasadę nosa.

– Pyta pan o olimpiadę w Buenos czy tak ogólnie? Bo szachy to chyba teraz najmniejszy problem... Wróble ćwierkają, że lada moment podpiszemy z Anglikami układ o pomocy wojskowej. Tak słyszałem z dobrych ust w Paryżu... Dziś, zdaje się, delegacje wojskowe spotykają się z Sowietami. Jest jeszcze szansa, że wszystko skończy się uzgodnionym remisem, że tak powiem...

Otarł pot z czoła chusteczką, wytarł w nią też dłonie.

– Myślałem, że Najdorf wyściubi tu swój wielki nos, ale on pewno siedzi w kabinie i analizuje te przekłete końcówki. Też udam się do swoich spraw.

Spojrzał na Abramowskiego.

– Swoją drogą, tkwi pan tu w tym upale... Godne podziwu, bo ja nie daję rady. Zupełnie jakby pan kogoś wypatrywał. – Odłonił w uśmiechu żółte zęby. – I proszę pamiętać: myślimy przynajmniej jeden ruch do przodu.

Uklonił się nieco teatralnie, odwrócił i poszedł.

Edward Abramowski westchnął. Wyjął z kieszonki zegarek i spojrzał na cyferblat. Niebawem syrena okrętowa odezwie się trzykrotnie i wypłyną. Ostatni

raz spojrzął na Dworzec Morski i zszedł z pokładu.

Transatlantyk był gotowy do rejsu. Urządzenia termowentylacyjne zainstalowane w kabinach i salonach klasy pierwszej już działały, niosąc przyjemny chłód. Przez chwilę kusiło go, by wskoczyć do wanny, nigdy wcześniej w takich luksusowych warunkach nie płynął, ale ostatecznie tylko zdjął marynarkę, rozpiął koszulę i przepłukał twarz zimną wodą. Popatrzył w lustro nad umywalką. Krople spływały po brodzie, na której siwe pasma ostatecznie wygrywały z czernią.

Ktoś kiedyś mu powiedział, że śmierć złożyła na jego twarzy podpisy. Uznał to wtedy za dość słabą młodopolską poezję, ale porównanie nie było jednak całkiem niedorzeczne. Pokażna blizna nad prawą brwią. Druga na lewym policzku, maskowana brodą. I ta trzecia, najdłuższa. Na całej szerokości szyi, skrzętnie ukrywana pod koszulą i krawatem.

Podszedł do szafy i wyjął sakwojaż. Postawił go na sofie. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie o dwóch kobietach, tej w bieli i tej w czerni, oraz o niejasnym skojarzeniu, które rozproszył swoim przybyciem Savielly Tartakower. Pokręcił głową. Nie, ta asocjacja była pewnie jakimś zwidem, zresztą i tak nie miało to znaczenia. Było, minęło. Za to w sakwojażu znajdował się konkret. Rozchylił torbę i z bocznej kieszeni wyjął białą kopertę.

Otworzył ją.

Wpatrywał się w zdjęcie zrobione wiele lat temu. Dwóch młodych, uśmiechniętych mężczyzn na łódce. Obaj trzymają wiosła. Jeden słusznej postury, za to drugi chudy jak szczapa. Obaj o zdumiewająco podobnych rysach. Gdzieś w oddali przepływa stateczek, a z komina unosi się szlaczek dymu.

Nigdy nie był przesądny, tym razem uznał jednak, że zabierze tę fotografię, żeby pomogła mu, gdy zwątpi. I żeby przyniosła szczęście.

Uśmiechnął się, a w grymasie tym było więcej smutku niż radości.

Odłożył zdjęcie i z dna sakwojażu wydobył zawiniątko. Odwinął szmatę, a potem jeszcze jedną, nasączoną oliwą.

Beretta model 1935, jednorzędowy magazynek, siedem naboí. Prawdopodobnie w zupełności wystarczy jeden, a najlepiej, jeśli w ogóle nie okaże się potrzebny. Pistolet to jednak ostateczność. Przyjaciół, ale zbyt hałaśliwy. Pewne sprawy należy załatwiać dyskretnie i po cichu. Podszedł do sekretarzyka i wsunął berettę do szuflady. Kopertę ze zdjęciem położył obok. Klucz schował do kieszeni.

Stanąwszy na pokładzie, przypatrzył się kilkunastu podróżnym, ale żadna z tych osób nie wywołała w nim poruszenia. Liczył na pewną dozę intuicji. Na jakiś znak, iluminację, które okażą się pomocną wskazówką. Przynajmniej jakimś punktem zaczepienia. Nic takiego jednak się nie stało.

Raz jeszcze pomyślał o Tartakowerze. Szachista miał rację. Każdy powinien skupić się na swoich sprawach.

ROZDZIAŁ 2

Przez pierwsze dwa, a właściwie trzy dni działo się niewiele.

Wszystko musi nabrać swego życiowego pędu.

Pasażerowie, nawet ci, dla których rejsy przez Atlantyk nie były pierwszozną, sprawiali wrażenie uśpionych. Ich ruchy zdawały się trochę niepewne i jakby spowolnione, a spojrzenia błędzące, nieobecne i nieskore do nawiązywania znajomości. Abramowski poznał w tym czasie rozkład kabin na pokładzie łodziowym, przyjrzał się rozmieszczonym po bokach szalupom ratunkowym, przespacerował wzdłuż i wszerz promenadą, a raz zszedł nawet do ładowni i stwierdził, że stalowe drzwi są starannie zabezpieczone i przypominają skarbiec sejfu. Porównanie to nie było niedorzeczne. Widmo wojny sprawiało, że wielu podróżnych wyruszyło w rejs z kosztownościami, których w innej sytuacji by ze sobą nie wzięli.

W niedzielę transatlantyk zabrał pasażerów z Kiel-Holtenau, a dzień później przybił do Boulogne-sur-Mer. Kolejny port, już poza Europą, mieli osiągnąć równo po tygodniu, w następny poniedziałek. I znów, tak jak w Gdyni, Edward Abramowski stał długo na pomoście i przypatrywał się nowo przybyłym; taksował ich wzrokiem, poddawał ocenie, jednych zapisywał w pamięci, innych wyrzucał z niej od razu.

Niektórych chętnie posłałby za burtę. Na przykład czteroosobową rodzinę Frybergów, z którymi, jak się okazało, miał dzielić stół podczas posiłków. Zacząłby od głowy rodziny, sapiącego grubasa ostentacyjnie podkreślającego swoją wyższość nad światem, potem to samo zrobiłby z jego nieco zahukaną i teatralnie przewracającą oczami żoną. Następnie pozbyłby się dzieci – chłopczyka

w granatowym stroju marynarskim z białymi paskami oraz dziewczynki w białym marynarskim ubranku z dodatkiem granatu. Malec miał na oku czarną przepaskę pirata i drewnianą szpadę, którą próbował nakładać sobie jedzenie. Ponura dziewczynka była starsza, miała pewnie z osiem lat i nie rozstawała się ze szrajerką, którą nazywała Shirley. Abramowski dość rzadko miał okazję przebywać w towarzystwie dzieci, ale widział już kiedyś podobną lalkę. Tylko tamta miała twarz złośliwego Mongoła, facjata tej zaś zdumiewająco przywodziła na myśl młodocianą gwiazdę amerykańskiego kina. Małego pirata letarg nie dotyczył i wszędzie było go pełno. Szczególnie upodobał sobie stoliki, na których stały szachownice, i przeciskał się między nogami graczy. Raz niefortunnie machnął szpadą przed nosem samego Tartakowera i zmiotł wszystkie bierki. Na nic były płacze i krzyki – od tej chwili chłopiec miał zakaz zbliżania się do szachowych stolików.

W Niemczech do stołu w jadalni dosiadło się małżeństwo Pedersenów. Tyczkowanego Duńczyka, przedstawiciela skandynawskiej finansjery, którego rysy skojarzyły się Abramowskiemu z obliczami świętych ascetów, dopadały ataki kaszlu, a kakofonia dobywająca się z jego płuc przypominała koszmarnie rozstrojone organy w połączeniu z górską lawiną. W takich chwilach żona chwytiała go za rękę i z pewnością nie był to czuły uścisk. Wpatrywała się weń takim wzrokiem, jakim treser taksuje dzikie zwierzę.

Abramowski poprzysiągł sobie, że rozmówi się z intendentem, figurą na takim statku równą kapitanowi, a dla podróżujących jeszcze ważniejszą, i poprosi o zmianę stołu. Pod dowolnym pretekstem. Gdyby miał podać powód prawdziwy, mógłby zacytować Michaiła Bakunina i oznajmić, że chce pozostać „jednostką niewidocznie ukrytą”. Tymczasem oczy wszystkich zwracały się w stronę Frybergów i Pedersenów, niesforenego chłopczyka i suchotnika, a on obrywał rykoszetem tych spojrzeń. To ostatnia rzecz, jakiej oczekuje człowiek, który pragnie pozostać w cieniu, a najchętniej założyłby czapkę niewidkę.

Na transatlantyku od razu odnaleźli się szachiści. Na tylnej werandzie ich pojedyńkom przypatrywał się z ogromnych gobelinów polski lud w odświętnych

strojach. W barze amerykańskim partiom przyglądały się płaskorzeźby roześmianych Murzynek. W palarni szachistów dopingowały wyryte w linoleum znaki zodiaku i tajemnicza kobieca głowa na kominku. Środkowa część sufitu podzielona była na trzydzieści dwa kwadratowe kasetony, w które wmontowano płaskie lampy. Abramowski pomyślał, że gdyby było ich dwa razy więcej, mistrzowie graliby także tam. A tak piony i figury przesuwają się po szachownicach, zegary tykały, ich chorągiewki zaś nieubłaganie spadały, oznajmiając klęskę któremuś z graczy. Zorientował się, że olimpijczycy rozgrywali głównie partie błyskawiczne, a gdy do końca zostawały sekundy, wykonywali ruchy w zawrotnym tempie, drżącymi rękami i z wypiekami na twarzy, czasem nawet roztrącając bierki. Nie grali raczej o żadną stawkę, najwyżej o kolejkę w barze, a jednak były to pojedynki na śmierć i życie.

Wokół zawodników zbierały się kilkusobowe grupki i on też, nie mogąc oprzeć się pokusie, podszedł do szachownicy i patrzył na grę Tartakowera i Frydmana, a raz nawet, po zakończonej partii, wymuszyła mu się uwaga, która na tyle zainteresowała obu szachistów, że zaczęli analizować podsunęty wariant. To był jeden jedyny raz – o raz za dużo – gdy dał się ponieść szachowym emocjom i w nich się niemal zatracił. Obiecał sobie, że więcej tego nie robi. Jedyny sposób był taki, żeby trzymać się od szachów z daleka.

W poniedziałek po obiedzie znów pospacerował po pokładzie, sto pięćdziesiąt kroków od dziobu ku rufie i tyle samo w drugą stronę, zajrzał do opustoszałego basenu na pokładzie „D”, a w sąsiadującej z nim sali gimnastycznej, upewniwszy się, że nikt go nie widzi, kilka razy uderzył w bokserski worek prostymi i sierpami. Nigdy nie był szczególnie dobry w walce na pięści, ale i te skromne umiejętności, które posiadał, kilka razy w życiu mu się przydały. Równie ważny jak siła i technika był dar przewidywania, a tego mu nie brakowało.

Wrócił na górę, wszedł do biblioteki i zaczął wertować książki. Dwa sporych rozmiarów regały były wypełnione tylko częściowo. Kilka romansów, kryminały, Kraszewski, Sienkiewicz. Coś o kulcie Świętego Wojciecha, książka wychwalająca rządy sanacji, folder o budowie Centralnego Okręgu Przemysłowego. Zbiór

opowiadań o Sherlocku Holmesie, tyle że po niemiecku. Angielskie wydanie *Wyspy skarbów* Stevenson'a i *Śmierci na Nilu* Agathy Christie. Victor Hugo w oryginale. W sumie raczej oczywistości... i nagle niespodzianka. *Zazdrość i medycyna* Michała Choromańskiego. Słyszał o tej powieści. W pierwszej chwili chciał ją wziąć do kabiny, ale rozmyślił się. Nie, nie ma potrzeby. Nikt raczej po to nie sięgnie. A jeśli najdzie go ochota, to po nią wróci. O ile będzie miał sposobność. Ostatecznie nie znalazł się tu, żeby odrabiać zaległości czytelnicze.

Wszedł do palarni, w której tym razem szachistów nie było. Siedział tam tylko jeden, pochylony nad książką, mężczyzna. Abramowski już chciał się wycofać, ale tamten uniósł głowę i uśmiechnął się. Odłożył książkę. A potem wykonał gest, jakim przyzywa się dobrego znajomego albo kelnera.

– Proszę się poczęstować. – Gombrowicz sięgnął po papierośnicę. – Cabinety. Tureckie.

– Dziękuję, wołę moje. – Abramowski wyjął paczkę z kieszeni. – Sfinksy. Polskie. W ogóle dziwne te nasze papierosy: Sfinksy, Nil, Egipskie...

– Zaraz do tego wrócimy. – Pisarz uniósł wskazujący palec. – Do tej polskości, znaczy. Ale najpierw proszę powiedzieć, jak się pan czuje. – Nie czekał na odpowiedź. – Bo ja, widzi pan, wczoraj jakiejś gorączki dostałem, myślę, że to na skutek emocji przedwyjazdowych, a dziś, patrzę, i jakaś wysypka na ciele, o tu, na ramionach i szyi, i niżej, ale to nieważne gdzie, i myślę, że to może być od wody. I tak się zastanawiam, czy to nie zwiastuje większych kłopotów, gastrycznych, dajmy na to, bo ja mam wrażliwy żołądek, oj, bardzo wrażliwy, i chętnie kiedyś panu o tym opowiem. Ale co tam, zostawmy to. Wie pan, że razem z nami płynie ksiądz? Nie uwierzy pan, jak się nazywa. W ogóle jak płyną na statku zwierzęta, to szczęście podobno przynosi, ale ksiądz? Sam nie wiem. Moim zdaniem nie wróży to nic dobrego.

Trudno mu było przerwać, chociaż Abramowskiego nie bardzo martwił słowotok rozmówcy. Gombrowicz trajkotał, kreśląc papierosem kółka w powietrzu. Skojarzył się Abramowskiemu z natrętnym owadem. Popiół spadał na stół i podłogę. A duchownego oczywiście, że zauważył, gdy ten wsiadał na statek

w Gdyni. Zwalista postać w sutannie, po której spodziewał się sapania i zadyszki, nadzwyczaj sprawnie dostała się na pokład. Na dodatek kapłan sam niósł swoje bagaże. Gdy odpływali, stał na pokładzie i szeptał słowa jakiejś modlitwy.

– Więc on się nazywa Piotr... Marek...

– To znaczy jak? Piotr czy Marek?

– Ksiądz Piotr Marek.

Abramowski uśmiechnął się.

– Idealna synteza polskiego księdza. Jakąż wewnętrzną walkę musi ze sobą prowadzić.

Od razu pożałował tych słów. Znowu dwa zdania i o dwa za dużo.

Gombrowicz cienko zachichotał i plasnął dłonią w udo.

– Doskonale powiedziane. Doskonale... No więc dopadłem tego księżulka zaraz po śniadaniu i mówię mu same bezceństwa. Że słowa „chuj” i „choinka” mają wspólne pochodzenie. Wiedział pan? Że słowo „zefir”, bóg grecki i ucieleśnienie wiatru zachodniego, jest spokrewnione z czasownikiem „jebać”. Że *fascinatio* pochodzi od skrzydlatego fallusa. A on, czerwieniutki, zasłania uszy, nie, nie, szepcze: „Po co mi pan to mówi?”, i łyp!, łypie tym okiem czerwonym w bok, jakby szukał pomocy. No właśnie – Gombrowicz wycelował palec w rozmówcę – wie pan, dlaczego to robiłem?

Abramowski wzruszył ramionami.

– Widzi pan – pisarz sięgnął po kolejnego papierosa – płynę z tymi dzikusami, szachistami znaczy, do Argentyny, bo mają tam mieć jakieś arcyważne rozgrywki. Mam napisać o nich reportaż. Ale zanim tam dopłynę... – Zawiesił głos, a potem głęboko westchnął. – Zanim to się stanie, przeżyję chwilę istnej rozkoszy. Będę tylko między oceanem a niebem. Między skończonością, ale właściwie nieskończoną, i czymś całkiem bez granic. – Wskazał palcem obraz wiszący nad kominkiem. – To tak, jakby wyciąć tych góralskich grajków i pozostawić samą gołą ramę. I to jest nasza szansa. Rozumie pan?

– Chyba nie bardzo.

Gombrowicz westchnął.

– Mamy wreszcie, tu i teraz, pośrodku tych straszliwych fal, niepowtarzalną szansę, żeby się z tego wszystkiego wykaraskać. Wywikłać. Urodzić na nowo. Widzi pan, jestem polskim pisarzem, ale niczego tak nie pragnę, jak uchylić się Polsce... Wzbić się ponad. Całkowicie odpolaczyć. Porzucić to jak jakiś zgubny nałóg. A książdź? On też może wreszcie opuścić swoją formę, przestać grać w tę grę z Panem Bogiem, z Polakiem-katolikiem i stać się po prostu człowiekiem. Każdy może. Pan... Czym się pan zajmuje?

Abramowski milczał.

– Nieważne zresztą czym... Pan też może pozbyć się tej skorupy przymusów. Był pan kiedyś w Paryżu?

Abramowski zaprzeczył.

– Chodzi mi o to, że każda kobieta, która przyjeżdża do Paryża, od razu chce być uważana za paryżankę. Nie zna języka, a z miejsca kleci te powiedzonka po francusku. I ta ze Stanisławowa, i nawet taka z Nowego Jorku. Paryżanka. Każda się temu poddaje. Siła przymusu jest przytłaczająca. I ona nas zżera...

– Tych na dole też? – Znowu mu się wyrwało, ale było już za późno.

Gombrowicz zamrugął.

– Na jakim dole? Tych w klasie trzeciej?

– Nie, tych na samym dole. Na pryczach. Akurat tym razem z nami nie płyną, ale przecież by mogli. Więc im także mówiłby pan o sile przymusu?

– Ich też zżera. – Pisarz wydmuchał dym i skrzywił się. – Bardziej, niż się panu zdaje. To przymus do kwadratu. Daj pan spokój z tymi pryczami! To nic nie zmienia. Nie bądź pan taki Zola. – Sięgnął po książkę i podniósł się z fotela.

Abramowski również wstał.

– O, proszę zobaczyć, co zabrałem w podróż. Stanisław Wotowski. *Czarny adept*. Żaden Proust, Joyce czy Dostojewski. A pierwszorzędne! Bo niczego nie udaje, nie obiecuje. Durne i piękne zarazem. Okultyzm, sekty, szatan, seks.

Literatura klasy czwartej, a zarazem pierwszej wody. Muszę to księżulkowi podsunąć. – Zachichotał. – W ogóle miło się z panem rozmawia.

Abramowski zdziwił się.

– Tak?

– A wie pan dlaczego? Bo ludzie udają zwykle mądrych, chociaż tacy nie są. A pan struga durnia, chociaż nim nie jest. Raczej nie jest – poprawił się. – Milczy pan, słucha, chodzi to tu, to tam... Widziałem... Bystry pan jest. A ja znam się na ludziach.

Uklonił się i wyszedł.

Abramowski chwilę trwał bez ruchu. W końcu podszedł do kominka z czarnego marmuru i wpatrzył się w rzeźbę kobiecej głowy. Była niemym świadkiem toczonych tutaj rozmów. Oboje, ona i on, byli powiernikami licznych tajemnic.

Wyszedł z palarni, przeszedł przez hall i skierował się ku schodom. Myślał o rozmowie z pisarzem. Nie wszyscy muszą o wszystkim wiedzieć. Paryż... Spędził w nim bite dwa lata, a później pojechał tam jeszcze raz. Miał schodzony każdy bulwar. O każdej porze dnia i nocy. Bywał pod lepszymi adresami i w zapadłych spelunkach. Gdzieś, do diabła, musiał się nauczyć dobrze tego francuskiego. Stanisław Wotowski? Przypomniawszy sobie zażywną postać. Był nie tylko pisarzem, lecz także detektywem i badaczem zjawisk paranormalnych. Facetem, który miał łeb do interesów. Specjalizował się w przepędzaniu duchów i innych istot nadprzyrodzonych zarówno z bogatych mieszczańskich domów, jak i zawilgoconych, zagrzybionych klitek, dbał o rozgłos i na tym, zdaje się, zbił fortunę. Kiedyś ich obu, jego i Wotowskiego, pomylili w gazecie. W sumie zabawna wyszła z tego historia.

Stał przed kajutą intendenta i zapukał. A potem stanowczo zażądał zmiany stolika w jadalni.

ROZDZIAŁ 3

Zgodnie z przewidywaniami, gdy opuścili francuski port, gdy znikły za horyzontem wszelkie budowle, a morskich ptaków krążyło nad nimi coraz mniej, podróżni się przebudzili. Tak jakby statek przeciął niewidzialną granicę, bo w rzeczywistości nie dotarli jeszcze do linii oddzielającej kontynenty, a silniki wreszcie ruszyły z pełną mocą, drażniąc nerwy pasażerów. Transatlantyk pokonywał siedemnaście mil morskich na godzinę. O ile nie zdarzy się nic niespodziewanego, równo za tydzień dotrą do Dakaru, a przez ten czas nie ujrzą skrawka lądu.

W salonach zrobiło się tłoczniej, rozmowy stawały się głośniejsze, a ludzie gubili się w korytarzach i czeluściach „Przyszłości”. Jakaś kobieta omyłkowo zajrzała do kabiny, gdy Abramowski szukał w szafie bielizny, pisnęła cicho i uciekła. Obiecał sobie, że od tej pory zawsze będzie zamykał drzwi na klucz. Pierwszego dnia nakazał przydzielonemu mu stewardowi sprzątanie pokoju tylko na wyraźne życzenie, a teraz raz jeszcze powtórzył prośbę, która nie była znów czymś niezwykłym. Ostatecznie pasażerowie mieli różne upodobania.

Na górnym pokładzie na leżakach i kocach opalali się podróżni, więc powiódł wzrokiem po tych bledszych i bardziej oliwkowych ciałach kobiet w kostiumach zaprojektowanych wedle najnowszej mody, starając się robić to bez nadmiernej ostentacji.

W hallu portretowym człapał stary jamnik baronowej Brückner, ktoś skusił się na partyjkę ping-ponga. Mimo że stół, jak wiele innych rzeczy na statku, przymocowano do podłogi, gra w warunkach rejsu, nawet przy małej fali, wymagała pewnej wprawy. Szachiści robili swoje, dopingując się tytoniem

i alkoholem. Gombrowicz chwycił za łokieć kolejne ofiary i osaczał je słowami. Gdzieś w pobliżu zaszeleściła nawet sutanna księdza Piotra Marka. Abramowskiego zaś raz po raz nachodziły wątpliwości, czy podróż rozpoczęta w Gdyni ma jakikolwiek sens.

Szczęśliwie towarzystwo przy stole zmieniło się na ciekawsze i dyskretniejsze od Frybergów i Pedersenów. Podczas obiadu po jego lewej Gyula Maroczy zajadał się kuropatwą à la Castrol. Czterdziestoletni Węgier był lekarzem, specjalistą od leczenia nerwic i uczniem, podkreślał to z dumą, samego Freuda. Wprawdzie widział mistrza kilka razy w życiu, ale to wystarczyło. Prawdopodobnie nikt tak często w jadalni nie wycierał serwetką wąsików, niewątpliwie pomadowanych każdego dnia z niezwykłą starannością. Dopiero gdy wstali po posiłku, Abramowski dostrzegł, że mężczyzna ma na jednej z nóg ortopedyczny but, przypuszczalnie dożywotnią pamiątkę porażenia albo innej choroby. Po prawej siedzieli Wolicowie. On, dobiegający sześćdziesiątki, z przerzedzonymi włosami, które sprawiały wrażenie wiecznie tłustych, przedstawił się jako specjalista od wiercenia dziur.

– Na szczęście nie wiercę dziur w brzuchu. – Zaśmiał się z wygłoszonego bon motu. – Chociaż można powiedzieć, że jestem chirurgiem od dziur w ziemi. Prawda, Słonko?

Kobieta, do której się zwrócił, miała nie więcej niż trzydzieści lat, była blondynką, niewątpliwie ładną, o urodzie, która nie zatrze się za kolejnych dziesięć lat, i smutnym, a może tylko nieobecny spojrzeniem. Zostawiła połowę porcji na talerzu, a jej smukłe, długie palce powędrowały w kierunku naszyjnika z pereł, którymi bezwiednie się bawiła.

Wolica nadmienił, że jego urocza żona ma skłonność do zamyśleń, co wywołało pewne poruszenie u węgierskiego psychoanalityka. Specjalista od wiercenia bezsprzecznie uważał się za duszę towarzystwa i najpewniej sądził, że każdy kęs, niepoprzedzony jakąś świątłą uwagą, nie jest wiele wart.

– Ten szczupak, zdaje się *sauté meunière*, coś podobnego jadłem u Krzemińskiego na Trębackiej, jest wyśmienity. Zwykle się tam stołuję, gdy

bywam w Warszawie w interesach, i bardzo polecam. W ogóle, drodzy państwo, trzy lata temu zrezygnowałem z mięsa. Wyjątek robię tylko dla ryb. I, powiem wam, stałem się zupełnie innym człowiekiem. Kanclerz Hitler też jest wegetarianinem. I dlatego, uważam, nic nam z jego strony nie grozi. Tak naprawdę to nie jest człowiek skłonny do przemocy.

– Naprawdę tak pan sądzi? – zapytał Abramowski.

– Jestem tego pewien jak dwa razy dwa. A na tę dietę namówił mnie ten młody człowiek. Chociaż ten antrykot, który ma na talerzu, wygląda całkiem, całkiem.

Przy stole siedział bowiem ktoś jeszcze. Znacznie młodszy od Abramowskiego, szczupły i nieco zgarbiony, zapatrzony w talerz. Brunet nazywał się Terlecki i od pięciu lat był sekretarzem Wolicy. Właściwie stał się jego prawą ręką. W przeciwieństwie do swego pryncypała milczał i od czasu do czasu tylko przytakiwał. Chyba właśnie tak, po prostu przytakując, dziś robi się kariery, pomyślał Abramowski.

– Pan się przedstawił jako filozof. – Wolica przeżuł ostatni kęs. – Nie jestem w tym mocny. Czyli czym się pan zajmuje?

– Myśleniem. – Abramowski wzruszył ramionami.

– Ale zbyt rozmowny, pozwolę sobie zauważyć, to pan nie jest.

– Bo nachodzą mnie takie myśli, że lepiej o nich głośno nie mówić.

Pani Wolicowa uniosła oczy. Pierwszy raz spojrzała na Abramowskiego w sposób, który można by uznać za cień zainteresowania.

– To trochę tak jak z ukrytą sferą popędów – wtrącił Maroczy. – Bardzo ciekawe.

– Może wieczorem dokończymy tę rozmowę przy czymś mocniejszym? – zaproponował Wolica. – Nocne Polaków rozmowy są zawsze fascynujące. No i czas lepiej poznać innych towarzyszy podróży.

Wszyscy przytaknęli z umiarkowanym entuzjazmem.

– A to ja jeszcze mam pytanie. – Abramowski wytarł usta chusteczką. – Tu jest jedno wolne nakrycie, ale nikt więcej z nami nie siedział. Wiecie, państwo, kto ma

nam towarzyszyć?

Wolica pokręcił głową.

– Od początku jest tu pusto. Kto będzie, to będzie. A wracając na chwilę do kanclerza. Wie pan, że ja też urodziłem się dwudziestego kwietnia? Taka zabawna zbieżność dat.

– Ja z kolei trzynastego marca – powiedział Abramowski. – Tak się składa, że tego dnia zginął Hryniewiecki. – Zobaczył pytające spojrzenie Węgra. – Ignacy Hryniewiecki – uściślił. – Specjalista od rzucania bomb pod carskie koła. – Krótko wytłumaczył, co zdarzyło się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym. – To trochę tak jak podczas partii szachów – zakończył opowieść. – Poświęcamy figurę, żeby zamatować króla.

Powiódł oczami po zebranych. Był pewien, że tym razem pani Wolkowa zaszczyliła go badawczym spojrzeniem.

Wrócił do kabiny, rozwiązał krawat i z ulgą rzucił go na krzesło. Trzech pozostałych mężczyzn przy stole w jadalni nosiło muchy. Terlecki poprawiał swoją kilka razy i krzywił się przy tym, jakby ozdoba pod szyją go uwierała.

Abramowski zdecydowanie wolał krawaty. Można zrobić z nich sznury i kogoś nimi związać. Krawat może posłużyć jako opaska uciskowa. Albo, od biedy, jako bandaż. Tak czy siak, ma znacznie więcej zastosowań niż mucha.

Spojrzał na kawałek granatowego jedwabiu.

Na razie nie był mu do niczego takiego potrzebny.

ROZDZIAŁ 4

– O tym Hitlerze mówił pan poważnie?

Abramowski i Wolica odeszli od baru i stanęli przy potężnej kolumnie, jednej z dwóch w sali dansingowej. Specjalista od dziur pił wódkę Baczewskiego, filozof od przemocy zamówił *fine à l'eau*. W paryskich czasach alkoholowego Sturm und Drang pił to na okrągło.

W sali panował gwar. Był to pierwszy wieczór na transatlantyku, gdy zaroilo się od podróżnych. I tak już będzie wyglądał każdy wieczór do końca rejsu. Pięciosobowy zespół, czterech białych i czarnoskóry pianista, grał jazz na zmianę ze szlagierami, a szansonistka w obcisłej, błyszczącej sukni do ziemi kojarzyła się ze szprotką. Dym papierosów i cygar oraz zapach wykwintnych perfum i alkoholu tworzyły tę niepowtarzalną woń, w której wyczuwało się duże pieniądze i zepsucie. Trzy pary tańczyły na parkiecie, czyniąc pierwsze nieśmiałe próby, które wkrótce ośmielą innych. Węgierski psychoanalityk żywo gestykulował otoczony wątlm wianuszkim kobiet, z których żadna nie robiła na Abramowskim szczególnego wrażenia. Tartakower emablował jakąś blondynę, a jego łysina błyszczała w świetle lamp. Gombrowicza nigdzie nie dostrzegł. Widocznie pisarz wypolaczał się w zaciszu kajuty albo stał na pokładzie zapatrzony w bezkres i noc.

Abramowski uważnie przypatrywał się towarzyszom podróży. Właściwie nic innego nie zajmowało go od początku rejsu. Mógł być wśród nich ten ktoś, kogo szukał. Albo w ogóle tej osoby na statku mogło nie być. Wskazówki, które otrzymał, były z jednej strony dość jasne. Miał się zajmować tylko podróżnymi z klasy pierwszej. Z drugiej strony doświadczenie mówiło mu, że podjął się zadania, które przypominało szukanie igły w stogu siana. Równie dobrze

poszukiwanym mógł być ktoś z załogi. Albo, na upartego, ten brodaty kontrabasista. Rejs taki jak ten obsługiwało około trzystu ludzi. Gdy usłyszał o tym po raz pierwszy, nie mógł uwierzyć. Kilkaset osób spełniało wszelkie zachcianki kilkuset innych, uważających się najczęściej za pępek świata. To wszystko nie miało większego sensu, tak czuł, ale dość trudno wysiąść pośrodku oceanu. Poza tym życie nauczyło go, że opłaca się być cierpliwym. Będzie więc wsłuchiwał się w głosy ludzi, zwłaszcza gdy staną się swobodniejsi, a alkohol rozwiąże im języki.

– Halo, słucha mnie pan?

Abramowski drgnął.

– Oczywiście, że mówiłem poważnie. – Wolica odstawił kieliszek. – Hitler nie ryzykowałby okrążenia z zachodu i wschodu. – Pochylił się nad Abramowskim. – Coś panu powiem... To nie jest teraz zbyt modne, ale ja osobiście podziwiam kanclerza. Jakąż on ma moc przekonywania! Przyłączył Austrię. Teraz Czechosłowację. Bez jednego wystrzału. To się nazywa skuteczność! Gdyby chciał pracować w mojej firmie, przyjąłbym go z otwartymi rękami. Za każde pieniądze. – Roześmiał się.

– A jednak wyjeżdżacie państwo – trzeźwo zauważył Abramowski.

Przedsiębiorca natychmiast spoważniał.

– Moja żona Lusja bardzo boi się wojny. I nalegała. No więc co mogłem zrobić? Ustąpiłem. Zresztą wie pan, nie powiem, są niepokojące sygnały. W ubiegłym roku sprzedałem trochę udziałów Amerykanom. Wzięli bez szemrania. Teraz, w marcu, mieli kupić kolejne. A po tym słynnym przemówieniu Hitlera wszystko wzięło w łeb. Powiedzieli, że nic już nie kupią, bo będzie wojna. Ale co oni tam wiedzą... Za kilka miesięcy, gdy będzie pewność, że nic się nie wydarzy, wrócimy. Amerykanie też wrócą, i to z podkulonym ogonem. A na razie moje interesy prowadzi wspólnik, więc są naprawdę w godnych rękach.

Wolica lubił chwalić się sukcesami i Abramowski mniej więcej przez kwadrans dowiedział się o nich całkiem sporo. Specjalista od dziur dorobił się majątku na nafcie w okolicach rodzinnego Drohobycza, a potem z dużym powodzeniem robił

odwiarty w Gorlicach i Ropicy. Jedna z jego kopalń zatrudniała dwustu ludzi, figurowała nawet w biuletynie Ministerstwa Przemysłu i Handlu wśród dziesięciu największych.

– A teraz też nie będę zasypiać gruszek w popiele. Wie pan, co jest moim celem? Portugalia. Nawiązałem całkiem dobre kontakty z ustosunkowanymi ludźmi z otoczenia premiera Salazara. To ekonomista i, nie powiem, wizjoner. Podobno ma szereg pomysłów, jak z Portugalii znów zrobić potęgę. I tak kluczy między Anglikami a Niemcami. Ale najpierw ten rejs do Argentyny. Luscia marzyła o tym, żeby zobaczyć Buenos. Tak między nami mówiąc, to ona jest moim największym sukcesem... To, że ją mam... Żadna tam ropa. – Zamyślił się na chwilę, a potem potrząsnął głową. – Chyba wypilem trochę za dużo. Wracajmy do stolika. Nie chcę jej zaniedbywać.

Po parkiecie płaśało już pięć par. Zespół grał coś Gershwina. Kelner nalewał szampana pani Wolicowej. Obok niej siedział sekretarz. Przy stole bawiło się jeszcze dwóch mężczyzn. Abramowski rozpoznał intendenta. Ten drugi, nieznajomy brunecik, się przedstawił. Krótko, rzeczowo, jakby salutował albo składał meldunek. Zaremba. Prasa prawicowa. Prawdziwa. Żadna tam sanacja. Tyle.

– Nie uwierzycie, panowie, co zaszło – rzekł intendent, gdy usiedli. – Podszedł do nas pianista, ten Murzyn. Pański sekretarz – spojrzał na Wolicę – chciał zamówić utwór. I ten pianista powiedział, że ma na imię Sam. Wyjaśniliśmy mu, że „sam” to *alone*. A on na to łamaną polszczyzną: „Mam na imię Sam, ale lubię towarzystwo”. Uwierzycie?

Roześmiał się tak, aby wymusić śmiech innych.

– Może nazywać się Sam, John albo George – odezwał się Zaremba. – Ważne, że nie Mosze. – Tym razem tylko on się zaśmiał. – Patrzę na tych szachistów... – Skrzywił się, po czym spojrzał na intendenta. – Kiedy przybędzie kapitan? Chciałbym wznieść oficjalny toast. Dziś jest przecież piętnasty. Nasze święto. Czasami żałuję, że jestem taki młody i wojnę z bolszewikami znam tylko z opowieści.

Abramowski milczał. Chętnie pokazałby mu kilka odciętych głów toczących się po drodze wśród tumanów kurzu. Był pewien, że dziennikarzowi szybko odechciałoby się wojaczki.

– Przypuszczam, że kapitana szybko nie zobaczymy – głos intendenta brzmiał rzeczowo. – Jak dobrze pójdzie, to przedostatniego dnia rejsu podczas kolacji. Albo w ogóle. O ile wiem, wydelegował już jednego z oficerów, który będzie od czasu do czasu do państwa dyspozycji. Więc toasty musimy... musicie wznosić sami.

I tak też robili. Abramowski bez większego entuzjazmu wypił kolejne *fine à l'eau*, Wolica próbował być duszą towarzystwa, ale szło mu coraz gorzej, Zaremba zaś szczekał krótkimi zdaniami o wielkiej Polsce. Przede wszystkim jednak czujne oko mogło wypatrzeć, że ilekroć sekretarz pochylał się i mówił do Lusi, tę opuszczała senna uprzejmość, jej spojrzenie stawało się czystsze i jaśniejsze, a wiotkie ciało nabierało sprężystości. Na chwilę dosiadł się do nich psychoanalityk i w takt muzyki podrygiwał ortopedycznym butem. Intendent poruszał szczęką w lewo i prawo, jakby chciał dopasować protezę.

Rozmowa trwała w najlepsze, gdy przy stoliku zjawili się wokalistka oraz Sam. Przyszli się upewnić, jaki utwór był zamawiany.

– Prosiłem o Glenna Millera – powiedział Terlecki. – *Moonlight Serenade*. Zdaje się, że to teraz wielki szlagier. Umiecie to grać?

Umieli.

Abramowski patrzył na Lusię. Wyglądała, jakby poraził ją piorun. Jakby Tesla przeprowadzał na niej swój sławny eksperyment.

– Jak państwo myślicie? – zapytała szansonistka. – Czy gdzieś po drodze spotkamy ludożerców?

– Ja jestem ludożercą – odpowiedział pianista, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, a potem wydał z siebie dziki okrzyk.

Zdaje się, że mieli opracowany ten numer. Szprotka i Sam roześmiali się unisono, po chwili reszta biesiadników poszła w ich ślady. Wolica trzymał się za brzuch i, zdaje się, nawet cicho czknał. Abramowski uśmiechnął się półgębkiem.

– Uroczy są, nieprawdaż? – zapytał intendent. – Zdobyłem najlepszy zespół, jaki można mieć.

Abramowski uznał, że czas zmienić towarzystwo. Pokręcić się, rozejrzeć, poznać kogoś innego. Obiecał sobie, że kolejny drink będzie ostatnim. Chciał wstać, ale nie mógł. Dopiero po chwili zrozumiał, że czyjaś ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu. Powoli odwrócił głowę.

To, co zobaczył, trudno było nazwać twarzą. Był to bowiem ogromny nos, do którego na jajowatej głowie doczepiono oczy, uszy, policzki i całą resztę. Nie sposób było pomylić tę postać z kimś innym.

Mięsiste usta uśmiechały się do niego.

– Ed... A więc to rzeczywiście ty. Gdy Tartakower powiedział o tobie, to znaczy wspomniał nazwisko, pomyślałem, że to przypadkowa zbieżność. A jednak... Co się z tobą działo? Gdzie zniknąłeś? Zupełnie jak nieodżałowany Belsitzman. Ten to dopiero jak kamień w wodę. A ty, proszę, tutaj!

Abramowski przedstawił mężczyznę.

Przed nimi stał Mieczysław Najdorf. Szachowy maestro.

Zaremba skrzywił się i odwrócił głowę. Szepnął coś Wolicy na ucho.

Był to ostatni moment, żeby opuścić stół. Za chwilę Najdorf ciężko klapnie na krzesło i zacznie gadać trzy po trzy, rzucając anegdotę za anegdotą, których bohaterem będzie Abramowski. Nikomu i do niczego ta wiedza nie jest potrzebna. Im mniej o nim wiedzą, tym lepiej. I tak ma do końca pozostać.

Przeprosił wszystkich, zdecydowanym ruchem ujął Najdorfa za łokieć i poprowadził do baru. Zamówili kolejkę. Rozmawiali o starych i nowszych czasach. O dziesiątkach partii rozegranych w cukierni Leżańskiego na Marszałkowskiej, na Wierzbowej, w łódzkich lokalach i wielu innych miejscach. Na szczęście maestro rozgadał się na dobre, mówił o sobie i wystarczyło podtrzymywać rozmowę. Opowiadał o olimpiadzie w trzydziestym piątym i o tym, jak pół Warszawy, ramię w ramię policjanci i postaci z półświatka, szachiści i ulicznice, szukało kota słynnego Alechina. Rok później Najdorf się ożenił.

Urodziła mu się córeczka. A teraz ta olimpiada w Buenos, w niespokojnych czasach.

– A ciebie co sprowadziło na ten statek?

Abramowski miał przygotowaną historyjkę. W Argentynie osiedlił się jego brat. Wielokrotnie namawiał go do przyjazdu. I nigdy nie było okazji. Aż do teraz. Przez chwilę niemal wierzył w to, co mówił. Dałby wiele, żeby to była prawda. Żeby odbywał niewinną, sentymentalną podróż. I żeby jego brat był teraz w Ameryce, a nie...

Najdorf słuchał ze zrozumieniem.

– Niekiedy nachodzą mnie fatalne myśli. – Uśmiech znikł z jego twarzy. Sięgnął po portfel. – Czasami czuję się tu tak, jakbym pożegnał je na zawsze. Jakbym już nigdy miał ich nie zobaczyć.

Z portfela wyjął dwa zdjęcia i podał je Abramowskiemu. Kobieta mogła się podobać. A z pewnością znalazłaby bardziej wygłędneho męża, gdyby tylko chciała. Na szczęście mała dziewczynka nie miała nic z rysów ojca. Byłoby dobrze dla niej, gdyby to się nie zmieniło.

Szachista kiwnął głową.

– Wyjdźmy stąd na moment. Coś ci pokażę. – Abramowski się zawahał. – Mam coś jeszcze oprócz tego zdjęcia.

Wyszli na pokład. Wiatr znad oceanu przynosił ulgę. Najdorf się rozejrzył i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma postronnych obserwatorów, sięgnął do kieszeni.

– Zabrałem go ze sobą.

Na otwartej dłoni trzymał rewolwer. Był to niewielki smith & wesson, najpewniej pięciostrzałowy, znacznie mniejszy niż beretta Abramowskiego.

Ten spojrzał na Najdorfa pytająco.

– Zabrałem go na wypadek, gdyby tam... Gdyby podczas mojej nieobecności coś się w Polsce wydarzyło... Nie zniósłbym tego...

Abramowskiego kusilo, żeby wyrwać mu broń i cisnąć do oceanu. Ostatecznie położył szachiście rękę na ramieniu.

– Żona i córka nigdy by ci nie wybaczyły. To tak, jakbyś poddał się bez walki, a ty walczysz zawsze. Niestety... Dobrze to pamiętam z naszych partii... – Próbował się uśmiechnąć. – Nie noś tego ze sobą. Nieszczęście gotowe. Zwłaszcza że... – Bez pytania wziął rewolwer i go obejrzał.

Najdorf patrzył na niego zaskoczony.

– Zwłaszcza że paradujesz z bronią gotową do strzału. Schowaj to cudo na spodzie walizki. A najlepiej się go pozbądź.

Kciukiem odwiódł kurek, cały czas trzymając palec wskazujący na języku spustowym. Wymagało to pewnej wprawy, ale robił to nie pierwszy raz. Oddał szachiście broń.

Najdorf włożył rewolwer do kieszeni. Patrzył na Abramowskiego zmieszany.

– Pewnie masz rację – powiedział. – A skorośmy się już spotkali, to chyba nie odmówisz... – zmienił temat.

Wymusił na nim partyjkę. No, może więcej niż jedną. Abramowski się opierał, ale na nic się to zdało. W końcu życzyli sobie dobrej nocy.

W kabinie przewracał się z boku na bok, potem wstał i chodził tam i z powrotem. Być może alkohol także zrobił swoje. Kilkakrotnie skropił czoło lodowatą wodą. Żałował, że nie zabrał książki z biblioteki. Jakiegokolwiek. Byle odwróciła jego uwagę od wspomnień. Leżański, Wierzbowa... Stare czasy. Właściwie prehistoria. I teraz, za sprawą Najdorfa, powróciły. Tak jakby szachista nieświadomie otworzył puszkę Pandory wypełnioną złymi wspomnieniami. Jakby trącił w nim strunę, która już nigdy nie powinna wybrzmiewać. Wtedy szachy i alkohol tłumili ból po stracie bliskiej osoby. Kiedy doszedł do siebie, poprzysiągł, że nigdy więcej się nie zakocha. Nie dotrzymał słowa i znowu tego pożałował. Druga z miłosnych historii zawiodła go do Paryża. Minęły dwa długie lata, zanim się otrząsnął i znów rzucił w wir zajęć.

Pomyślał o Najdorfie. Wypity alkohol, spotkanie po latach i niepokój o rodzinę sprawiły, że szachista niespodziewanie otworzył się przed nim. Być może rano tego pożałuje. Swoją drogą zabawna zbieżność: obaj zabrali zdjęcia najbliższych, obaj też mieli broń. Co prawda, byli uzbrojeni z innych powodów, ale jednak. Ciekawe, kto jeszcze? Kto jeszcze wyruszył w rejs z pistoletem lub rewolwerem?

Znowu dopadła go przeszłość. Karuzela wspomnień wirowała, od czasu do czasu wskakiwał na nią ktoś niespodziewany, ktoś, kogo nie przywoływał od lat i niemal wyparł z pamięci, a ktoś inny z niej wyskakiwał. Abramowski chodził po kabinie, potem stanął przed obrazami wiszącymi na ścianie i po półgodzinie znał każdy szczegół, każdą brzoźkę, chałupę i kamienicę napacykowaną przez malarza. Najdorf. Prędzej czy później by się tu, na statku, spotkali, ale nie sądził, że mistrz będzie go pamiętał. Przy szachownicy połykał go tak, jak wieloryb pochłania drobne rybki. Bez większej uwagi i zastanowienia. A jednak z jakichś powodów zachował go we wspomnieniach.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się pierwsza. Nie bardzo wiedział, co robić – trwanie do rana w łóżku i zadręczanie się przeszłością wydało mu się torturą. Postanowił wyjść na pokład. W sali dansingowej ucichła muzyka, fale były niewielkie, a silniki transatlantyku dudniły miarowo. Zwyczajna letnia noc pośrodku oceanu rozświetlona mnóstwem gwiazd. Poczł, jak przesywa go chłód, i to było coś, czego potrzebował. Stał nieruchomo przy barierce, wpatrywał się w migające punkty na niebie, a kilka kropel osiadło mu na twarzy. Wreszcie opadł na leżak, okrył się pledem i zasnął.

Obudziła go rozmowa.

– To musi stać się tutaj. Nie możemy z tym zwlekać. W tym tygodniu. Nie zniosę tego napięcia.

Kobięcy głos. Drżący i zarazem władczy.

Mężczyzna mówił ciszej.

– Może jednak poczekamy z tym do Buenos? Tam nie wzbudzi to podejrzeń... Miasto nożowników... Jeszcze jeden zamordowany z pobudek rabunkowych...

– Nie. Teraz. Rozmawialiśmy już o tym.

Abramowski zastygł na leżaku. Wstrzymał oddech. Nie słyszał, gdy nadchodzili. Bał się, że drewniany stelaż zaskrzypi, jego obecność zostanie odkryta, a intruzi spłoszeni.

– Co z pieniędzmi? Musimy mieć za co żyć...

– Mam gdzieś jego pieniądze. Poradzimy sobie. Mamy też gotówkę. Potem to już sprawa prawników... Ale najważniejsze to się go pozbyć.

– Gdy wypadnie za burtę, będzie słyhać krzyk... – mężczyzna mnożył wątpliwości.

– Najpierw go ogłuszysz. Upijesz i ogłuszysz. Chyba że chcesz, żebym kogoś poprosiła o pomoc? Może tego pianistę Sama? Ludożercę? – Pierwszy raz w jej głosie pojawiła się nutka kpiny. – A może tego ponurego filozofa? Wygląda, że byłby zdolny do takich rzeczy. Bo ty chyba jednak się do tego nie nadajesz. Jedyne, co potrafisz, to skrobać te tabelki i liczyć kolumny cyfr.

Zapadła cisza.

– Zrobię to. Tak jak chcesz – odpowiedział wreszcie mężczyzna.

– Trzęsę się. Z zimna i nerwów. Przytul mnie, proszę. A potem chodźmy. Nie możemy być tu dłużej.

I znowu słyhać było jedynie szum fal. A później odgłos oddalających się kroków.

Abramowski nie widział, jak odchodzą. Nie było mu to potrzebne. Wiedział, kto urządził sobie nocną schadzkę na górnym pokładzie.

ROZDZIAŁ 5

Gdy znowu zasnął, dręczyły go koszmary. Śniło mu się, że w niewyjaśniony sposób został na transatlantyku sam. Zaglądał do opustoszałych kajut, w których podróżni pozostawili walizki, kufry i porozrzucane ubrania, tak jakby nagła konieczność zmusiła ich do opuszczenia statku. Chodził po korytarzach i pustych salonach. Zszedł na dolne pokłady, zajrzał do ładowni i maszynowni. Wszędzie panował mrok. Było cicho. Silniki umilkły, a kolos dryfował pośrodku oceanu. Odgłos własnych kroków, skrzypiące deski pod stopami i bicie serca, poza tym nic więcej. Zastanawiał się, gdzie się wszyscy podziali. Zbliżył się do opustoszałej kabiny radiotelegrafisty. Otworzył drzwi. Radio cicho szumiało. Przez zakłócenia i trzaski przebijał się głos w nieznanym mu języku. A potem kobieta, tym razem po polsku, zaczęła wzywać pomocy. Rozpoznał Lusię. Wyraziste, przejmujące wezwanie i ten głos gdzieś tuż-tuż sprawiły, że się przebudził. Poderwał się z łóżka, dopadł do sekretarzyka i wyjął pistolet. Tak jak stał, nagi, otworzył drzwi kabiny i wychynął na korytarz. Silniki cicho mruzczały, statek lekko wibrował, gdzieś niedaleko, w sąsiedniej kajucie rozległo się kasznięcie przez sen. Poza tym nic się nie działo. Kinkiety świeciły łagodnie i wyznaczały drogę przez pusty korytarz. Serce waliło mu wciąż mocno, gdy chował berettę do szuflady. Rejs ledwo się zaczął, a jego nerwy już potrzebowały ukojenia.

Położył się na sofie pod oknem. Wydawało mu się, że ten głos wzywający pomocy nie mógł mu się przyśnić. Że to on go wybudził. Ale z drugiej strony postawiłby na nogi innych podróżnych. Przypomniały mu się szepty pośrodku nocy, gdy zaległ na pokładowym leżaku. Teraz nie był już taki pewien, czy i one nie były wymysłem wyobraźni.

Przeklęte sny. Przeklęty Najdorf. Spotkanie po latach i gorączka wspomnień były przyczyną tych nocnych koszmarów, to pewne. Oczywiście, że tam, przy barze, okłamał go. Nie zagra ani z nim, ani z nikim innym, choćby od tego zależała przyszłość świata. Nie wykona żadnego ruchu. Nigdy, przenigdy.

Przypomniawszy sobie wielkich szachistów, którzy zwariowali albo popadli w jakąś formę obłądzenia. Pierwszy mistrz świata, Steinitz, skończył w przytułku dla psychicznie chorych. Zmarł przekonany, że jego figury rażą przeciwników prądem. Czigorin koił nerwy butelkami brandy, które stawiał w rzędzie koło szachownicy, i właściwie zapił się na śmierć. I jego rodak Łuzyn. Biedny Aleksander Iwanowicz skoczył z okna. Austriacki mistrz Zweig, który pokonał samego Czentovicia, skończył samobójczą śmiercią w Brazylii. A tu, proszę: Lionel Kieseritzky. Racjonalista, skromny nauczyciel matematyki, dziecko epoki światła i wiary w naukę, do końca życia, nim umarł w samotności i obłąkaniu, widział, jak wrocławski matematyk Anderssen poświęca gońca, dwie wieże, wreszcie hetmana i wygrywa. A on na nowo, pośród zachwyty graczy odtwarzających partię nazwaną nieśmiertelną, zmuszony jest przyjmować kolejne figury i tak w nieskończoność. No i największy ze wszystkich, Amerykanin Morphy, który po wszelkich możliwych triumfach, pogrążony w melancholii oraz nękającej go paranoi, na werandzie, w cieniu potężnych dębów i smukłych cyprysów, wertował kodeksy prawnicze. Dopóki żył, nikt nie ośmielił się zagrać meczu o mistrzostwo świata. To było tak, jakby obrazić Pana Boga. A potem umarł, nie dożywszy pięćdziesiątki. No i jeszcze jeden z dwóch Rubinsteinów, którzy stali się wirtuozami czerni i bieli. Tyle że jeden wybrał fortepian i święcił sukcesy na całym świecie, a drugi zdecydował się na pionki i figury. Powinien być mistrzem świata, ale nim nie został. Od kilku już lat wielki Akiba, człowiek skromny i małomówny, nie grał. Oddalił się od świata, pożegnał z nim, zamknął w czymś na kształt przezroczystego kokonu, do którego prawie nikt, poza najbliższą rodziną i kilkoma przyjaciółmi, nie miał dostępu. Żył w biedzie i szachiści organizowali zbiórki, żeby pomóc dawnemu mistrzowi. Gdyby tu, na transatlantyku, w hallu portretowym chcieli zawiesić podobizny wszystkich wielkich obłąkanych szachistów, nie starczyłoby miejsca.

I teraz wszyscy oni, jak sfera nocnych zjaw, pojawili się nagle, niemal zmaterializowali przed Abramowskim i nacierali na niego.

A on sam? Od tamtych różniła go skala talentu, chociaż tego mu podobno nie brakło. Wszystko skończyło się pewnego wiosennego przedpołudnia, gdy w cukierni Leżańskiego, wspomagając się trzecią kawą i koniakiem, grał towarzyską partię. Pozycja była mniej więcej równa, Abramowski wykonał posunięcie gońcem, uniósł głowę i natknął się na pytające spojrzenie. „Wykonał pan zły ruch. Goniec się tak nie rusza”. Raz jeszcze wziął figurę do ręki. „Zły ruch. Drugi. Przegrywa pan partię”. Spojrzał na szachownicę. Odbywało się na niej coś zaskakującego. Czarne i białe diagonale zakrzywiły się, wygięły w esy-floresy, cała plansza stała się obłą, skoczki spływały jakąś mazią, niczym wytaplane w bagnie, wieże pulsowały, jakby tkwiły w nich uwięzione księżniczki. Zamknął oczy. Przez chwilę myślał, że ma zwidy po alkoholu, że po prostu zbyt dużo wypił, jednak działo się z nim coś dziwnego. W głowie poczuł wibrowanie, jak gdyby ktoś otwierał mu czaszkę wielkim świdrem, na moment nastąpiła cisza, a potem rozległ się dźwięk, stały i monotony, przypominający brzęczenie muchy. Zasłonił uszy dłońmi, ale to nie pomogło. Potrząsał głową. Mucha bzyczała. Gapie przy stoliku, a zaciekawionych tym, co się dzieje, przybywało, rozpadli się na kawałki, jakby rozerwał ich wybuch granatu. Ich ręce, nogi, głowy wirowały w powietrzu, wszystko z osobna. Zaczął krzyczeć, lecz nie słyszał nic oprócz uporczywego owada. Co stało się dalej, nie pamiętał. Ocknął się w szpitalu. A później to wszystko powtórzyło się przy szachownicy raz, drugi i kolejny. Wtedy przestał grać. Lekarze nie potrafili postawić jednoznacznej diagnozy. Dość mętnie mówili o gorączce mózgowej i ogólnym rozstroju, ale przecież wszyscy żyją w świecie i wieku nerwowym. Stary profesor sugerował wypoczynek w sanatorium, najlepiej szwajcarskim, jeszcze lepiej w okolicach Davos, raczej dłuższy niż kilkutygodniowy, jednak na takie luksusy nie mógł sobie pozwolić. Od tego czasu nie zasiadł do szachownicy. Owszem, śledził rozgrywki, niekiedy przypatrywał się graczom z oddali, ale nigdy już sam nie zagrał. A mimo to mucha pozostała. Odzywała się rzadko i może dlatego było to tak dojmujące. Zjawiała się

niespodziewanie, przylatywała w sytuacjach skrajnego napięcia, bywało, że gnieździła się nie tylko pod czaszką, lecz panoszyła się po całym ciele. Na swój sposób oswoił ją, nauczył się z nią żyć. I zatłukłby tę towarzyszkę, gdyby tylko wiedział jak.

Wziął zimny prysznic i to pomogło. Gorączka wspomnień ustąpiła. Spojrzał na zegarek. Zdumiał się, że jest jeszcze noc. Chociaż nie. To była pora, gdy na oceanie nieprzenikniona ciemność stopniowo ustępowała poświacie.

Zarzucił na siebie byle co i udał się na pokład.

„To musi stać się tutaj. Nie możemy z tym zwlekać. W tym tygodniu”. Był wtorek. Zostało zatem pięć dni. Teraz stał tu sam i czekał na wschód słońca, ale towarzyszyły mu szepty ludzi z krwi i kości. Czy powinno go to obchodzić? Może tak, może nie. Stał nieruchomo i patrzył przed siebie.

Linia horyzontu wyłoniła się trochę zbyt szybko. Gdy pojawiły się pierwsze promienie, zmrużył oczy.

ROZDZIAŁ 6

Na śniadanie przyszedł ostatni, z podkrążonymi oczami. Nałożył na talerz byle co, bez apetytu i bez przekonania. Właściwie idealnie wpasował się w panującą przy stole atmosferę. Wolica dziobał widelcem jakieś warzywa, wzdychał ciężko i co chwila chwycił się za skronie. Najpewniej nie miał mocnej głowy i odczuwał skutki wieczoru. Luscia siedziała sztywno, znów pogrążona w letargu i jeszcze bledsza niż zwykle. Sekretarz ani razu nie spojrzał na swego pryncypała ani jego małżonkę. Niezła trójca, pomyślał Abramowski. I niekoniecznie święta. Raczej szachowy król, biała królowa i chroniący ją goniec. Jedno miejsce, jak zwykle, pozostawało puste. Tylko węgierski psychoanalityk próbował podtrzymać rozmowę. Zaprosił ich na mały wykładzik, tak to określił, który po południu wygłosi w sali dansingowej. Spotkają się w narożu w kolorze zielonym, bo to jego ulubiony. Pasażerowie tego statku powinni dzielić się z innymi wiedzą, doświadczeniami oraz pasjami i on właśnie tak postanowił zrobić. Abramowski zastanawiał się, czy mógłby wygłosić coś podobnego. Z pewnością tak. I zapewne znalazłby wiernych słuchaczy. Przemoc i zbrodnia ekscytowały zawsze i to się raczej nie zmieni. Jaki będzie temat wykładu? Melancholia. Coś życiowego i bardzo na czasie. Będzie też niespodzianka. Swoimi uwagami podzielił się także Cornel Corneliu, rumuński religioznawca, który płynie do Ameryki Południowej badać Indian Bororo i kultury dzikich.

– Zupełny zbieg okoliczności, żeśmy się poznali. Po prostu nasze kabiny są obok siebie. W zasadzie – Maroczy powrócił do głównego wątku – żyjemy w czasach melancholii. Właściwie... jesteśmy przez nią osaczeni.

Przy stole panowała cisza. Słuchać było jedynie szcęk sztućców i rozlegające się po sąsiedzku głosy.

– No tak... – Lekko się stropił. Spojrzał na Abramowskiego. – Widzę, że wpatruje się pan w mój but. Jako dziecko doznałem porażenia, jeśli to zaspokoi pańską ciekawość. *Poliomyelitis*. Lub, jeśli pan woli, choroba Heinego–Medina. – Odsunął się od stołu, by wszyscy mogli zobaczyć.

Abramowski chrząknął zmieszany.

– Przepraszam. Nie chciałbym, żeby pan to źle odebrał. To żadne wścibstwo z mojej strony. Po prostu... Wydaje mi się, że ten but jest bardzo lekki.

Maroczy przytaknął.

– Istotnie, jest. Nowoczesna amerykańska robota. Kiedyś noszenie czegoś takiego było prawdziwą torturą. Dla kogoś takiego jak ja, kogoś, kto jest cały czas w ruchu, można powiedzieć, wynalazek taki jak ten to prawdziwe wybawienie. Proszę zajrzeć na wykład.

Głupio było odmówić. Obiecał, że się pojawi. Poza tym zobaczy tego Rumuna. Może to on okaże się tym, kogo szuka?

Po śniadaniu w palarni dopadł go Tartakower.

– A więc pan także gra – zaczął. – Opowiedziałem Najdorfowi, jak skomentował pan moją partię z Frydmanem, a on, że znał jednego Abramowskiego. A później widziałem was wieczorem. Nie wyglądał pan na zbyt szczęśliwego z tego spotkania. – Bystro mu się przypatrywał.

– Po prostu byłem zaskoczony. – Abramowski strząchnął popiół. – I już dość zmęczony. Poza tym nie gram. Już od wielu lat.

– Nieważne. – Tartakower machnął ręką. – Ważne jest, że wygrałem.

Abramowski nie zrozumiał.

– Dajmy spokój z szachami. Są rzeczy ważniejsze. Na przykład zakłady. Miałem rację. – Wypiął pierś. – Ta druga to jej ciotka. Czyli wygrałem.

Teraz wszystko stało się jasne.

– Dopadłem tę małą. – Ściszył głos. – Powiem panu, jest młoda, ładna i dzika. Płochliwa jak łania. Chyba nie mam szans i nawet nie będę do niej startował. Przydybałem ją bardzo wcześnie, ranny z niej ptaszek, a ona od razu chciała uciec. Ja do niej: „Spokojnie, dziecko, spiesz się powoli”, i wydobyłem, że ma na imię Nina. A ta druga to jej ciotka. I cały czas choruje tu, na statku. Stąd u niej te nerwy. No więc ją zostawię, ale panu nie dam spokoju. Skoro wygrałem, to teraz jest mi pan winien dziesięć partyjek.

Abramowski zbladł.

– Żartowałem. – Tartakower zachichotał. – Mam tutaj z kim grać. Stężenie szachistów na metr kwadratowy przekracza tu granice dobrego smaku. A my po prostu napijemy się dobrej wódki... – Zamyślił się. – Tak naprawdę nie za bardzo jest do śmiechu. Łączyłem się dziś z Polską i Francją. Uzgadniałem jeszcze jakieś szczegóły pobytu naszej drużyny w Argentynie, bo jak zwykle u Latynosów panuje organizacyjny rozgardiasz. Ale przy okazji dowiedziałem się, że u nas... to znaczy w Polsce, zarządzono drugą mobilizację alarmową. Nie do końca wiem, co to znaczy, ale brzmi poważnie...

– Niezależnie, co znaczy, zrobiono to za późno. O wiele za późno. Na moje wyczucie, chociaż nie znam się na wojskowości, zwlekano z tym kilka lat.

– Mam nadzieję, że się pan myli. – Tartakower westchnął. – Druga wiadomość, z Francji, jest taka, że wszyscy ze zdumieniem obserwują, jak Hitler ze Stalinem stają się bliskimi przyjaciółmi. Mówi się, że jeszcze chwila, a zaczną zapraszać się na polowania. To naprawdę nie wygląda dobrze...

– Nie wygląda – zgodził się Abramowski. – Zjrzyj pan na wykład tego Maroczego? Tematem będzie melancholia.

– To płynie z nami jakiś Maroczy? Wystarczy mi jeden. Też szachista. Pewnie słyszał pan o nim. Twarda sztuka, trudno się z nim gra. Więc tego tutaj sobie daruję. Poza tym melancholia bywa zaraźliwa. Jakby co, ostrzegam pana.

Umówili się na wieczór w barze. Wtedy Abramowski wywiąże się z zakładu.

Potem przespał pół dnia. Gdy się obudził, pora była już poobiednia. Zdumiony pokręcił głową. Może i dobrze się stało. Nie był głodny, poza tym czuł, że powinien stracić kilka kilogramów. Ogarnął się szybko, włożył lekką, jasną marynarkę, jedną z dwóch, jakie miał ze sobą, dobrał odpowiedni krawat i poszedł do sali dansingowej. Poprzedniego wieczora nie przyglądał się zbyt uważnie przepastnemu wnętrzu, dość zmyślnie, teraz to widział, zaprojektowanemu. Podobnie jak na całym transatlantyku tu również tradycja mieszała się z nowoczesnością, esy-floresy walczyły z liniami prostymi, a scenki rodzajowe krzyżowały się z abstrakcją. Wszystkie meble, nie wyłączając fotelików dla tancerzy, ustawionych przy samym parkiecie, żeby mogli tam odpocząć, obito szarymi i niebieskimi tkaninami. Naroża ogromnego salonu zaprojektowano z kolei tak, by można było je odgrodzić od reszty otoczenia i zrobić z nich coś na kształt całkiem przytulnych gabinetów. Każde miało swój kolor. Z zielonego dobiegał męski głos.

Wykład Maroczego przyciągnął garstkę ciekawskich. A także starego jamnika, który wylegiwał się na strzyżonym szarym dywanie u stóp baronowej. Abramowski rozpoznał Pedersenów, przelotnie spojrzawszy na trzy nieznane kobiety – z dwóch twarzy biła zasadniczość, z jednej ogólna tępota – a w kącie dostrzegł przysypiającego mężczyznę. Chętnie by się wycofał, ale było za późno. Węgier zauważył go i na chwilę przerwał, a potem gestem zaprosił na wolne miejsce. Spojrzenia obecnych zwróciły się w jego stronę, on zaś ukłonił się niezgrabnie, po czym, nieco zrezygnowany, zatonął w czeluściach fotela.

– Wracając do przerwanej wątku – Maroczy chrząknął – w samej nazwie, *melaina chole*, próbowano uchwycić istotę rzeczy. Czarna żółć, proszę państwa, czarna żółć. Zresztą mamy również greckie słowo *cholera*, które oznacza chroniczne zaparcie stolca i moczu, ale też, skoro jesteśmy pośrodku oceanu, warto o tym wspomnieć, chorobę morską.

Uśmiechnął się kwaśno i zwrócił w kierunku mężczyzny, który wraz z nim siedział przy stole. Cornel Corneliu odwzajemnił uśmiech. Ogorzałą twarz czterdziestolatka zdobiła starannie przystrzyżona hiszpańska bródka, którą Rumun

nieustannie gładził palcami. Równie dobrze, pomyślał Abramowski, mógłby tarmosić brwi, potężne, czarne i krzaczaste, rzadko spotykany wybryk natury, z których jedna zdawała się być nieco wyżej od drugiej. Corneliu miał na sobie zieloną koszulę – być może ubrał się tak z zamysłem, żeby wtopić się w otoczenie – zdobioną czymś w rodzaju szachownicy na ramieniu.

Maroczy kontynuował wykład.

– Przez wiele lat, ba!, gdzie tam lat, przez wieki całe próbowano się więc rozprawić z czarną żółcią. Puszczano krew, hektolitry krwi, tak by stała się jaśniejsza, mniej ciężka i, że tak powiem, mniej oleista. Przelano jej o wiele więcej, zapewniam, niż na polach wszystkich bitew razem wziętych. Podawano przeróżne środki wymiotne i wywołujące gwałtowne, krwawe biegunki, aby wygnać z człowieka to coś, ten szczególny stan... Napisano o nim dziesiątki elaboratów. Weźmy takiego Esquirola, francuskiego lekarza, który sto lat temu zmarnował litry inkaustu, żeby opisać to, co nazywał „lypemanią” oraz „monomanią smutną”...

Węgier zawiesił głos, gdy finansista Pedersen dostał ataku kaszlu. Abramowski odwrócił się. Żona Duńczyka siedziała sztywno, jakby jej nie było. Śpiący w kącie mężczyzna się ocknął i przez ułamek sekundy jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Abramowskiego. Pedersen wydawał tymczasem coraz głębsze i bardziej przerażające dźwięki, a wreszcie, zgięty wpół, ruszył z fotela. Jego żona trwała nieruchomo. Corneliu gładził bródkę. Brakowało tu tylko Gombrowicza, który mógłby wtrącić swoje trzy grosze.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego i pan... pan Pedersen, zdaje się, wkrótce do nas powróci.

Z oddali wtórował mu kaszel.

– Więc tak... Przez wieki próbowano wygnać z nas to, czego tak naprawdę nie ma. Albo inaczej... Melancholia oczywiście istnieje, ale jest zupełnie czymś innym, niż się wydawało. I trzeba było dopiero kogoś takiego jak Freud, miałem zaszczyt być jego uczniem, zatem geniusza jak on, by zrozumieć, że tu nie chodzi o ciało i żadne puszczenie krwi nic nie da. Albowiem melancholia to coś na kształt

wewnętrznego krwotoku, to wręcz coś na kształt kanibalizmu, gdy niejako pożeramy się sami od środka. Wiem, brzmi to dość szokująco, ale trzeba było wielkiego umysłu, żeby to pojąć. Tacy mędracy są właśnie od tego, by nas szokować. Ale, ostatecznie, jest w tym też dużo zdrowego rozsądku. Przecież wszystko, co najcenniejsze, mamy w sobie. Albo przy sobie. Nieprawdaż? A teraz, szanowni państwo, to, co najważniejsze... – Pstryknął palcami, jak prestidigitator wykonujący sztuczkę. – Melancholia nie musi być czymś złym. Bo tak naprawdę jest stanem wygłodniałych dusz, ludzi ambitnych, poszukujących. Artystów. Wizjonerów. Wciąż do końca niespełnionych...

– Czyli że Adolf Hitler – przerwała pani Pedersen – jest melancholikiem? I tylko nie wygląda na takiego?

Zaskoczony pytaniem Maroczy rozłożył ręce, jakby chciał odepchnąć je od siebie. Żona duńskiego finansisty wpatrywała się w niego nieustępliwie.

– No cóż... Myślę, że pan kanclerz jest melancholikiem doskonałym.

Potem zaczął się dość bałamutny i zagmatwany wywód, który doprowadził ostatecznie do tego, że nie tylko jednostki, ale wręcz całe narody doświadczać mogą stanu melancholii. Wystarczy popatrzeć na Węgrów. Później było coś jeszcze o współczesnej cywilizacji, rewolucji, masach, które doszły do głosu, wreszcie Maroczy, nieco wyczerpany, opadł na fotel.

– Myślę, że mój znakomity kolega z Rumunii – spojrzał na Cornela Corneliu – chętnie przedstawi swój punkt widzenia.

O ile francuszczyzna Marczego była nienaganna, o tyle akcent Rumuna brzmiał zabawnie. Potykając się o słowa, które zmuszony był odnajdywać w pamięci, i lekko się jękając, opowiadał o wyprawie do Meksyku i pobycie wśród Tarahumarów, mówił coś o Iranie, Mitrze, wszystko to zaś było dość zagmatwane i niewiele chyba miało wspólnego z tematem. Corneliu kluczył, plątał się, trochę wyglądał jak nieproszony gość na przyjęciu.

– I na koniec jeszcze dwie uwagi. Pierwsza dotyczy dawnej symboliki. Czarne słońce. *Sol niger*. Ten znak alchemiczny przedstawiał materię w stanie pierwotnym.

A także słońce w ukryciu, zanim rozpocznie kolejną drogę do zenitu. Melancholia jest też czymś, co pozostaje w nas ukryte. Zawsze pragniemy, pożądamy tego, co się przed nami skrywa. Ale kiedyś będziemy tam. – Uniósł palec ku górnej lampie. – Na samym szczycie. Wśród najoczywistszej jasności. – Gdy to mówił, jego oczy nabrały blasku. – Druga uwaga jest całkiem przyziemna. Jak pewnie państwo wiecie... trudno tego nie zauważyć... wśród nas na statku jest wielu szachistów...

– Pan też gra w szachy? – wtrąciła się baronowa. – Ta szachownica na koszuli... Mój świętej pamięci mąż również lubił...

– To nie jest szachownica – przerwał jej gwałtowniej, niż można było się spodziewać. Czarne krzaczaste brwi się zbiegły. – To potrójny krzyż Świętego Michała Archanioła. Z szachami szczęśliwie nie mam wiele wspólnego. Raz, na zamku Wewelsburg, zorganizowano turniej, ale byłem tam z zupełnie innego powodu... Nieważne... Chodzi mi o to, żebyście się im przypatrzyli. Szachiści to melancholicy. Szukają ruchu idealnego i tworzą świat emocji zastępczych wobec tych tkwiących gdzieś w głębi. Osobiście uważam, że z takiej melancholii nie ma większego pożytku. Taka sztuka dla sztuki. Ale, oczywiście, każdy może mieć własne zdanie.

Corneliu zatarł dłonie, jakby sam sobie dziękował za wygłoszone mądrości, i usiadł.

Abramowski nie myślał ani o szachach, ani o melancholii. Znów zapatrzył się w ortopedyczny but Maroczego. Ciągłe coś nie dawało mu spokoju. Trwał w fotelu, zamyślony, gdy wszyscy się rozeszli.

Do kolacji był jeszcze czas. Poszedł na pokład i wyminął bezładnie porozkładane leżaki. Spojrzał na jeden, trochę oddalony od wejścia. Tak, właśnie tam w nocy przysnął. Później zbudziły go szepty.

Stał przy barierce i nagle poczuł ukłucie w boku. Syknął i odwrócił się gwałtownie.

Wpatrywało się w niego oko małego Fryberga. Chłopczyk nie rozstawał się z drewnianą szpadą.

– Już pan nie żyje! – krzyknął. – Za chwilę będzie pan za burtą i zjedzą pana wieloryby. Albo tamten potwór. – Wskazał drewnianą klingą na słońce i trafiłby Abramowskiego w oko, gdyby ten się nie uchylił.

Abramowski z trudem powstrzymał gniew.

– Jaki potwór?

– Niech pan popatrzy na słońce. Jak jest już niżej, tak jak teraz, wygląda, jakby przychodziło po nas. A jego promienie to takie olbrzymie łapy. O, takie...

Chciał pokazać ich rozmiar i coś jeszcze powiedzieć, ale wtedy rozległ się podniesiony głos pani Frybergowej. Mały pirat odwrócił się. Przeklął tak, jak zwykli robić dorośli, zawahał się chwilę, wreszcie pognał w stronę matki.

Abramowski zastanawiał się, kiedy pierwszy raz świadomie użył przekleństwa. Nie mógł sobie przypomnieć. Ale pamiętał, że nauczył kłać młodszego brata. I gdy Poldek pochwalił się nowo poznanymi słowami, przy rodzinnym stole wybuchła niezła chryja.

Uśmiechnął się na myśl o tym.

Ze wspomnień wyrwał go szelest za plecami. Odwrócił się ponownie i odruchowo wyprostował. Ksiądz Piotr Marek może nie był olbrzymem, ale niewątpliwie mężczyzną słusznej postury. Obdarzonym kulistą głową i, ogólnie, obłymi kształtami.

– Przepraszam. – Uniósł rękę w pojednawczym geście. – Nie chciałem pana przestraszyć. Poza tym niech będzie pochwalony...

Jego głos był niski i dobrze osadzony.

Abramowski milczał.

– A tak w ogóle, jak tu, na tym statku, się pan czuje?

– Pyta ksiądz o zdrowie czy stan mojego ducha? – odpowiedział pytaniem. – Bo jeśli o to drugie, to nie potrzebuję pomocy. Jestem ateistą.

Był pewien, że ta deklaracja zakończy rozmowę, a duchowny uda się na poszukiwanie innych duszyczek godnych nawrócenia. Mylił się jednak.

– Wiara tu nie ma nic do rzeczy. Liczą się fakty. A są one takie, że my wszyscy tutaj znajdujemy się w sytuacji bez wyjścia. Jesteśmy w paszczy Dagona.

– Kogo?

– Dagona – powtórzył ksiądz. – Ten statek jest jak wielka ryba, a my tkwimy w jej wnętrznościach. A skoro właśnie tak jest, nasuwa się proste pytanie: jak wydostać się z tej krainy cienia i umarłych? Po prostu patrzę, co się tu dzieje. Płyną tu ludzie, którym wydaje się, że jeszcze żyją, a już dawno umarli.

Abramowski tracił cierpliwość.

– Może po kolacji zajrzy ksiądz do baru? Koniak, w niewielkich ilościach, ogrzewa ciało i umysł, przywraca funkcje życiowe...

Duchowny skrzywił się.

– Naśmiewa się pan i trywializuje temat. Ale proszę przypatrzeć się uważnie. Wtedy wspomni pan moje słowa.

Zaszeleścił sutanną na odchodnym. Abramowski przyglądał się przez chwilę jego szerokim plecami i majestatycznie sunącej postaci.

Słońce schodziło niżej. Zaraz się całkiem zanurzy i zapadnie ciemność. I za kilka godzin znów się pojawi.

Będzie jak zwykle. Bo to był zwyczajny rejs. Najzwyczajniejszy. Z tabunem nudziarzy, garstką oryginałów i kilkorgiem dziwaków. Rejs, podczas którego nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego i zapewne już nic się nie wydarzy.

ROZDZIAŁ 7

Tak jak poprzedniego wieczora znalazł się w sali tanecznej. Na parkiecie zrobiło się tłoczniej. Muzyka brzmiała podobnie, może nieco częściej rozlegały się latynoskie rytmy, szprotka miała na sobie złocistą sukienkę, ludożerca Sam zaś przyklejony do twarzy uśmiech. Jego palce wygrywały perliste pasaże.

Natknął się na Tartakowera i uznał, że koniak będzie lepszy od wódki.

– Wystarczyło postawić kolejkę. – Szachista się rozpromienił na widok butelki. – Ale widzę, że myśli pan trzy ruchy do przodu. Halo, jest pan tu?

Abramowski otrząsnął się.

– A tak... Przepraszam... Mam ostatnio jakąś skłonność do zamyśleń... Trzy ruchy. Byłem dziś na wykładzie o melancholii. Pewnie ciągle jestem pod wrażeniem.

Roześmieli się. Wypili kolejkę.

– O, widzę, że humor dopisuje!

Głos Zaremby był donośny. Dziennikarz podszedł do nich. Było widać, że ma już mocno w czubie. Włosy przylepiły mu się do czoła, a rumiana twarz przypominała dobrze wypieczony pączek.

– Tak myślę, że gdybyśmy mieli jednak te kolonie, to moglibyśmy wystawiać na olimpiadach dodatkowe drużyny. Naszego pianistę widziałbym w reprezentacji Angoli. Pana zaś – zwrócił się do Tartakowera – w drużynie Madagaskaru. Zresztą panów wszystkich. Najdorf na Madagaskar! – Roześmiał się ze swojego dowcipu. Jego szklisty wzrok kompletnie się rozpląnął.

Tartakower poczerwieniał. Zacisnął pięści i zrobił krok w kierunku Zaremby, lecz Abramowski chwycił go za ramię.

Dziennikarz roześmiał się raz jeszcze.

– I w dodatku poczucia humoru nie macie. No, chyba że ktoś opowiada szmoncesy, to wtedy tak. – Ukłonił się. – Życzę panom dobrej zabawy.

Oddalił się chwiejnym krokiem.

– Kawał agresywnego ścierwa – wycedził Tartakower. – Zwykła kurwa. Następnym razem wyrzucę go za burtę.

– Razem to zrobimy. – Abramowski sięgnął po papierosa. – Ale zanim to zrobimy, mam prośbę... Będzie pan jeszcze korzystał z radiotelegrafu?

– Pewnie tak... A co?

– Gdyby mógł pan się dowiedzieć... Zamek Wewelsburg... Co to jest za miejsce? Pewnie to nic takiego, ale bardzo mnie zaciekało.

– Wewelsburg? – upewnił się szachista.

Nim zdążył potwierdzić, rozległ się brzęk tłuczonego szkła, krzyk, a potem podniesione głosy.

Równocześnie spojrzeli, nie oni jedni na sali, w stronę, skąd dobiegał rejwach.

– Proszę opuścić salę! – Abramowski rozpoznał głos intendenta. – Nie jest pan tu już mile widziany! Zwracano panu uwagę, a pan swoje! Co pan w ogóle wyprawia?!

Dwóch mężczyzn trzymało Zarembę pod rękę. Dziennikarz się opierał, próbował wyrywać, ale nie miał szans.

– Statek pełen Żydów i komunistów! – wrzeszczał. – Żydokomuna i murzynokomuna! Ale zrobimy jeszcze z wami wszystkimi porządek!

Gdy wyprowadzali go, krzyczał o wielkiej Polsce, Falandze, Bolesławie Piaseckim i obozach koncentracyjnych.

Abramowski pożegnał Tartakowera i podszedł do stolika, przy którym intendent tłumaczył coś zebranym. Gestykulował i śmiesznie potrząsał barkami. Kelnerzy zbierali z podłogi szkło.

– Podszedł Sam, pianista, i wtedy się zaczęło. Byłem przy tym, więc wiem... Zażądał, by zespół zagrał *Pieśń Młodych* czy coś takiego... Sam powiedział, że nie potrafią. No to polski hymn. Że święto było i żeśmy bolszewika pogonili. Na to Sam, że to jest wieczór taneczny, że hymnów nie gra się ot tak, na zawołanie, że nie uchodzi. I wtedy poleciały wyzwiska. Że też coś takiego musiało się przydarzyć na statku, który cieszy się najlepszą reputacją...

Intendent zaczął przeproszać.

– Nie ma za co, chyba nikt tu się nie gniewa. – Abramowski rozpoznał mężczyznę, który przysypiał na popołudniowym wykładzie. – Poza tym co to byłby za rejs bez jakiegoś skandalu – nieznajomy próbował rozładować sytuację.

Po kwadransie incydent poszedł w zapomnienie. Zespół zagrał swinga, potem kolejnego. Abramowski stanął samotnie przy barze. Zamówił wódkę. Ktoś go potrącił, przeprosił, nawet nie zwrócił uwagi, kto to był. Trwał w zamyśleniu.

Ortopedyczny but Węgra.

Trzy ruchy do przodu.

A potem kolejne zdarzenie popsło wieczór. Jedna z tańczących dam, kompletnie nieznana Abramowskiemu, osunęła się na parkiet. Zrobiło się zamieszanie, ktoś krzyknął, jakaś tancerka pisnęła, muzyka ucichła. Wezwano pokładowego lekarza.

Doktor, ubrany dość niechlujnie, najpewniej wyrwany ze snu, bez zbędnego pośpiechu zajął się omdlałą, którą położono na złączonych fotelach. Podetknął jej pod nos flakonik, skropił czoło i usta wodą. Gdy skończył swoje czynności, wytarł dłonie w kamizelkę, wyjął zegarek z kieszonki, zmrużył oczy i najwyraźniej uznał, że przysługuje mu kolejka.

Abramowski stanął przy nim.

– Nic jej nie będzie, doktorze?

Lekarz był znacznie starszy od niego. Poprawił okulary na nosie.

– Oczywiście, że nie. – Podsunął sobie kieliszek pod nos, powąchał jego zawartość i na chwilę zamknął oczy. – Oczywiście, że nie – powtórzył. – W ogóle,

o dziwo, bardzo spokojny mamy rejs. To znaczy – poprawił się – ja nie mam tu żadnej roboty. Aż do dziś nic się nie wydarzyło. Wprawdzie słyszałem, jak kaszle pewien Duńczyk, ale to szczególny przypadek. – Westchnął. – I to chyba nie ja powinienem się nim zajmować...

– A ciotka takiej młodej damy, pani Niny... Słyszałem, że choruje... Musiała być u pana...

Doktor zmarszczył brwi.

– Ciotka? Pani Niny? Nie znam nikogo takiego. – Pokręcił głową. – Mówię panu, szczęśliwie jestem bezrobotny. No, był jeszcze ten pisarz, Wągrowicz, Węgrowicz czy jakoś tak, ale daj pan spokój... – Machnął ręką. – On choruje na wszystko, czyli na nic. Ale żadnej kobiety nie było. I dobrze. Bo pacjentki są zwykle trudniejsze od mężczyzn. – Spojrzał na Abramowskiego. – Mam nadzieję, że panu nic nie dolega...

Zbliżała się północ, gdy wrócił do kajuty. Wziął prysznic, legł na łóżku i założył ręce pod głowę. Znowu czuł ekscytację, był to jednak zupełnie inny stan niż poprzedniego wieczora. Silniki delikatnie wibrowały, a może drżały tak jego nerwy, jak zawsze, gdy zbliżał się do rozwiązania jakiegoś problemu. Tym razem rozwiązanie było tylko częściowe, w zasadzie stanowiło jedynie bilet wstępu prowadzący gdzieś dalej, nie wiadomo jeszcze gdzie, ale tyle musiało na razie wystarczyć.

Maroczy.

Nina.

Oczywiście, że tak.

Dziewczyna i jej ciotka.

Trzy ruchy do przodu. A właściwie trzy posunięcia do tyłu. Chodziło właśnie o to, żeby cofnąć się w czasie do chwili, gdy wyruszyli w rejs.

Wiedział już, co przeoczył, kiedy przypatrywał się podróżnym zmierzającym w Gdyni na statek.

ROZDZIAŁ 8

Tej nocy nie dręczyły go koszmary. Rankiem rześko wskoczył pod prysznic i jeszcze bardziej ożywiony spod niego wyszedł. Przeczesał brodę i włosy. Pomyślał, że może warto by skorzystać z usług fryzjera. Naperfumował kark i szyję, a potem opuścił kabinę. Pasażerowie spali w najlepsze. W jednym z takich okrętowych pokoi spała też Nina z ciotką.

Dobre sobie.

Uśmiechnął się do siebie. Nie wiedział jeszcze, którą kajutę zajmują, ale było to łatwe do ustalenia. Liczył na to, że dopadnie dziewczynę, gdy będzie przemykać się rano, żeby przynieść schorowanej towarzyszce śniadanie do pokoju, albo, zwyczajnie, będzie chciała się przejść po statku. Przecież nie może siedzieć przez cały rejs w zamknięciu. Zatem dopadnie ją. Chociaż nie, to nie jest dobre słowo. Po prostu z nią porozmawia. Wyjaśni pewną sytuację.

Przeszedł się pustymi korytarzami, obszedł salony, zajrzał do biblioteki. Z ciekawości podszedł do półek, ale Choromańskiego już nie było. W palarni mieszała się woń wszelkich gatunków tytoniu. Na stoliku ktoś zostawił szklanę po piwie. Wokół pustka i cisza. Wszelcy okrętowi stewardzi – kabinowi, salonowi, kąpielowi, pokładowi oraz inni, których wymienić nie potrafił – przewracali się w łózkach z boku na bok, dośniewając ostatnie sny.

Wyszedł na pokład i powiódł po nim wzrokiem. Jednak nie był sam. Na drugim krańcu dwóch marynarzy szorowało podłogę. Powiał wiatr. Pierwszy raz tak silnie podczas rejsu. Fale na niemal gładkim dotychczas oceanie zaczynały się spiętrzać. Stanął przy barierce, zamknął oczy i wystawił twarz ku słońcu i podmuchom. Trzy ruchy do przodu. Nie mógł się nadziwić, jak to przeoczył.

Usłyszał skrzypnięcie pokładowych desek, a potem ktoś chrząknął. Otworzył oczy i odwrócił głowę. Mężczyzna, ten, który spał poprzedniego dnia na wykładzie, przypatrywał mu się z uśmiechem.

– Widzę, że nie tylko ja wstaję o świcie – zagadnął. – Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. I tak dalej. W zależności od wyznania. Ciekawe, czy ten dziennikarz, ten, co wczoraj trochę narozrabiał wieczorem, też już się obudził. – Podszedł do Abramowskiego. – Staszewski. – Wyciągnął rękę. – Producent filmowy.

Abramowski przedstawił się. Burknął, że jest filozofem.

Mężczyzna rozpromienił się, jakby usłyszał niezły dowcip. Był nieco niższy i młodszy. Jego blond włosy opadały na kark. W rękach miętolił białego kanotiera, który przy tym wietrze był mu na nic.

– A, filozof! To dlatego był pan na tym wykładzie. Ja po prostu przysnąłem w rogu zmęczony, a gdy zbudził mnie ten przeraźliwy kaszel, trochę głupio było wyjść. Słabo znam francuski i nic z tego nie rozumiałem. Zresztą dla mnie prawdziwe życie toczy się tu. – Zatoczył ręką półkole.

– W oceanie?

– Nie – roześmiał się. – Na pokładzie. – Ściszył głos. – Wie pan, ja tu jestem w pracy. Zresztą prawie zawsze jestem w pracy.

– Tak? A na czym ona polega, jeśli wolno spytać?

– A tak. Łowię. Tyle że jestem nietypowym rybakiem. Łowię kobiety. Przypatruję się dziewczynom. Co pan na to?

– No... – Abramowski postanowił przyjąć postawę wyczekującą.

– Szukam aktorek. Przyszłych gwiazd. I powiem panu, za każdym razem, gdy płynę takim statkiem, jest tak samo. Zawsze się trafi jakiś niezły towar. Jedne się opalają w tych kostiumach, inne gimnastykują, flirtują... Nawet gdy grają w *shuffleboard*, nie tracą uroku. I wśród nich, w tej ławicy, zawsze znajdzie się jakaś szczególna. Tutaj też tak jest. Jest tu taka jedna. Prawdziwa kocica. Perła wśród pereł. Uroda i wzrost Konopackiej, a nogi do samego nieba. Mógłbym

zrobić z niej prawdziwą gwiazdę. Zresztą, co ja mówię! Zrobię z niej prawdziwą sławę. Musi pan przyznać, że dobre trafiło mi się zajęcie.

Powiało tak mocno, że Abramowski chwycił się kurczowo barierki. Starannie ułożona fryzura Staszewskiego rozwiała się na wszystkie strony. Producent zmełł w ustach przekleństwo i przeczesał włosy palcami. Abramowski spojrział na niego, a potem przeniósł wzrok na ocean.

– Będzie dziś trochę bujało – powiedział. – Ciekawe, jak to zniosą żołądki pasażerów...

– À propos żołądków. – Staszewski ożywił się ponownie. – Wie pan, jak zaczynałem? Odkupiłem od Bednarskiego masarnię. Miał najlepsze podroby w Gdyni. I zrobiłem tam kino, bo słyszałem, że przemysł filmowy to prawdziwa przyszłość. Ale jakoś trzeba zacząć. Więc w tym moim kinie słaba wentylacja, tyle co żadna, lekki sztynek, zresztą, co tam, prawdę panu powiem, capię tam okrutnie, a ludzie walili jak głupi. Wprawdzie, fakt, bilety były u mnie tańsze i tym wygrywałem. I nagle mnie olśniło. Wie pan, co wymyśliłem? *Perfume boyów*.

– Kogo?

– *Perfume boyów* – powtórzył. – Wynająłem takich chłopaczków i sadzałem ich na skraju rzędów. A gdy w sali robił się zaduch... no, bądźmy szczerzy, smród nie do wytrzymania, brali flakony i spryskiwali ją wodą toaletową. I na chwilę było dobrze. Taki miałem patent. Tak zaczynałem, a potem już poszło samo. A ta dziewczyna, tutaj, mówię panu: prima sort. Będzie gwiazdą.

– Coś pana ugryzło w szyję? – Abramowski zmienił temat.

– Nie... Gdzie? – Staszewski odgarniał włosy. – Chyba nie...

– Przepraszam, zdawało mi się.

– Dziewczyna dziewczyną, ale wie pan, co było dla mnie największym zaskoczeniem? Książdz.

– Książdz?

– Ano tak. Wczoraj zszedłem do sali gimnastycznej, żeby trochę poćwiczyć na wioślarzu i pouderzać w worek, bo staram się dbać o formę, a tam książdz.

Oczywiście nie ma w tym jeszcze nic dziwnego, przecież on też powinien mieć siłę, żeby paść swoje owieczki, ale to, jak wyglądał...

– Pewno ledwo żył.

Staszewski machnął ręką.

– A gdzie tam. Oczywiście nie miał sutanny, tylko strój gimnastyczny, ostatecznie w sutannie byłoby mu trudno, i wie pan co? Wyglądał jak zapaśnik. Duży brzuch, owszem, ale poza tym potężna muskulatura. Mięsień na mięśniu. Jakby nic innego w życiu nie robił, tylko ćwiczył.

– Rzeczywiście zdumiewające – mruknął Abramowski. – Jakby w miejsce cyrku wybrał kościół. Chociaż dla mnie to prawie jedno i to samo.

Roześmieli się. Marynarze wciąż szorowali pokład, na którym pojawiło się kilkoro podróżnych. Abramowski wypatrywał Niny, ale wśród amatorów porannych widoków jej nie było.

Raz jeszcze solidnie dmuchnęło.

Abramowski pożegnał się i zszedł na niższy poziom. Staszewski trwał przy poręczy. Zapewne czekał na kocicę z nogami do nieba, z której zapragnął uczynić gwiazdę.

Z palarni dobiegał znajomy piskliwy głos.

– Zgodziłem się na ten reportaż, bo to dobra fucha. Podróż, przygoda, może trochę egzotyki w jakimś porcie. Płomienne latynoskie dziwki, odurzeni rumem marynarze, tanga grane w spelunkach... Ale prawdziwe pisanie to zupełnie inna sprawa. Bo literatura, księżo dobrodzieju, nie jest dla idiotów. Żeby czytać książki, trzeba mieć pewne rozeznanie w kulturze. Nie oczekuję, że moje książki pójdą pod strzechy. Gdyby płynął ksiądz do Buenos i porozmawiał z tym ich najsłynniejszym pisarzem, tym ślepy, powiedziała by księdzu to samo.

Abramowski wsunął głowę w odrzwia. Gombrowicz i Marek siedzieli w fotelach obitych czerwonym żakardem, na stolyczku między nimi leżały dwie papierośnice, a pośrodku stała popielniczka z kryształ. Kapłan był zgarbiony, a może to sutanna tak układała jego kształty. Pisarz przeciwnie – swobodnie

rozparty, z nogą założoną na nogę, kręcący butem półokręgi. Gdy zobaczył Abramowskiego, poderwał się i zastygł. Wyglądało to tak, jakby chciał się przywitać i nagle zmienił zdanie.

A potem przykucnął i zaczął skakać, odbijając się obunóż od dywanu. Zarówno Abramowski, jak i duchowny przypatrywali się mu zdumieni.

– No, niechaj ksiądz ruszy cielsko i pójdzie w moje ślady! – zakrzyknął Gombrowicz i wykonał skok. – Hyc! Niech dobrodziej podwinie sutannę. Imaginuję, że ma ksiądz piękne łydki. No dalej!

– Niech się pan nie wydurnia – cicho powiedział Marek, ale tamten nic sobie z tego nie robił.

– Hyc z polskich opłotków! Hyc spod strzechy słomianej! Hyc z polaczkowatej powłoki! Hyżo od ojczyźnianego kompotu! Hyc od Pana Boga! A może pan dołączy, panie Abramowski?

Odbił się jeszcze kilka razy przy stoliczku. Skojarzył się Abramowskiemu z szachowym skoczkiem, najbardziej niesforną spośród figur. A potem pisarz, zdyszany jak pies, opadł na podłogę.

– I po co to panu było? – zapytał ksiądz.

Abramowski wycofał się. Gdy zrobił kilka kroków, usłyszał donośny głos za plecami.

– Panie Abramowski, był tu ten szachista i pytał o pana. Ten łyсы, w binoklach. Słyszysz mnie pan?

Nie odpowiedział.

Przy śniadaniu wszyscy wypatrywali Zaremby, ale dziennikarz się nie pojawił. Zapewne odsypiał wieczór. Nie wyglądał na takiego, którego gryzłyby wyrzuty sumienia albo dopadał wstyd. Nie ten styl i nie ta klasa. Przybył natomiast nowy współbiesiadnik. Tyczkowaty, w mundurze, przedstawił się jako podporucznik marynarki Bolesław Kałuża. Przydzielony jako oficer do spraw kultury. Zapowiedział, najpierw po polsku, potem po francusku i angielsku, że wieczorem, zamiast dansingu, odbędzie się seans filmowy. *Snow White and the Seven Dwarfs*.

Wszyscy, bez względu na wiek, mogą oglądać mistrzostwo Disneya. Zabawy taneczne zaś powrócą jutro.

Wycierał usta serwetką, gdy dostrzegł Tartakowera. Szachista skinął głową i ruszył w stronę wyjścia. Abramowski udał się za nim.

Wyszli na pokład i stanęli przy barierce. Tartakower wyjął papierośnicę. Począł, aż miną podmuchy wiatru. Abramowski także zapalił.

– Zaintrygował mnie pan wczoraj. – Mistrz poprawił *pince-nez* na nosie. – I dziś rano rozmawiałem z Paryżem. Więc ten zamek, Wewelsburg, znajduje się niedaleko Paderborn, powstał w średniowieczu... – Przypatrywał się swemu towarzyszowi. – Ale coś czuję, że najbardziej zainteresuje pana to, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim wydzierżawiło go nasze ukochane SS. Na sto lat, za psie pieniądze... – Urwał, żeby zobaczyć, czy jego słowa wywarły wrażenie. – A jeszcze bardziej interesujące jest to, co się mówi o tym miejscu. Że jest to ośrodek kultu, jakichś praktyk magicznych, poszukiwania nieznanymi źródłami energii... Przyznam się, że zżera mnie ciekawość, po co to panu, ale zapewne nie otrzymam odpowiedzi.

Abramowski wzruszył ramionami.

– Sam jeszcze nie wiem. Być może po nic.

Opowiedział o wykładzie i Cornelu Corneliu. O zielonej koszuli i potrójnym krzyżu Świętego Michała Archanioła. O tym, że religioznawca mimochodem wspomniął o Wewelsburgu.

– Może i tam był, na zamku, jakiś turniej szachowy, ale nic o tym nie wiem – powiedział Tartakower. – Raczej nic dla zawodowców. Swoją drogą, gdybym nabrał jakichś dodatkowych mocy i odnalazł szachowego Graala, byłbym nie do zatrzymania. – Spojrzał na marynarkę i strzepnął z niej popiół. Przeniósł wzrok na rozmówcę. – Ciekawy z pana człowiek. Dociekliwy. To może zainteresuje pana również to, że rano u radiotelegrafisty był ktoś jeszcze. Przede mną...

– Kto?

– Ten młody człowiek, który siedzi z panem przy stole. Sekretarz tego nafcjarza, zdaje się.

Abramowski zmarszczył brwi.

– Terlecki? Czego chciał?

– Lekko się spłoszył, gdy się zjawiłem. Przyszedł zapytać, czy w najbliższych dniach spodziewany jest sztorm. Mówił, że żona nafcjarza bardzo się boi sztormów i wolałaby wiedzieć z wyprzedzeniem.

Abramowski wybijał palcami rytm na poręczy.

– A jakie są przewidywania w tej sprawie?

– O to samo zapytałem. Sztorm będzie. Albo go nie będzie.

Mistrz roześmiał się, jakby opowiedział dobry dowcip.

– Ten Terlecki... – Abramowski dopytywał. – Powiedział pan, że się spłoszył. Co to znaczy?

Tartakower chrząknął.

– Jakoś tak osobliwie się tłumaczył... Musiał wyjaśnić, w jakiej przyszedł sprawie, chociaż ja o nic nie pytałem. I był przy tym dziwnie nerwowy. – Spojrzał na Abramowskiego badawczo. – Czasami odnoszę wrażenie, że nikt na tym statku nie jest tym, za kogo się podaje. Nikt poza nami szachistami. I panem, oczywiście. – Sondował go wzrokiem. – Tyle podpowiada mi intuicja. – Machnął ręką. – Albo czysta fantazja.

Szachista czekał na ripostę, ale ta nie padła.

Zeszli pod pokład. Abramowski zrobił jeszcze jedno kółko po salonach. Zajrzał do intendenta i dowiedział się, którą kabinę przydzielono Ninie i jej ciotce. Potem poszedł do siebie i wyciągnął się na sofie.

ROZDZIAŁ 9

Leżał z rękami założonymi pod głowę, w lewym uchu słyszał tykanie zegarka, a w myślach rozbrzmiewały mu słowa, które szachowy maestro wypowiedział na odchodnym.

Nikt na tym statku nie jest tym, za kogo się podaje.

Nawet jeśli była w tym pewna przesada, intuicja nie zawodziła mistrza. Sam Abramowski był tego najlepszym przykładem.

Zamknął oczy. Weźmy tego księdza, o którym wiedział najmniej. Zwolennika tężyzny fizycznej, który podobno ma zbawiać polskie duszyczki w Paranie i pełnej niebezpieczeństw dżungli. Brazylijska gorączka, jak o południowoamerykańskim wychodźstwie mówiono, była już pieśnią przeszłości, a tamtejsze władze, wyznające kult silnej ręki, od kilku lat trzymały emigrantów na krótkim łańcuchu. I, ponoć, wszyscy Polacy byli tam już ze sobą skłóceni. Jakby była to jakaś szczególna nowina. Czy przydałby się im jeszcze jeden ksiądz? Czy mogło być tak, że ten następca Stanisława Cyganiewicza, dotknięty jakoś przez Boga, zamienił lepką zapaśniczą matę na chłodną kościelną posadzkę i leżenie krzyżem? Czemu nie. Mogło. Ale coś podpowiadało Abramowskiemu, że możliwa jest inna odpowiedź. To, co wczoraj usłyszał na pokładzie, może nie napawało grozą, ale i nie wróżyło zbyt dobrze. Pasażerowie w czeluściach wielkiej ryby z żelaza i stali. Kraina umarłych. Jeśli takimi opowiastkami ksiądz Piotr Marek chciał krzepić serca emigrantów, to krzyż mu na drogę.

On sam od młodszych lat nie lubił klechów i kruchcianej polskości. Oraz tego, że w kraju niczego nie dało się już załatwić bez pomocy i udziału kropidła. Wstawiennictwa Najjaśniejszej Paniienki, cudu nad Wisłą i innych zjawisk

nadprzyrodzonych. Może ta więź nie była jeszcze tak silna jak w Hiszpanii dyktatora Franco, ale i w Polsce wszystko zmierzało w tę stronę. Przypomniawszy sobie Hiszpanię. A także to, co powiedział Tartakowerowi. Że nie zna się na wojskowości. Nie była to prawda. Miał jednak o niej pewne pojęcie. Wiedział nawet więcej, niżby chciał.

Ażeby dostrzec silne związki władzy z siłami wyższymi, nie trzeba było zresztą wyprawiać się aż tak daleko na południe. Ta Europa, którą lubił i szanował, oparta na zdrowym rozsądku, rozumie, wolności i nauce, ustępowała przed jakimś potworem kroczącym w aureoli szaleństwa. Zresztą o jakim ustępowaniu mowa! Stary Świat przegrywał na całego i z kretesem. Weźmy tę zieloną koszulę Cornela Corneliu zdobioną potrójnym krzyżem. Trudno o bardziej jawne okazywanie politycznych sympatii. Nie było wątpliwości, że religioznawca ma silne związki z Żelazną Gwardią, rumuńskimi faszystami, którzy od kilku lat – nie był w stanie przypomnieć sobie, od jak dawna – prowadzili jakąś mistyczną krucjatę zarówno wśród prostego ludu, jak i na salonach Bukaresztu, a od czasu do czasu uprawiali krwawą działalność, likwidując wrażliwych polityków. I jeszcze zamek Wewelsburg. Co on robił w tym gnieździe esesmańskich szerszeni? Jak się tam znalazł? Kolejne pytania, na które nie miał na razie odpowiedzi.

I następna zagadka, tym razem łatwiejsza i bardziej przyziemna. Dlaczego Terlecki, ten plenipotent Wolicy, dopytywał się o pogodę? Tu odpowiedź narzucała się sama. Czyżby właśnie w dniu sztormu, a jeszcze pewniej w nocy, przedsiębiorca naftowy, wskutek nieoczekiwanego wypadku, miał znaleźć się za burtą i uczynić Lusię nieco bardziej szczęśliwą? Wiele na to wskazywało.

Zostawała Nina. Najbardziej tajemnicza kobieta na statku. Zajęło mu mnóstwo czasu, żeby ukonkretnić ten błysk, tę mgławicową asocjację, której doświadczył w Gdyni. Raz jeszcze miał tę scenę przed oczami, w powiększeniu i bez zakłóceń wywołanych wówczas głosem Tartakowera.

Idą we dwie. W ruchach widać pośpiech. Czarna suknia do ziemi zakrywająca postać. Czarna woalka zasłaniająca twarz. Jakby tego było mało, gdyby jednak ktoś

chciał się przypatrzeć twarzy, na podorędziu był jeszcze wachlarz. A potem to nagłe potknięcie.

Wtedy właśnie mignęły mu buty ciotki.

Czarne.

Należące do kobiety, która musiałaby być olbrzymką.

Albo do mężczyzny z całkiem dużymi stopami.

Widział je dobrze, nawet z pewnej odległości. Był to błysk, ułamek sekundy, ale nie mógł się mylić. Do tego doszło zagadkowe zachowanie kobiet na statku. Unikanie podróżnych przez Ninę. Jej jakaś nienaturalna tajemniczość. Asocjacja wreszcie rozbłysła pełnym blaskiem. Cały czas chodziło o buty. Być może nie wpadłby na to, gdyby nie noga Maroczego. Sprawą do rozstrzygnięcia pozostawało, kim jest ten mężczyzna podróżujący z Niną. I czy jego obecność incognito ma jakiś związek ze zleceniem, które zobowiązał się wykonać. Musiał się dowiedzieć. Ta kwestia miała teraz pierwszeństwo.

Rozboliła go głowa. Od razu poczuł, że nie jest to zwykły ból, jakaś banalna migrena, tylko zbliżający się kataklizm. Jego ciało wysyłało sygnały ostrzegawcze. Usiadł na sofie i kurczowo przytrzymał się krawędzi dłońmi. Cichy, ciągły dźwięk. Jakby strojenie instrumentu przed symfonicznym koncertem. I pauza. Odetchnął z ulgą. A jednak to nic takiego. Z pewnością nic poważnego. Niepotrzebnie zaczął panikować. Cisza przed burzą, której ostatecznie nie będzie.

Starał się skupić myśli na czymś innym. Był jeszcze ten łowca gwiazdek filmowych, producent od siedmiu boleści. Jak mu tam? Staszewski. *Perfume boye*. Dobrze sobie. Pewno wymyślił tę historyjkę, żeby stać się bardziej wiarygodnym. Przez lata Abramowski nauczył się przypatrywać ludziom. Wymagała tego jego profesja. I gdy tak stali wtedy na pokładzie, a wiatr rozwiął bujne włosy producenta, zobaczył coś u niego z boku szyi. Dlatego chwilę później powiedział o ukąszeniu. Gdy mężczyzna odruchowo odgarnął włosy, zobaczył to jeszcze raz. Niewielki, centymetrowy tatuaż. Coś w rodzaju litery „S” albo błyskawicy.

Staszewski miał charakterystyczny znak, którym posługiwali się pewni ludzie z Gdyni. Tacy, których lepiej nie spotkać w ciemnym zaułku.

W czasach, kiedy Gdynia pozostawała jeszcze wsią, były to zwyczajne typy spod ciemnej gwiazdy. Później, wraz z rozkwitem portu, ludzie ci stawali się prawdziwymi szychami. Opiekowali się nielegalnymi oficynami w kamienicach. Inni weszli w interesy w Chińskiej Dzielnicy, Meksyku, Abisynii, Betlejem i wszelkich innych dość egzotycznie nazywanych zakazanych miejscach, w których znajdowały się palarnie opium i małe kinematografy z pornografią. Byli i tacy, co zajęli się reżyserią takich filmów. Staszewski mógł być jednym z nich. Aby było łatwiej im się rozpoznać, robili sobie niewielkie tatuaże. Podobno ostatnio pojawiła się moda wśród gimnazjalistów, żeby zgrywać twardzieli; w zbliżony sposób zaczęli znaczyć ciała, co doprowadziło do pewnego zamieszania w przestępczym światku. Ale Staszewski nie był już wyrostkiem. Należał też, tego Abramowski był niemal pewien, do ludzi szczególnego sortu, którym gardził nad wyraz.

I znów powrócił ten jedyny w swoim rodzaju dźwięk. Abramowski uniósł głowę i powiódł wzrokiem po ścianach, meblach i suficie, chociaż wiedział, że niczego nie znajdzie. W kabinie nie było żadnego owada, bo też skąd miałyby się tu znaleźć. Dźwięk insekta rozbrzmiewał w jego głowie. Monotonne bzyczenie, czasem zmieniające amplitudę. Nauczył się, że nie wolno zatykać uszu rękami, ponieważ wtedy jest jeszcze gorzej. Nic nie dawało przytykanie czoła do chłodnej ściany, bo wówczas zaczynała drgać cała głowa. Nauczył się, że najlepiej liczyć oddechy. Albo skupić się na jakimś wspomnieniu i w ten sposób oszukać natrętną muchę.

Gdyby ktoś namawiał go, żeby opowiedział swoje życie, nie umiałby wszystkiego poskładać w całość. Być może było to niewykonalne. Przywołał obraz skaczącego Gombrowicza. Tak. Jego życie zdecydowanie bardziej przypominało ruchy skoczka niż gońca monotonnie przemierzającego diagonale. Zresztą nikt nigdy go o taką opowieść nie poprosi, bo i po co? Gdyby jednak jakimś cudem tak się stało, opowiedziałby o trzech bliznach. Tej nad prawą brwią. Na lewym policzku. Ale zacząłby od szramy pod gardłem.

Działo się to trzynaście lat temu. Dopiero co wrócił z Paryża. Pojechał tam za pewną malarką, w której zakochał się bez pamięci, i utknął na dwa lata. Dziewczyna szybko wyszła za jakiegoś rosyjskiego księcia, a on topił smutki w La Rotonde, Le Select i podrzędnych spelunkach, często w towarzystwie Jake'a Barnes'a, dziennikarza i pisarza, wielbiciela walk byków, który te pijaństwa opisał później w dość głośnej powieści. A gdy wrócił do Polski, bez grosza i ze złamanym sercem, przypomnieli sobie o nim dawni przyjaciele. Wtedy też dostał pierwsze poważne zlecenie.

Zadanie było proste. Miał wsiąść na transatlantyk płynący do Ameryki Północnej i odnaleźć pewną dziewczynę. Oraz jej opiekuna. Dziewczynę miał przywieźć z powrotem, opiekuna – niekoniecznie. Tych dżentelmenów mogło być też kilku, trzeba było wykazać się więc dużą ostrożnością. A co, jeśli się nie uda? Wtedy młoda dama nie trafi do wytwórni filmowej, o której tyle słyszała, ale do luksusowego burdelu. Podzieli losy innych „srebrnych łyżeczek” czy „dywanów ze Smyrny”, jak nazywano te najładniejsze, z czasem stoczy się, wypadną jej zęby, ciało zwiotczeje, „delikatne mięsko” przeistoczy się w „worek kartofli”. Jeśli akcja się nie powiedzie, on sam najpewniej wyląduje na dnie oceanu. Wóz albo przewóz.

Wciąż jeszcze pamiętał tę ekscytację, gdy przybył do portu Bremerhaven i pierwszy raz wsiadł na potężny statek. W młodości, jak wielu małych chłopców, wyobrażał sobie, że zostanie wilkiem morskim. Z zapartym tchem czytał o tym, jak „Savannah” przepłynął z Georgii do Liverpoolu, a działo się to w czasach, gdy Adam Mickiewicz kończył studia. Prawie dwadzieścia lat później, kiedy wieszcz przygotowywał się do wykładania literatury w Lozannie, „Sirius”, młodszy brat tamtego statku, napędzany już tylko parą, pokonał Atlantyk w dwa i pół tygodnia. Minęły kolejne dwa dziesięciolecia, pojawiły się kadłuby z żelaza, a liczba pasażerów transatlantyckiego rejsu wzrosła do półtora tysiąca. Statki stały się czymś w rodzaju hotelu albo małego miasta. I właśnie na takim kolosie, wśród takiej gęstwy ludzi, znalazł się na najniższym pokładzie.

Nie zapomniał tej woni. Oleju i pleśni, wilgotnych sienników i poplamionych koców. Wielgachnych poduch i pierzyn, które emigranci targali ze sobą. Powietrza,

wilgotnego i tłustego zarazem, nadpsutego jedzenia i cuchnącej wody. Szczepień przeciw ospie. Zwykłej ludzkiej biedy i nieszczęścia. Kilku zgonów i ciał wyrzucanych za burtę bez zbędnych ceregieli. Fałszywego szczęśliwie alarmu zwiastującego jakąś epidemię. Hałasu silników i wibracji, które utrudniały zasypianie. Jednej dziewczyny z Galicji, którą nauczył liter. Obiecała, że napisze do niego, gdy już osiadzie w Ameryce. Nigdy nie otrzymał od niej listu. Inna zakochała się w marynarzu, a kiedy chłopak znalazł kolejną, podcięła sobie żyły.

Samo życie.

Zadrzał, gdy dźwięk w głowie stał się donioślejszy, a jego amplituda wzrosła. Wszedł do łazienki i oparł ręce na umywalce. Bał się spojrzeć w lustro. Oddychał ciężko. Drżał.

Wtedy na statku, który nazywał się „Kaiser Wilhelm der Grosse” i był dumą firmy przewozowej Norddeutscher Lloyd, o żadnym lustrze nie było mowy. Gdy po dziewięciu dniach przybijali do Ameryki, był na skraju wyczerpania, ale wykonał zadanie. Jak to zrobił? Szczegóły nie są aż tak istotne.

Rok później trafiło mu się podobne zlecenie, wzrósł tylko stopień trudności. Miał wydobyć ofiarę z wykwintnego domu rozpusty w Buenos. Dziewczyna została sprzedana przez ojca, łódzkiego fabrykanta, który w ten sposób postanowił wykaraskać się z długów. Jakimś cudem udało jej się przemycić list do kraju, a tu rzutcy ludzie uznali, zapewne słusznie, że angażowanie argentyńskiej policji, skorumpowanej i bezwolnej, mija się z celem. Tym razem rejs do Ameryki odbył już w innych warunkach. Po drodze przeczytał nawet powieść Jacka Londona.

Trzykrotnie odwiedził burdel. Poznał rozkład pomieszczeń, dziewczyny, a także chroniących ten przybytek ludzi. Wyglądało na to, że będzie kolejnym stałym klientem. Potem wykonał zlecenie.

Musieli zgubić tych, którzy ich ścigali. Dziewczyna szczęśliwie dotarła na statek, tam się nią zaopiekowano, on zaś mylił tropy. Dopadli go w dzielnicy, o której mówiło się, że walczą w niej noże, nie ludzie.

Ostrze błysnęło, on jeszcze zdążył się uchylić. Gdyby tego nie zrobił, siła uderzenia zapewne odcięłaby mu głowę. Tak powstała pokaźnych rozmiarów blizna na szyi. Nim dwaj napastnicy dokończyli dzieło, leżąc we krwi, wyszarpał pistolet. Strzelił cztery razy. Po dwa do każdego. Żeby mieć pewność, że żaden się nie podniesie.

Potem raz jeszcze wziął podobne zlecenie i wy dostał z tarapatów następną dziewczynę. Uznawszy, że wystarczy mu awanturniczego życia, osiadł na łądzie i zajmował się tym, czym zwykł się parać prywatny detektyw z siedzibą w klitce na Nowym Świecie pod numerem sześćdziesiątym czwartym. Gdy znalazł kryjówkę niejakiego Ziobry, mordercy i gwałciciela porównywanego z „Wampirem z Łowicza” Ensztajnem, poświęcono mu obszerny artykuł w „Tajnym Detektywie”. Raz opisał go „Kuryer Metapsychiczny”. Właśnie wtedy pomyłono go z Wotowskim.

Teraz historia w pewnym sensie zatoczyła koło, a on znów znajdował się na statku płynącym do Buenos. Jednak tym razem było inaczej. Kajutę miał w najlepszej klasie. I nie zajmował się ściganiem alfonsów. To był prawdziwy fach Staszewskiego. Nie miał co do tego wątpliwości. Z tego, co usłyszał, wynikało, że rajfur znalazł już na pokładzie smakowity kąsek i do końca rejsu urobi dziewczynę. Potem będzie jak zwykle.

Dźwięk w głowie przypominał wycie syren. Jakby w tym samym momencie na całym świecie włączono sygnały alarmowe. Padł na kolana i się skulił.

Później, na czworakach, doszedł do biureczka i otworzył szufladę. Ręce mu drżały. Wyjął fotografię, ale przed oczami miał tylko rozmyty obraz. Wyteżył wzrok, lecz w niczym to nie pomogło. Postaci ze zdjęcia przemieniły się w dwie pulsujące plamki.

– Gdzie się podziałeś, bracie? – wyszeptał. – Jestem tu ze względu na ciebie.

Fotografia wysunęła mu się z palców.

Podniósł rękę do ust.

Wbił zęby w nadgarstek, żeby nie krzyknąć.

ROZDZIAŁ 10

Kabina Niny i ciotki była na końcu korytarza. Tuż za nią znajdował się składzik przeznaczony dla stewardów. Przed jego drzwiami stały dwa wózki, którymi rozwożono czystą pościel i ręczniki. Abramowski stanął przy drzwiach i przyłożył do nich ucho. Był niemal pewien, że usłyszy męskie chrapanie, ale w środku panowała cisza. Wcisnął się we wnękę za wózkami, usiadł i czekał. Ryzyko, że o poranku ktoś go tu zastanie, było minimalne. Ze swojej obecności nie musiałby się zresztą nikomu tłumaczyć – na statkach widywano rzeczy, o których nie śniło się filozofom, prawdziwym, a nie takim jak on. W tej niezbyt wygodnej pozycji przysnął, ale wiele razy zdarzało mu się drzemać w znacznie dziwniejszych warunkach.

Ocknął się, kiedy usłyszał chrobot zamka. Wciągnął brzuch i wstrzymał oddech. Był pewien, że Nina najpierw wysunęła głowę, rozejrzała się po korytarzu, a dopiero gdy zobaczyła, że nikogo nie ma, wyszła i, najciszej jak można, zamknęła drzwi. Dywan tłumił jej kroki. Abramowski policzył do dziesięciu i wyjrzał. Dziewczyna poruszała się ostrożnie, była już w połowie drogi do schodów. W powietrzu unosiła się woń delikatnych perfum. Dogonił ją, gdy chwyciła za poręcz i postawiła stopę na pierwszym stopniu.

– Dzień dobry, pani Nino – powiedział cicho. – Jak zdrowie szanownej cioci?

Cicho krzyknęła i odwróciła się gwałtownie. Olbrzymie zielone oczy wpatrywały się w niego przerażone. Jej pierś falowała.

– Czego pan chce? – zapytała, wciąż z trudem łapiąc powietrze.

– To musi być szalenie uciążliwe przemykać się tak każdego ranka. Po południu jest chyba jeszcze trudniej, prawda? Jak to się pani udaje? – Chciał, aby jego głos brzmiał łagodnie, lecz stanowczo.

– Czego pan ode mnie chce? – powtórzyła pytanie. – Kim pan jest? Proszę mnie zostawić, bo zacznę wzywać pomocy.

Jak to ujął mistrz Tartakower? Ładna i płochliwa jak łania. Trafione w sedno.

Abramowski pokręcił głową.

– Nie zacznie pani. Mogłaby pani to zrobić, ale wtedy wyszłoby na jaw, że na statku mamy pasażera na gapę. A tego bardzo by pani nie chciała.

Oczy dziewczyny zrobiły się jeszcze większe. Usta zadrżały. Pragnęła coś odpowiedzieć, lecz nie wiedziała co. To był właśnie taki moment jak w partii szachów, gdy jedna ze stron ma inicjatywę. Teraz trzeba ją potwierdzić i docisnąć przeciwnika.

Ujął ją za łokieć.

– Chodźmy na pokład – rzekł. Było to raczej żądanie niż propozycja. – Chyba że woli pani rozmawiać tu, na schodach. Tyle że zaraz jacyś ludzie zaczną się kręcić...

Wahała się przez chwilę. A potem podjęła decyzję. Odwróciła i ruszyła na górę. Prawie biegła po stopniach. Jakby chciała mieć tę drogę jak najszybciej za sobą. Abramowski chłonał zapach perfum i przypatrywał się drobnemu, sprężystemu ciału.

Zaproponował, żeby usiedli na leżakach, ale odmówiła. Papierosa też nie chciała. Trzęsała się z zimna i nerwów, więc zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona. Spojrzała na niego, a na jej twarzy strach po raz pierwszy ustąpił zdziwieniu.

– Jestem pewien, że gdy tu szliśmy, wymyśliła pani całą historyjkę. I teraz będzie mnie przekonywać, że się mylę. Więc zapytam tylko raz. Kim jest ten mężczyzna?

W jej oczach wyczytał wahanie. Zacisnęła usta.

– Jest pan z policji, prawda? – stwierdziła wreszcie.

Pokręcił głową.

– Prywatny detektyw, tak? Moja kochana rodzinka pana nasłaa?

Raz jeszcze zaprzeczył.

– Detektyw pokładowy? Musi być tu ktoś taki – próbowała zgadywać.

– Nic z tych rzeczy.

– Czyli jest pan zwykłym szantażystą? Czego pan chce? Pieniędzy? A może chce pan, żebym przyszła do pańskiego pokoju?

Zrobiła krok w jego stronę. Ich ciała niemal się zetknęły. Odsunął się.

– Nie chciałbym popsuć pani reputacji...

– Troskliwy pan jest – przerwała mu.

– ...i tak, w moich oczach, nieco już zszarganej.

Silny podmuch sprawił, że znów się zatrzęsła. Wiało mocniej niż poprzedniego poranka. Dostrzegł, że nad lewą brwią ma ślad po ospie. W tym samym miejscu także on miał bliznę. Uznał to nawet za dość zabawny zbieg okoliczności.

Szczelniej otuliła się marynarką. Patrzyli na siebie w milczeniu, a potem stało się to, czego spodziewał się znacznie wcześniej. W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

– Proszę sięgnąć do marynarki. – Wskazał na kieszeń. – Tam gdzieś powinna być chusteczka. Nie gwarantuję, że pierwszej świeżości. Aha, i od razu powiem, że płacze i lamenty nie bardzo na mnie działają.

Dał jej jednak czas, żeby się wypłakała. Żeby pękł ten nabrzmiały balon wypełniony emocjami. Nie chciała chusteczki. Wytarła oczy rękawem marynarki. Poprosiła o papierosa.

– Jeśli powiem panu, że to mój brat, uwierzy pan?

Roześmiał się.

– Nie bardzo. Liczyłem, że stać panią na więcej.

Westchnęła.

– Sam pan widzi. Wszystko panu powiem, nie mam chyba zresztą wyboru, ale proszę mi tylko wyjaśnić... Jak się pan dowiedział?

Otworzył usta, lecz zanim się odezwał, usłyszeli perlisty śmiech. A chwilę później na pokład wdrapała się parka. Staszewski trzymał w ręce biały kapelusz. Na oczach, mimo bardzo wczesnej pory, miał okulary przeciwsłoneczne. Towarzyszyła mu dziewczyna. Chichotka. Poza tym wysoka, z czerwonym beretem na głowie. Rzeczywiście podobna do Konopackiej, pomyślał Abramowski. Tyle że pewnie mniej rozsądna od słynnej dyskobolki. Raz, że zadaje się z tym typem. Dwa, szkoda beretu, który wiatr lada moment zdmuchnie do oceanu.

– Dzień dobry, panie Abramowski! – krzyknął producent. Otaksował Ninę spojrzeniem. – Może dołączycie państwo do nas? Piękny mamy poranek, prawda? Gdybym miał tu kamerę, uchwyciłbym ten widok, a potem obie panie. Bo przecież piękno winno lgnąć do piękna, nieprawdaż?

Nawijał jeszcze jakiś czas. Abramowski uprzejmie podziękował za propozycję. Ujął Ninę pod rękę. Dziewczyna się nie wzbraniała. Ruszyli na drugi kraniec pokładu.

– A więc nazywa się pan Abramowski. Przynajmniej tyle wiem o panu. – Głos już jej nie drżał. W ogóle dokonała się w niej jakaś przemiana. Twarz wypogodziła się, oczy jakby nawet stały się weselsze. Jak gdyby zrozumiała, że nic jej nie grozi ze strony tego mężczyzny z rozwichrzoną brodą i siwymi włosami w nieładzie. Napięcie towarzyszące przez niemal tydzień rejsu rzeczywiście musiało z niej zejść.

Chyba naprawdę ciekawiło ją to, w jaki sposób ona i jej ciotka zostały zdemaskowane. Nie było w tym gry na zwłokę. Opowiedział, jak stał na pomoście w Gdyni i zobaczył dwie kobiety. Jak mignęły mu buty, wielkie i męskie. Jak czarne ubranie, z woalką i wachlarzem, ostentacyjnie ukrywało postać. Wspomniał o rozmowie z lekarzem. O tym, że ani domniemana ciotka nie poprosiła o pomoc, ani Nina nie zrobiła tego w jej imieniu. O nakryciu w jadalni, z którego nikt nie korzystał. Ale tylko jednym. Tak jakby z góry założono, że w trakcie rejsu nikt więcej podczas posiłków się nie pojawi.

– Obsługa na statku nie jest aż tak dyskretna, jak się wydaje. Zdziwiłem się, gdy się dowiedziałem, że to puste miejsce należy do pani. A gdzie nakrycie dla ciotki? No i w ogóle ta tajemniczość, ciągła nieobecność... Słabo to pani rozegrała.

Westchnęła.

– Chyba istotnie nie jestem w tym najlepsza.

– Rozumiem, że interesuje panią też, kto jeszcze wie.

Milczała.

– Uspokoję panią. Raczej nikt. A teraz proszę posłuchać. – Sięgnął po papierosy. Poczęstował ją, ale tym razem odmówiła. – Jest w szachach taki termin: związanie. Chodzi o to, że nie można wykonać ruchu, bo wtedy odsłoni się wartościowszą figurę i ją straci. Pani znajduje się właśnie w takiej sytuacji. Ale ja, z pewnych względów, też w takiej jestem... – Mówił spokojnie i powoli, jakby chciał, żeby zrozumiała każde słowo. – Nie jestem policjantem, żadnym łapsem, przynajmniej nie takim, jak się pani zdaje... Po prostu mam powody, żeby obserwować, co się tu podczas tego rejsu dzieje. Dlatego muszę wiedzieć, kim jest człowiek, którego pani ukrywa. Kochanek czy nie, nie ma to większego znaczenia. Możecie być romantyczną parą gangsterów, zupełnie jak Bonnie i Clyde... Właściwie nic mi do tego. Ale muszę wiedzieć.

Odwróciła się. Stała przy barierce i skierowała twarz ku słońcu. Przystanął obok i popatrzył na nią przelotnie. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, skojarzyła mu się z Jadwigą Andrzejewską, nieco posępną blondynką, ale on lubił właśnie takie. Nigdy nie wierzył, że można zakochać się w aktorce. Platonicznie i na odległość, rzecz jasna. A jednak. W ubiegłym roku poszedł na *Strachy*. Coś go naszło, sam nie wiedział co, że wybrał się na taki film. I całkiem stracił głowę. Potem wracał do kina wielokrotnie. Bileterki dziwiły się, że tak często przychodzi, ktoś chyba uznał go za bezdomnego, inny za zbrojeńca. A teraz miał ją przed sobą. Siostrę bliźniaczkę Andrzejewskiej. Tyle że doskonalszą. Na wyciągnięcie ręki. Ile mogła mieć lat? Obstawiałby, że dwadzieścia pięć, ale to Tartakower był mistrzem zakładów. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

– Bonnie i Clyde – powiedziała. – Wie pan, coś w tym jest... – Spojrzała na niego. – Da mi pan pięć minut? Przyniosę tylko coś z dołu. To wiele wyjaśni – dodała pośpiesznie, widząc, że się waha. – Proszę się nie obawiać, to nie będzie pistolet, nie zastrzelę pana. Chociaż prawdziwa Bonnie by tak zrobiła.

Nie czekała na odpowiedź. Oddała mu marynarkę i szybkim krokiem oddaliła się ku schodom.

Abramowski popatrzył za nią, a potem zerknął w bok. Staszewski stał z wyciągniętą ręką, jakby w geście hitlerowskiego pozdrowienia. To jednak nie był salut. Najpewniej po prostu roztaczał przed Konopacką widoki. Dziewczyna, o dziwo, wciąż miała na głowie beret. Na pokład wszedł ksiądz Piotr Marek. Zatrzymał się przy barierce z rozłożonymi rękami. Zdaje się, że coś mamrotał pod nosem. Abramowski zastanawiał się, czy aby kapłan nie zacznie zaraz chodzić po wodzie, naszała go nawet pokusa, żeby to podpowiedzieć, ale się powstrzymał. Zostawi takie atrakcje Gombrowiczowi.

Gdy minęło pięć minut, naszły go wątpliwości. Ze złości kopnął czubkiem buta pokład. Ta cała podróż skończy się jednak katastrofą. Było nią już to, że pozwolił Ninie odejść. Że jej zaufał. Ona teraz, wraz ze swoim lubym, zaszyła się gdzieś w czeluściach statku. Oczywiście odnajdzie ich, ale straci czas i energię. Po dziesięciu minutach był już pewien, że nie przyjdzie. Zastanawiał się, gdzie rozpocząć poszukiwania, gdy ponownie ją zobaczył.

Miała na sobie tenisowy sweter, pewnie ten sam, który widział w Gdyni. Usta pociągnęła szminką. Wręczyła mu kartkę.

– Proszę przeczytać – powiedziała. – To sporo wyjaśnia.

Był to wycinek z gazety. *Tragedia w dworku Golicynów!* głosił tytuł wybity dużymi literami. Przebiegł wzrokiem artykułu. Drugiego lipca w domu Golicynów na Podlasiu podczas urodzin głowy rodu został postrzelony, ze skutkiem śmiertelnym, jego brat. Do tragicznego zdarzenia doszło nad ranem. Wykluczono motyw rabunkowy oraz nieszczęśliwy wypadek. Przypuszczano, że powodem śmierci mogły być rodzinne niesnaski. Podstawowe wiadomości podlane były

sensacyjnym sosem, ozdobione licznymi przymiotnikami i wykrzyknikami, a także wypowiedziami komisarza policji, który prowadził śledztwo, oraz nieco niewyraźnym zdjęciem dworku z bielonymi ścianami pośród bujnego listowia.

– Nazywa się pani Golicyn? Nina Golicyna? Jest pani Rosjanką?

– Od czasu mezaliansu popełnionego przez pradziadka jesteśmy Polakami. Zresztą rodzinne skandale to nasza specjalność. – Uśmiechnęła się kwaśno.

– Nadal nic z tego nie pojmuję. – Wskazał palcem artykuł.

– Wytłumaczę panu. Ktoś zastrzelił mojego wuja. Albo, wbrew temu, co tutaj piszą, zabił się sam. Powinien zresztą to zrobić już dawno, ale to już inna sprawa... Tymczasem prawie od razu te straszliwe podejrzenia padły na mojego brata. On jeszcze nie ma dwudziestu lat...

– Gdyby pani wiedziała, co ja robiłem, gdy byłem w jego wieku.

Spojrzała na niego ze złością.

– Patrzę na pana i wyobrażam sobie. Ale tego nie zrobił mój brat. Nie Juliusz. Nie uwierzy pan, ale pierwszy posądził go mój ojciec. On nienawidzi Jula.

– Dlaczego? Własnego syna?

– Bo Jul... On jest nieco inny. Jego istnienie zaprzecza ojcowskiej doskonałości. Tego pewnie pan też nie rozumie. – Popatrzyła na wycinek, który trzymał Abramowski. – Ten dworek... Taki biały... Niewinny... Nie mogę uwierzyć, że się tam urodziłam...

– Wielu by pani zazdrościło.

Potrząsnęła gwałtownie głową, jakby chciała się uwolnić od złych wspomnień.

– Zresztą to nieistotne. Ważne jest to, że musiałam ochronić Jula. Wywiozłam go, ukryłam. Załatwiłam fałszywe papiery. Tylko moje imię się zgadza, bo do nowego trudno się przyzwyczaić. Wyczytałam to w jakiejś powieści. Cudem zdobyłam bilety na ten rejs. Niech pan tak na mnie nie patrzy... Mam pewne znajomości. Tak naprawdę poruszyłam niebo i ziemię. Potem nastąpiły skrzętne przygotowania, ta cała maskarada. A na końcu, gdy było tak blisko, musiał pojawić się pan...

– A pieniądze? Macie jakieś? Z czego zamierzacie żyć?

– Mam trochę. Po mężu. I uprzedzając pytanie: nie, nie jestem młodą wdową. Trochę też pożyczyłam. Od ojca. Fakt, że bez jego wiedzy. Należało się sukinsynowi.

Ostatnie zdanie wypowiedziała cicho i dobitnie. Dostyc bezpośrednio mówiła o swoim protoplaście. Nie ma co, zaimponowała Abramowskiemu, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Poradzimy sobie. – Dumnie wypięła pierś. – W Argentynie będą czekali na nas zaufani ludzie.

Zwrócił twarz ku wodzie. Punkt po punkcie w myślach uporządkował to, co usłyszał.

– Ma pani więcej takich wycinków?

Zaprzeczyła.

Podarł gazetę na drobne kawałki i rozejrzał się. Nikt na nich nie patrzył. Wyrzucił skrawki za burtę. Obserwowali w milczeniu, jak fruują w powietrzu, a potem znikają pośród fal.

– Lepiej, żeby nikt tego nie widział. Ale – spojrzał na dziewczynę – nie wierzę pani. Przynajmniej nie do końca – uściślił. – Nie wierzę, że to pani brat. I że nie mógłby zabić. Wreszcie nie rozumiem, dlaczego Argentyna. Mogła pani wybrać Paryż. Albo coś mniej oczywistego.

Zmrużyła oczy i przygryzła wargę.

– Czułam, że tak będzie... Dlatego, gdy byłam tam, na dole, musiałam porozmawiać z Juliuszem. – Odwróciła się ku schodom. – Proszę iść za mną.

Troje pasażerów robiło sobie zdjęcia na tle oceanu. Ktoś pochrapywał w leżaku. Staszewskiego i jego gwiazdy już nie było. Ani księdza. Gdy zeszli pod pokład, znów rozejrzała się, jak zwykła to robić przez ostatnie dni, a może i tygodnie. Delikatnie wsunęła klucz do zamka.

Zanim otworzyła drzwi, zwróciła się ku Abramowskiemu.

– Domyśla się pan, dlaczego Juliusz? Dlaczego ma takie imię?

– Nie. Po dziadku? – próbował zgadywać.

– Po Słowackim. Ojciec liczył, że będzie takim samym geniuszem. – Uniosła kąciki ust.

Weszli do środka.

– Juliuszu – rzekła łagodnie – to ten człowiek. Z jego strony nic ci nie grozi.

Z łóżka podniósł się młody mężczyzna. W Abramowskiego wpatrywały się teraz dwie pary zielonych oczu. Przerazenie, które kilkadziesiąt minut wcześniej widział w oczach Niny, było niczym wobec tego, co ujrzał teraz. Twarz chłopaka wykrzywiał grymas. Wyglądało to tak, jakby jedna jej część była sparaliżowana. W kąciku ust tkwiły bąbelki śliny.

Próbował coś powiedzieć, być może się przedstawić, ale wydał jedynie nieartykułowany bulgot. Nina podeszła do niego i pogłaskała po włosach.

– Już dobrze – szepnęła uspokajająco. Spojrzała na Abramowskiego. – Nie może nic powiedzieć, gdy jest zdenerwowany. W normalnych warunkach i tak przychodzi mu to z trudem.

Posadziła Juliusza na łóżku. Abramowski patrzył na chłopaka i myślał o tym, co opowiedziała mu na górze i co dorzuciła, zanim weszli. O zaprzeczaniu ojcowskiej doskonałości.

– Teraz pan rozumie? On nie mógł tego zrobić. Ale za to ja wiem doskonale, co z takimi jak on robi Hitler, gdy już zajmie całą Europę.

ROZDZIAŁ 11

Pojawienie się Niny wywołało pewną sensację. Śniadanie zjedli w składzie, do którego przywykli, ale na obiad przyszła pierwsza. Abramowski przybył drugi. Nina usiadła na miejscu Maroczego, więc wskazał jej właściwe. Podobało mu się to, że niespecjalnie przygotowała swoje *grande entrée*. Ubrana w tę samą sukienkę, w której widział ją rano, z lekko zaróżowionymi od pudru policzkami i delikatnym złotym łańcuszkiem na szyi. Ze srebrnymi kolczykami. Jak na standardy tego rejsu wyglądała dość skromnie i bezpretensjonalnie. Tak właśnie powinno być. Żadnej wystawności i ekstrawagancji.

Zanim wyszedł z kajuty, którą dzieliła z Juliuszem, umówili się w pewnych sprawach. Po pierwsze, miała zachowywać się naturalnie, a to oznaczało, że musi pokazywać się wśród podróżnych. Jej wieczna nieobecność była znacząca i lada moment zaczęłaby intrygować nie tylko jego. Po wtóre, jeśli rozlegnie się pukanie do drzwi – dwa stuknięcia, przerwa, dwa, pauza i jeszcze cztery – będzie to znaczyć, że to on ma jakąś sprawę. I niech się nie obawia, postara się nie być natarczywy. Zapytała, co to znaczy, że się postara, a on naraz poczuł, że role się odwróciły i że to ona, pierwszy raz tego ranka, przejęła inicjatywę. Po trzecie, gdyby zauważyła, że na statku dzieje się coś niezwykłego, chciałby o tym wiedzieć. Co to znaczy? Coś, co by ją zaniepokoiło, odbiegało od normy. Wciąż dźwięczała mu w uszach odpowiedź: „Mnie niepokoi prawie wszystko. Poczynając od pana. Czy to znaczy, że mam być pańskim szpiclem?”.

Kolejni podróżni schodzili się i niemal każdy obrzucał Ninę mniej lub bardziej przelotnym spojrzeniem, a przynajmniej tak mu się zdawało. Gdy w drzwiach pojawili się Wolicowie i gdy Lusja zobaczyła nową biesiadniczkę, stanęła jak

wryta. A potem, już przy stole, była jeszcze bardziej sztywna i nieobecna niż zwykle. Terlecki nie uniósł głowy znad talerza. Z kolei Nina opowiadała o ciotce i jej zdrowiu. O dręczących ją wymiotach i zawrotach głowy, zapewne niczym szczególnym, ale wielce krępującym w towarzystwie. Z kolei ona sama uznała, że nie spędzi całego rejsu w kabinie, że właściwie nie widziała jeszcze oceanu, nie mówiąc o podróży, których jest całkiem ciekawa. Wolica ze zrozumieniem kiwał głową.

Maroczy odłożył sztućce.

– Czy pani ciotka ma dzieci? – zapytał.

– Nie.

– Tak myślałem. – Rozejrzył się po współbiesiadnikach. – Jeśli mowa o kobiecych wymiotach, przepraszam, że ja tak wprost i przy obiedzie, ale widzę, że wszyscy chyba skończyliśmy, mój mistrz ma pewną teorię...

– Pański mistrz, czyli kto? – spytała Nina.

– Sigmund Freud – odparł z namaszczeniem. – Słyszała pani o tym geniuszu?

– Aha. Coś obilo mi się o uszy.

– Zatem... Freud uważa, że na wymioty szczególnie podatne są te kobiety, które odczuwają lęk przed macierzyństwem i nie chcą zająć w ciążę.

– Moja ciotka po prostu nie mogła. Chciała mieć dzieci, ale nie mogła.

Abramowski przypomniał sobie przerażone wielkie oczy Jula. Bąbelki śliny w kąciku ust. Biedna chora ciotka. Podniósł serwetkę do ust, aby nikt nie zauważył jego uśmiechu.

– Mistrz ma także teorię dotyczącą wymiotów podczas rejsu – Węgier ciągnął niezrażony. – Wywołuje je często widok szcurków. Szczególnie zaś szcurzych ogonów. Bez wątplenia symbolu fallicznego...

– Zdaje się, że Freud ma teorie na wszystko – powiedziała Nina.

Maroczy zmarszczył brwi.

– A skoro jakaś teoria wyjaśnia wszystko, to tak naprawdę niczego nie wyjaśnia.

Abramowski słuchał z uznaniem. Rezolutna dziewczyna. Zdziorna. I nie odpuszcza.

– Nie pani pierwsza w ten sposób atakuje mistrza, ale, proszę mi wierzyć, jest zupełnie inaczej.

Wolica chrząknął.

– Tak, to rzeczywiście ciekawe, o czym państwo mówią...

– A wiecie państwo – Abramowski odłożył serwetkę – podobno nadciąga sztorm.

Terlecki uniósł głowę znad talerza.

– Sztorm? Jest pan pewien? Kiedy?

– Rozmawiałem z pewnym oficerem. To stary wilk morski. Mówi, że sztorm nadejdzie. Że to kwestia kilku dni. I że on już go czuje w kościach.

Patrzył na twarz Terleckiego, ale ta pozostawała obojętna. Luscia siedziała z półprzymkniętymi oczami.

Po obiedzie udał się na pokład. Kilka leżaków było już zajętych, sam stanął przy poręczy. Transatlantyk otoczony był wianuszkami piany. Po raz pierwszy podczas rejsu zobaczył chmury. Niebo poszarzało, a ocean przybrał granatową barwę. Swoją drogą ciekawe, czy czeka ich sztorm albo przynajmniej wyższa fala. Dotąd jeszcze nie bujało. Gdyby płynęli miesiąc później, mogłoby być zupełnie inaczej. Wtedy ocean nie jest już tak spokojny.

Przywołał w pamięci końcówkę obiadu, obojętność Lusi i poruszenie Terleckiego, i zaraz odgonił te myśli. Bardzo chciał, aby podmuchy wiatru przewietrzyły mu teraz głowę, oczyściły, wywiały z niej to, co niepotrzebne, także dopiero co poznaną dziewczynę, która – oby tak się nie stało – mogła być źródłem kłopotów. Jeśli nawet nie wszystko wyjaśniło się do końca, to z pewnością stało się klarowniejsze. Tymczasem wiatr jedynie mierzwił mu włosy, które zdecydowanie wymagały już interwencji fryzjera.

Na tylną werandę zwabiły go zapach kawy i dźwięki fortepianu. Nie był jakimś szczególnym kawoszem, owszem, gdy wrócił do Warszawy, rozsmakował się

w Plutonie kupowanym u Tarasiewiczów, ale daleko mu było do prawdziwych koneserów. Nie był też melomanem, ale rozpoznał pierwsze takty. Aria otwierająca *Wariacje Goldbergowskie* zapewne nieczęsto rozbrzmiewała w trakcie rejsów, nawet w czasie urządzanych koncertów muzyki klasycznej.

Zaintrygowany minął tropikalne rośliny gęsto ustawione między ogromnymi szybami sięgającymi od podłogi niemal do górnego pokładu. Przystanął zaskoczony. Przy fortepianie, stojącym na szarobrazowych szklawionych kafelkach, siedział Wolica. Zagrał kilkadziesiąt taktów, nagle przerwał i zaczął od początku.

Zobaczył Abramowskiego i położył ręce na udach.

– Pamiętam tylko początek. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Ale do końca rejsu przypomnę sobie całość. W mojej rodzinie bardzo dbano o edukację muzyczną. Miałem zostać Paderewskim albo jakimś Rachmaninowem, a skończyłem jako dziurolog. – Obejrzał się. – Widzi pan tamtego? Z brodą? Tego, co siedzi koło Zaremby? Wincenty Kołłupajło, też inżynier. Swój pozna swego. Chciał robić z Duńczykami interesy w Gdyni, ogromne huty stali chcieli budować, a teraz ucieka przed wojną. Tak mi powiedział. Dobrze, że Lusia tego nie słyszała. A potem dosiadł się ten dziennikarz. Zaczęli się kłócić, zdaje się, że wciąż nie przestali... Wie pan, kogo mi on przypomina?

– Zaremba?

– Kołłupajło. Łukasiewicza. Wypisz wymaluj.

– Tego od lampy?

Wolica skrzywił się.

– Wy wszyscy tylko o tej lampie. W szkołach o lampie. W radio o lampie. A to geniusz był. I społecznik. Też staram się pomagać i obrywam podobnie jak on. Od socjalistów, że daję narodowcom. Od narodowców, że wspomagam Żydów. Od Polaków, że ukraińskiej szkole pomogłem. I tak dalej. A on? Życie miał niewesołe i może dlatego skupił się na pracy. I to jak! Wie pan, że to on wymyślił frakcjonowaną destylację ropy? Amerykanie, ci ze Standard Oil, kupili od niego patent i do dziś z niego korzystają. A ropa to jest złoto naszych czasów. Zabrałem

nawet ze sobą w tę podróż buteleczkę. Traktuję ją trochę jak talizman. Żebyśmy z Lusią szczęśliwie wrócili. – Urwał na chwilę i rozważał coś w myślach. – Ale, tak teraz pomyślałem, dam ją panu. Ropa jest dobra na wszystko. Na włosy. Podagrę. Na męskie sprawy. Jesteśmy obaj w tym wieku, że nie musimy się tego wstydzić... Po co mi ona, skoro i tak jestem dobrej myśli. A tak jasnej, czystej, naprawdę jak złoto pan nigdy nie widział.

Wstał od fortepianu. Był gotów pójść do kajuty i przynieść flakon.

Abramowski położył mu rękę na ramieniu.

– Bardzo dziękuję, ale mowy nie ma. Nie można się rozstawać z talizmanami. To wieszczy nieszczęście. – Zawiesił głos. – Proszę uważać na siebie – powiedział z troską.

Chętnie dodałby coś więcej, lecz uznał, że nie może.

Podszedł do stolika, przy którym Zaremba i Kołupajło toczyli zaciętą dyskusję. Ukłonił się, przedstawił inżynierowi, ale ten niemal nie zwrócił na niego uwagi. Uznał, że nie dosiędzie się do adwersarzy. Skorzysta tylko z popielniczki, którą się dzielili.

– Czytałem niedawno artykuł. – Dziennikarz odstawił kawę. – O różnicy między szachami aryjskimi i żydowskimi. To dosyć pouczające, biorąc pod uwagę tych – szukał odpowiedniego słowa – tych, którzy są tu z nami na pokładzie.

– Chciał pan powiedzieć: naszych olimpijczyków. Mianowicie? Cóż pan wyczytał? – Kołupajło zaciągnął się papierosem.

– Stało tam, że Niemcy grają odważnie. Z otwartą przyłbicą. Atakują. Poświęcają. A co robią Żydzi?

– Zamieniam się w słuch.

– Otóż Żydzi kluczą. Wyczekują. Szukają podstępu. Knują. Przystawiają tylko te figurki i kalkulują. Dlatego grają tak dobrze.

Mówił to ściszone głosem, jakby ujawniał wielki sekret ludzkości.

– Wie pan, dlaczego o tym wspominam? Bo te nad wyraz słuszne uwagi tyczą się nie tylko szachów. Gdyby dwa lata temu, jesienią, marszałek Śmigły się nie

zawahał, nie wykazał słabością ducha, gdyby wszedł w rzeczywisty alians z naszymi falangistami i gdyby premierem został Witold Grabowski, mielibyśmy inną sytuację. A pan nie musiałby teraz uciekać z Polski.

Z tyłu ktoś pociągnął nosem. Abramowski odwrócił głowę. Gombrowicz w jednej ręce trzymał papierosa, w drugiej szklanę, jaką podawano podczas obiadów. Abramowski spojrzął na jej zawartość lekko zdziwiony.

– Och tak... Z pewnością. – Kołtupajło westchnął. – Pamiętam, jak Warszawa trzęsa się ze strachu. I doskonale wiem, co byście nam zgotowali, gdyby ten sojusz rzeczywiście doszedł do skutku. Mielibyśmy „noc kryształową” na Nalewkach, a „noc długich noży” na Wiejskiej i w Belwederze. Likwidację przeciwników politycznych, ustawy wywłaszczające Żydów... Bereza przy was to byłaby ochronka. A wszystko pod hasłami walki z żydokomuną i budowy wielkiej Polski.

– Coś w tym złego? – Zaremba się uśmiechnął.

Inżynier podniósł głowę. Popatrzył na przysłuchujących się rozmowie. Niebieskie oczy zapłonęły gniewem.

– Jest pan, młody człowieku, napompowany totalizmem. Faszystowskimi frazesami. Jak „Gwiazda Polski”. Tak, tak. Jak ten balon, który miał badać kosmiczne promienie, a wybuchł w Dolinie Chochołowskiej i tyle go widzieli. A człowiek, o którym pan mówi, to dla mnie ani marszałek, bo ten był tylko jeden, ani wódz, ani też Śmigły. Co najwyżej Rydz. Wcale nie lepszy niż nic. – Podniósł głos. – Mam proste pytanie. Tak, ja mierzę siły na zamiary i chcę uciec przed wojną, ale dlaczego pan, taki zuch, wyjeżdża z ojczyzny? Teraz? Zamiast chwycić za broń? Taki z pana patriota?

Zaremba musiał mieć gotową odpowiedź. Otworzył usta. I wrzasnął. Poderwał się z fotela. Twarz i ubranie oblepione miał lepka ciecżą. W jego włosach tkwiły kawałki owoców.

– Najmocniej przepraszam – pisnął Gombrowicz. – Kompot... Przynajmniej to kompot polski. Nasze jabłka, gruszki, mirabelki... Bebechowata breja, psiakrew, zresztą co ja wygaduję! Sam nie wiem, jak to się stało... To znaczy wiem... Ten

pan – spojrzał na Abramowskiego – mnie trochę potrącił... Wprawdzie nieznacznie, ale takie potrącenie może być wielce znaczące, jego konsekwencje zaś trudne do oszacowania...

Zaremba parsknął i otrzępywał się jak oszalały. Kołłupajło, lekko zakłopotany, gładził brodę, jakby chciał sprawdzić, czy nie oberwał owocowym rykoszetem. Gombrowicz podszedł do dziennikarza i zaczął wyskubywać mu z włosów szczątki mirabelek.

– Zostaw mnie pan! Zostaw! – krzyczał dziennikarz, opędzając się od niego.

Zrobiło się zbiegowisko. Dwóch stewardów przybyło z pomocą. Abramowski uznał, że nic tu po nim. Zanim wyszedł, rozejrzał się jeszcze po sali. Maroczy i Corneliu trwali nad szachownicą, kompletnie nie przejmując się zgiełkiem. A więc Rumun, mimo niechęci do królewskiej gry, zdecydował się na partyjkę. Grali także zawodowcy. Frydman właśnie składał bierki, a Najdorf przypatrywał się zamieszaniu. Kręcił głową, jego nos przypominał wielką wskazówkę kompasu, która, oszalała, wychyla się w różne strony. Ksiądz Piotr Marek siedział samotnie nad kawą, kiwając się i pomrukując z wielkimi dłońmi splecionymi na podolku.

Abramowski udał się do kajuty. Powstrzymał pokusę, żeby zapukać dwa razy, znów dwa i cztery, a potem opowiedzieć Ninie o tym, co się stało. Wyciągnął się na sofie, przez głowę w zwolnionym tempie przewijały się obrazy. Gombrowicz zbliża się do fotela. Strzepuje na podłogę popiół. A następnie, zdecydowanie przez nikogo niepotrącony, z rozmysłem wylewa zawartość szklanki na rozpaloną głowę.

Wybuchnął śmiechem.

Nie byłby w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz śmiał się tak głośno i szczerze.

Zatroskana mina Kołłupajły. Bebechowata breja, psiakrew.

Przestał się śmiać, gdy jego myśli powędrowały ku Wolicy. Nie spodziewał się, że polubi tego człowieka, a jednak tak się stało. Z pewnością miał swoje wady, słabość do Hitlera, Salazara i zapewne innych zamordystów była jedną z nich, ale nie był złym człowiekiem.

Aż dziw, że przy takiej naiwności dorobił się majątku. A może po prostu tak wygląda ślepa miłość starzejącego się mężczyzny do znacznie młodszej kobiety? Bez wątpienia nie były to jego sprawy, ale nie potrafił tak całkiem zignorować jego losu. Buteleczka z ropą w niczym tu nie pomoże.

Pomyślał o tych dwojgu, którzy postanowili kupić Wolicy bilet w jedną stronę.

A później przypomniał sobie jego słowa. „Żebyśmy z Lusią szczęśliwie wrócili”.

To może się nie udać. Może być tak, że nie zagra Bacha w całości.

ROZDZIAŁ 12

Wieczór minął spokojnie. Abramowski rozpoznawał już tancerzy pływających po parkiecie, poznał także ich upodobania. Wiedział, że para korpulentnych Francuzów zażyczy sobie tango, którego nie będzie potrafiła zatańczyć. Holenderskie małżeństwo, oboje w jego wieku, specjalizowało się w charlestonie i nawet dość przyjemnie się na nie patrzyło. Pomyślał, że czasy się zmieniają i że dziś już nikomu charleston nie kojarzy się z nielegalnymi spelunkami z okresu prohibicji i z flapperkami rzucającymi wyzwania mieszczańskim obyczajom. Gdy był w Paryżu, sprawy miały się zgoła inaczej. Nie wiedzieć czemu, znów pomyślał o Ninie. Ta, ze swoją zadziornością i włosami na chłopczycę, pasowałaby do tamtego świata. Być może nawet zaprzyjaźniłaby się z Zeldą, żoną amerykańskiego pisarza, tego, który napisał, że noc jest czuła, razem z nią by piła, paliła, zdradzała i wywoływała skandale. Jak to było? Rodzinne skandale to nasza specjalność. Nie, nie jestem młodą wdową. I jedno, i drugie brzmiało intrygująco.

Tego wieczora szprotka zaniemogła i wszystkie piosenki ciepłym barytonem śpiewał Sam. Abramowski rozglądał się po sali, przez chwilę nawet ogarnęła go pokusa, żeby się dosiąść do Najdorfa i Tartakowera, ale natychmiast ją odegnał. W jego przypadku szachy równały się samobójstwu. Tyle wiedział. Uznał, że po prostu wypił o jedno *fine à l'eau* za dużo. I zdecydowanie za dużo rozmyśla o pewnej dziewczynie. Postać jeszcze kwadrans wsparty o kolumnę, przestępując z nogi na nogę. W tym czasie nikt nie wywołał awantury, a ponieważ nie wydarzyło się też nic innego godnego uwagi, poszedł do kajuty.

Na śniadaniu Nina znów była pierwsza. W szarej garsonce z efektownymi guzikami z masy perłowej i bransoletką z muszli na prawej ręce. Była jakby

odmieniona. Wczorajsza niepewność, którą tuszowała, prowadząc w zadziorny sposób rozmowę, zniknęła. Pałaszowała kolejne plastry wędliny i opowiadała, jak to jej ciotka wygrała czystej krwi araba, wyścigowego czempiona, od jakiegoś hrabiego. Uśmiechała się do Lusi, której twarz pozostawała martwa, i zabawiała anegdotkami Wolice. Zaremba niespodziewanie rzucił, że dwa razy grał na wyścigach, dwa razy przegrał i trzyma się od tego z daleka, żeby nie wpaść w szpony hazardu.

Ty, gońcu chadzający po czarnych polach, znajdujesz się w zupełnie innych szponach, pomyślał Abramowski.

Tylko Maroczy był jakiś nieswój. Zamyślony, nieobecny, w niczym nie przypominał duszy towarzystwa, nie sypał freudowskimi dykteryjkami i jakby pobladł. Ale ostatecznie każdy ma prawo mieć gorszy dzień.

Mieli się już rozchodzić, gdy powstrzymał ich głos oficera. Jak to miał w zwyczaju, przemówił w trzech językach.

– Szanowni państwo, w imieniu naszej znakomitej drużyny szachowej, która będzie reprezentowała nas na olimpiadzie w Buenos Aires i, wierzę, przywiezie z niej kolejny medal, chciałbym zaprosić wszystkich na turniej. Zaczynamy przed obiadem, potem zapewne ciąg dalszy. Będą państwo mieli niepowtarzalną okazję zmierzyć się z profesjonalistami, wielkimi mistrzami, albowiem turniej otwarty jest dla wszystkich. Zapisy przyjmuję po śniadaniu...

Abramowski nie słuchał dłużej. Wstał gwałtownie, zmiął serwetkę i cisnął na talerz. Nawet Luscia spojrzała na niego zdumiona. Wymamrotał przeprosiny i wyszedł. Właściwie uciekł. Słyszał już ten cichy, jednostajny dźwięk. W kabinie padł na łóżko i poduszką nakrył głowę, jakby miało to powstrzymać bzyczenie. I, o dziwo, tym razem pomogło. Położył się na wznak i liczył oddechy. W jadalni doznał, to oczywiste, ataku paniki. Musiał stamtąd uciec. Przestraszył się, sama wzmianka o turnieju wystarczyła, by rozpoczęła się znów tortura w jego głowie. A teraz leżał i bał się ataków nawracających ze wzmożoną siłą. Czy mógł coś z tym zrobić? Nie. Czy był w stanie pokonać demona? Mógł go co najwyżej zignorować.

Aby odwrócić uwagę od ponurych rozmyślań, zaczął przeglądać kartę z numerami telefonów. Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do fryzjera. Zdziwił się, że nie ma kolejki i że nie musi się zapisywać. Wystarczy, że przyjdzie do salonu. Pół godziny później siedział w fotelu, mistrz brzytwy i pędzla robił zaś porządek z jego włosami i brodą. Nożyczki szczękały, a on opowiadał historyjki z poprzednich rejsów, bo ten jakiś nudny, na tym statku nie dzieje się nic a nic, może poza tym gościem z resztkami owoców we włosach, który był wczoraj i plół trzy po trzy, że został zaatakowany kompotem za głoszenie poglądów politycznych. Miał także jedną dobrą wiadomość. Abramowskiemu nie groziło łysienie plackowate. Oraz radę. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął grzebień. Powiedział, że warto go używać.

Na odchodne rzucił coś jeszcze.

– Nadejdzie czas, gdy fryzjerzy będą rządili światem. Wspomni pan moje słowa.

– Dlaczego fryzjerzy? – zdziwił się Abramowski.

– Bo skoro może nim rządzić jakiś austriacki akwarelista, to dlaczego nie fryzjerzy? Przyjdzie nasza kolej.

Abramowski wrócił do kajuty i długo przypatrywał się w lustrze swojemu odmienionemu obliczu. Zdecydował. Pójdzie tam. Zmierzy się z sytuacją. Stawi jej czoła. W ten sposób wyzwie demona na pojedynek. Sam nie będzie grał, na zapisy było zresztą za późno, ale popatrzy, jak to robią inni. I żaden, najcichszy nawet bzyk nie zaatakuje mu głowy. Poprzysiągł to sobie.

Turniej odbywał się na przedniej werandzie, która przypominała podkowę. Wnętrze było proste, nieprzeładowane detalami, wyposażone w meble z wikliny. Być może specjalnie wybrano takie miejsce, żeby nie rozpraszało graczy. Właściwie mogli patrzeć tylko na szachownicę i przeciwnika. I bezkres oceanu za wielkimi szybami.

Mistrzem ceremonii miał być, zdaje się, podporucznik Kałuża. Powitał zebranych, zatarł ręce, podziękował odważnym, którzy zdecydowali się zagrać

z mistrzami, przedstawił tych ostatnich.

– Zanim jednak zaczniemy, mam dwie sprawy. – Zawiesił głos. – Otrzymaliśmy wiadomość, że wczoraj zmarł w Warszawie Wojciech Korfanty...

– Mój Boże – wymsknęło się panu Frybergowi, który przybył jako kibic. – Na początku roku Dmowski, teraz ten. Ostatni wielcy odchodzą...

– Bardzo proszę – podporucznik doszedł do głosu – uczcijmy jego pamięć chwilą zadumy.

Wszyscy powstali. Nawet Gombrowicz, chociaż zrobił to z ociąganiem i grymasem na twarzy.

Kałuża podziękował.

– Zanim przystąpimy do właściwych rozgrywek, mamy dla państwa niespodziankę. Być może mieli państwo okazję poznać inżyniera Kołłupajłę. – Wskazał ręką stojącego obok mężczyznę. – Oprócz tego, że jest on wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie, obdarzony jest też mocą jasnowidzenia.

Pośród zebranych przeszedł pomruk.

– I teraz pan inżynier zaprezentuje niezwykle metapsychiczne, zdaje się, że tak należy mówić, zdolności. – Podporucznik podszedł do stolika z przepierzeniem. Odślonił je teatralnym gestem. Była tam, a jakże, szachownica. – Poprosimy kogoś, kto nie zna się z inżynierem... Może pana. – Wskazał na Maroczego. – Nie znają się panowie, prawda?

Zanim Węgier odpowiedział, Cornel Corneliu lekko popchnął go do przodu.

– Aby utrudnić zadanie, ustawiliśmy na szachownicy losową pozycję. Poproszę teraz, żeby pan wykonał tu, za zasłoną, jakieś posunięcie. Ja będę świadkiem. A pan Kołłupajło powie, co to był za ruch.

– To niemożliwe, żeby odgadł – wyrwało się komuś.

W swym barwnym życiu Abramowski napotkał rozmaitej maści mesmerystów, okultystów, jasnowidzów, znachorów, hochsztaplerów, chiromantów i astrologów oraz ludzi zwyczajnie zaburzonych. Niektórzy byli pomocni, większość jednak

czepiała się spraw kryminalnych jak rzep psiego ogona i po prostu chciała zwrócić na siebie uwagę.

Bodaj najślynniejszy, Ossowiecki, wykonał kiedyś podobną szachową sztuczkę z samym marszałkiem. Piłsudski w Belwederze zapisywał swoje ruchy, a „Don Stanislao”, jak pieszczotliwie nazywano jasnowidza na warszawskich salonach, odgadł wszystkie. Jak to zrobił? Tego nie wiedział nikt.

Maroczy z ociąganiem podszedł do stolika. Pochylił się, chwilę myślał i przestawił bierkę.

Kołupajło zamknął oczy. Pogładził brodę.

– Goniec z h4 na d8.

– Tak jest! – zakrzyknął oficer. – Zgadza się!

W sali rozległ się szmer podziwu. Ksiądz Piotr Marek przeżegnał się bocheniastą ręką.

Maroczy wykonał kolejny ruch.

– Skoczek z d5 na f4. I od razu przestawił go pan na g6.

Węgier uniósł figurę i zademonstrował zebranym.

– Tak. To ten skoczek. Skąd pan wiedział? To niemożliwe. W tym musi być jakiś trik.

Kołupajło się uśmiechnął.

– Szachy to nic, proszę mi wierzyć. Gdybym ja opowiedział wszystkim tu zebranym, jakie skrywa pan tajemnice...

Publiczność się roześmiała. Zanim Maroczy odstawił figurę, zadrżała mu ręka. Odwrócił się ku szachownicy, żeby nikt nie widział jego twarzy, ale Abramowski dostrzegł, że się zmieszał.

Do szachownicy podszedł z kolei Corneliu, a inżynier znów podał poprawny ruch. Zabawa trwała jeszcze jakiś czas, a gdy dobiegła końca, nagrodzono Kołupajkę gromkimi oklaskami. Nawet ksiądz dość nieśmiało dołączył do aplauzu.

Kiedy zaczęły się rozgrywki, Abramowski krążył po werandzie. U stóp baronowej ziewał jamnik. Grała z Frydmanem i w ósmym ruchu straciła hetmana.

Maroczy grał białymi z Tartakowerem i po dwudziestu posunięciach miał beznadziejną pozycję. Gombrowicz siedział naprzeciw Najdorfa i tłumaczył mu coś.

– Uwielbiam szachy. Dlaczego? Bo to palimpsest w czystej postaci. Na partiach nawarstwiają się kolejne partie, jedne warianty rozgałęziają się w inne, są jak kłacza, rezydwa, jak ogrody o rozwidlających się ścieżkach. Zupełnie jak literatura. Fikcja fikcję fikcją pogania. W Argentynie, proszę pana, mają ślepego pisarza, który jest specjalistą od takich rozważań, ale nie jestem pewien, czy on gra w szachy, a jeśli tak, to czy równie dobrze jak ja. Sam nigdy na ślepo nie grałem, a pan zapewne wielokrotnie...

Najdorf spojrział na kibica i bezradnie rozłożył ręce.

– Z tym człowiekiem nie da się grać. On nieustannie nawija. Trudno się skupić. Może go pan zastąpi?

Abramowski uśmiechnął się i pokręcił głową.

Franciszek Sulik, najmniej znany z polskich graczy, kończył partię z Corneliu. Dwa, trzy posunięcia i będzie po wszystkim.

Abramowski usiadł w wiklinowym fotelu i zapalił papierosa. Łodygi egzotycznego kwiatu przesłaniały mu ocean. Gombrowicz wciąż paplał, ale przecież to ostatecznie nic takiego. Pomyślał o dziesiątkach szachistów, których widział w akcji lub tylko o nich słyszał. O Laskerze, z dłonią opartą na lewym udzie i z nieodłącznym cygarem, którym kopcił przeciwnikom w twarz. O Capablance, gdy ten bez większego namysłu, z jakąś wrodzoną lekkością wykonywał posunięcie, wstawał, przechadzał się po sali i zamiast myśleć o toczonej partii, wyławiał wzrokiem atrakcyjną kobietę, z którą zamierzał spędzić wieczór. O Schlechterze, z opaską na oku, taką samą, jaką na statku dla zabawy nosił mały chłopiec. O zamyślonym Sämischu, który dokonał nie lada wyczynu i podczas turnieju przegrał wszystkie partie przez przekroczenie czasu do namysłu. Jednych, jak choćby Rubinsteina, cechowała chorobliwa wręcz skromność, inni, jak Bogolubow, byli skończonymi narcyzami i bufonami. Niektórzy trwali

w okopach tradycji i sprawdzonych rozwiązań, z kolei poszukiwaczy nowych dróg nazywano hipermodernistami. Do tych nowatorów zaliczał się Tartakower. A tu jeszcze z Sowietów szła szeroką ławą nowa generacja, z ich największą gwiazdą Botwinnikiem, wyglądającym na wiecznego szkolnego prymusa, który ze wszystkich przedmiotów ma najwyższe oceny. Przypomniało mu się nagle, jak w dwudziestym siódmym, gdy dochodził do siebie po argentyńskiej przygodzie, a poderżnięte gardło się zabiźniało, śledził mecz Capablanki z Alechinem i nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób genialny Kubańczyk przegrał. Gdyby został wtedy w Buenos dłużej, mógłby zobaczyć tych dwóch tytanów. Z oczywistych powodów jednak nie mógł tam pozostać.

Stare czasy. Czy dobre? Żadne nie są dobre.

Przez chwilę sprawdzał, czy w głowie nie pojawiła się mucha, ale nic takiego nie nastąpiło. Uznał, że odniósł małe zwycięstwo.

– Koniec i bomba, a kto przegrał, ten trąba! – Gombrowicz ścisnął dłoń Najdorfa.

Podczas obiadu Maroczy odzyskał rezon. Niewiele przecież brakowało, a miałby samego Tartakowera na widelcu. Uniósł sztuciec z nabitym nań kawałkiem udźca. O właśnie tak.

Nina przypatrywała się Abramowskiemu dłużej, niż wypadało. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że był u fryzjera. I dopiero teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie tam poszedł.

Była godzina do kolacji, gdy zapukał dwa razy, znów dwa i jeszcze cztery.

– Byłam ciekawa, kiedy pan przyjdzie – powiedziała w drzwiach. – Zamierza mnie pan wyciągnąć na pokład?

Nie do końca był pewien, czy w jej głosie usłyszał drwinę czy zachętę.

Poszli do baru, pustawego o tej porze. Kto miał się napić po obiedzie, już to zrobił, inni czekali na wieczór. Murzynki na płaskorzeźbach były już jego dobrymi znajomymi i pozdrowił je w myślach. Jeszcze kilka dni i nada im imiona. Chwilowo miał dosyć mocnych alkoholi. Z radością dostrzegł lager z browaru

Haberbuscha i Schielego, a Nina zamówiła stopkę Baczewskiego. Zapewne na pobudzenie apetytu i lepsze krążenie.

Opowiedział jej o ostatnich zajściach na statku. O jasnowidzu Kołupajle i wiecznym gadule Gombrowiczu. A także o kolejnym skandalu z Zarembą oraz kompocie. Dwa razy roześmiała się i natychmiast przesłoniła dłonią usta, jakby wstydząc się swej reakcji. Gdy usłyszała nazwisko pisarza, ożywiła się. Owszem, czytała, uważa go za wielce uzdolnionego, widziała go oczywiście na statku, ale przecież nie podejdzie. Sama, gdy skończyła studia, jako druga kobieta w rodzinie, zaczęła pisać, tyle że do prasy.

– Czytywał pan „Bluszcz”?

Pokręcił głową.

Westchnęła.

– W ogóle wygląda pan na człowieka, którego literki kłują w oczy.

Mógłby zaprzeczyć, ale tego nie zrobił.

– Teraz jest wiele kobiet, które głównie piszą o sprawach społecznych. Samotnych matkach, patologiach, potrzebie edukacji. I bardzo dobrze, że to robią. Ale ja nigdy nie czułam się taką siłaczką pióra. Wie pan, z czego jestem dumna? Z cyklu artykułów o kobietach podczas wojny z bolszewikami. Wszystkim wydaje się, że obronił nas wąsaty dziadek na kasztance i podobni do niego geroje obwieszeni żelastwem, ale to my byłyśmy prawdziwymi bohaterkami. A Maryjka, zawsze dziewica i matka nam najświętsza, nie miała z tym nic wspólnego.

Zamówiła jeszcze jedną wódkę, a on słuchał uważnie i porządkował fakty. Wiedział już, w której kabinie powinien szukać powieści Choromańskiego. Był tego pewien. Ale wciąż miał przed sobą pewną układankę. Żywą, atrakcyjną i inteligentną.

– Mogę zadać pani osobiste pytanie?

Zawahała się, a potem przytaknęła.

– Co to znaczy, że nie jest pani młodą wdową?

Obracała w palcach pusty kieliszek i milczała. Uśmiechnęła się, ale tak bez przekonania.

– Jednak zaintrygowałam pana, prawda? Jak by to panu powiedzieć... Każdy popełnia w życiu błędy. I ja też taki popełniłam.

Jej oczy się zaszklily.

– Niby jestem taka wyzwolona, a uległam namowom... Co tam namowom, dyktatowi rodziny. I wyszłam za męża. Dałam się złamać. A już pierwszej nocy po ślubie ta tak zwana dobra partia okazała się bydlakiem.

Położyła mu rękę na nadgarstku. Miała lodowate palce.

– Większość kobiet wzruszyłaby ramionami... Przemoc w rodzinie to ostatecznie nic szczególnego... Jak to się mówi? Że bije, więc kocha? Nic głupszego w życiu nie słyszałam. Że brudy pierze się we własnych czterech ścianach? Otóż ja tak nie chciałam. Następnego dnia się wyprowadziłam. W mojej rodzinie chyba nigdy nie było tak szybkiego rozwodu.

Uśmiechnęła się, ni to kwaśno, ni z dumą, i cofnęła rękę.

– Ale zmieńmy temat. To ja też zapytam. Dziś przy śniadaniu... Zerwał się pan tak gwałtownie. Dlaczego?

Uznał, że może jej to wyjawic. Opowiedział o musze, która lata w jego głowie. O szachach i walce, którą z nią toczy od lat.

– Chętnie bym się dowiedziała, co się panu przytrafiło. – Wskazała palcem jego twarz. – Skąd ta blizna? To chyba nie od muchy. Ale to może innym razem... Prosił mnie pan, żebym została szpiclem, więc...

– Nie użyłem takich słów – zaprzeczył.

– Więc opowiem panu coś, co być może wyda się interesujące. Wyszłam na chwilę po południu. Pana nigdzie nie było. Widziałam tych szachistów. I to, jak nasz specjalista od Freuda kłóci się z tym Rumunem. Stali przy stoliku, a on zarzucał mu oszustwo.

– To się zdarza – mruknął Abramowski. – Szachy to wielkie emocje.

– Ten Maroczy w ogóle, zdaje się, miał zły dzień. Bo później słyszałam go raz jeszcze. Stał z kimś tutaj, za tym potężnym filarem. – Wskazała ręką. – Nie widziałam go, ale z pewnością był to jego głos. I pytał tamtego...

– Widziała pani, kto to był?

– Nie, nie widziałam. Ale wiem, że to mężczyzna. „Co pan miał na myśli?“, zapytał Maroczy. A potem: „Co to ma znaczyć?!“. Mówił jak ktoś wytrącony z równowagi.

– A tamten?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Wycofałam się od razu. Jak pan widzi, nie jest ze mnie dobry szpieg. A jeśli interesuje pana, co ja tu robiłam... Cóż, przyszłam zrobić to, co zwykle robi się w barze. Czasami mam potrzebę i ochotę. Więc cieszę się, że tu teraz jesteśmy.

Dopił ostatni łyk piwa i poszli na kolację.

Jedli niemal w milczeniu. Od czasu do czasu ktoś spojrział na puste miejsce przy stole. Węgier się nie zjawiał.

Następnego dnia przy śniadaniu jego miejsce wciąż świeciło pustką.

ROZDZIAŁ 13

Ledwo wyciągnął się na sofie, usłyszał pukanie do drzwi. Była w tym stukaniu pewna natarczywość, wstał więc szybciej, niż zwykł to robić.

W progu stał podporucznik Kałuża. Jego twarz była kredowobiała.

– Przepraszam, że przeszkadzam – głos mu drżał – ale... ale zdarzyło się... Zdarzyło się coś poważnego.

Abramowski gestem zaprosił go do środka. Senność, którą zwykł odczuwać po posiłkach, w jednej chwili ustąpiła.

Kałuża stał bez ruchu.

– Kapitan prosi, aby się pan zjawił.

– Ja? Gdzie?

– Tak. Pan. I to bezzwłocznie. – Uznawszy, że wydał rozkaz, oficer odwrócił się na pięcie.

Nie powiedział nic więcej, Abramowski zaś czuł, że nie należy o nic dopytywać. Pomyślał jedynie, że przeczucia się sprawdzają. Już podczas śniadania spodziewał się, że tego dnia coś się wydarzy.

Szli korytarzem, a on z każdym krokiem nabierał pewności, dokąd idą.

Podporucznik otworzył drzwi kabiny.

Pierwsze, co zobaczył Abramowski, to sylwetkę w mundurze. Mężczyzna odwrócił się. Był starszy od niego, i to znacznie. Szczupły, z wysokim czołem, resztkami siwizny na skroniach i starannie przystrzyżonym wąsem. Oraz oczami, które nie pozostawiały wątpliwości, kim jest. Nawet gdyby nie miał na sobie munduru, wzrok i postawa mówiłyby, że na tym statku jest pierwszy po Bogu.

Przedstawił się. Kapitan Eustazy Rozwadowski.

A potem bez słowa się odsunął.

Na dywanie leżało ciało. Z rozrzuconymi na boki rękami. Rozchełstaną koszulą, spod której wystawała włochata pierś. Z nogami, które ułożyły się tak, że przypominały romb. Wierzchołek tej figury zdobiły buty. Jeden całkiem zwykły, drugi o bardzo grubej podeszwie.

Twarz Maroczego przykrywał ręcznik.

Abramowski popatrzył na pierwszego po Bogu.

– Proszę mi wybaczyć, kapitanie... Z jakich powodów zostałem tu przez pana zawezwany? Nie jestem policjantem, detektywem, lekarzem też nie... Zresztą lekarz na nic by się tu zdał...

Eustazy Rozwadowski przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Krótco przed rejssem dostałem pewną informację... Nie mogę zdradzić szczegółów, powiem jedynie, że była o najwyższym stopniu poufności. Wynikało z niej, że naszym transatlantykiem będzie płynął ktoś... Powiedzmy, że ktoś szczególnie... Padło pańskie nazwisko. I gdyby podczas rejsu zdarzyło się coś o... tak, chyba tak to ujęto... o wysokim stopniu niezwykłości, mam pana zawiadomić i udzielić niezbędnej pomocy... A nawet wszelkiej pomocy.

Kapitan mówił, a twarz Abramowskiemu tężała. Nie taka była umowa. Nikt na tym statku nie miał prawa wiedzieć, kim jest. Do Argentyny płynął po prostu jeszcze jeden pasażer i nikt więcej. Tymczasem ktoś wykazał się niepotrzebną zapobiegliwością. I miał zdecydowanie zbyt długi język.

– Nie wiem, kim pan jest, i nie lubię takich tajemnic na moim statku. Ale czasy są takie, jakie są, więc rozumiem... I zdaje się, że to właśnie jest taka niezwykła okoliczność.

Kapitan pochylił się nad ciałem i zdjął ręcznik. Abramowski przykucnął. Oblicze Maroczego wykrzywił grymas, a wąsiki były nastroszone. Z wpółotwartych, nabrzmiątych ust wystawał język. Szyję psychoanalityka zdobił czarny sznur. Abramowski spojrzał w bok. Telefon był wyrwany z gniazdka.

A więc to kabel, nie sznur. Najdziwniejsze były jednak oczy. Jedno pozostawało otwarte, drugie czymś zakryto. Przyjrzał się uważniej i dopiero wtedy zrozumiał.

W oczodole umieszczono szachowego piona. Po prostu wbito go, i to na tyle głęboko, że wystawała jedynie podstawa obłożona granatowym filcem.

– Proszę spojrzeć na but – poprosił kapitan.

Abramowski uniósł nogę. W miejscu, gdzie powinna się znajdować podeszwa ortopedycznego buta, ziała dziura. Otwór był na tyle duży, że można było ukryć w nim coś cennego. Ten numer z podeszwą znany był od wieków, ale wciąż chętnie stosowany.

A więc jednak.

Instrukcje, które otrzymał przed rejsem, były właściwe. To właśnie Węgra powinien był odnaleźć.

Ale najwyraźniej szukał go ktoś jeszcze. Był pierwszy. Odkrył skrytkę i ją opróżnił.

Abramowski raz jeszcze popatrzył na oczodół z wbitym weń pionkiem.

– Kto znalazł ciało? – zapytał.

Rozwadowski głową dał znak Kałuży. Podporucznik opowiedział, co wydarzyło się rankiem. Steward pokojowy, przydzielony do tej oraz sąsiednich kabin, próbował się dodzwonić do Maroczego i zmienić godzinę sprzątania. Czasami tak się zdarza, nawet na najlepszych statkach. Ale telefon Węgra milczał głucho. Steward uznał, że linia musi być uszkodzona. Przyszedł, zapukał, a gdy nikt nie odpowiedział, nacisnął kłamkę.

– A potem zaalarmował mnie – Kałuża kończył opowieść. – Jest w szoku. Wysłałem go do lekarza, żeby dostał coś na uspokojenie. I zakazałem mówić o tym, co tu zobaczył. – Trzymał ręce w kieszeniach, zapewne chcąc w ten sposób ukryć ich drżenie. Cały czas stał plecami do zwłok.

– Czyli, o ile dobrze rozumiem, wiemy o tym my czterej: panowie, steward i ja – upewnił się Abramowski.

To była właśnie ta chwila, w której ze zwykłego pasażera transatlantyku przemieniał się w kogoś innego. Patrzył na ciało, jakby takie widoki nie były dla niego pierwszozną, i na swój sposób poczuł ulgę. Jakby w jednym momencie opuścił go stan niepewności i nieznośnego napięcia. Zadręczał się przecież myślami, czy kontrakt, na który się zdecydował, ma jakikolwiek sens. Właściwie była to umowa narzucona przez jedną ze stron, a on nie miał większego wyboru. Później nachodziły go rozliczne wątpliwości, wmawiał sobie wręcz, że podczas rejsu nic się nie wydarzy, bo i cóż nadzwyczajnego miałyby się stać, trwał więc, czekał i nie robił sobie wielkich nadziei.

A jednak stało się.

Ten poranek to zmieniał. Ci, którzy go tutaj posłali, mieli swoje powody. I od tej chwili wszystko było już w jego rękach.

Podporucznik potwierdził. Tak. Wiedziało tylko ich czterech.

– To przynajmniej o jeden za dużo – powiedział Abramowski. – Wkrótce dopłyniemy do Dakaru. Niech panowie wysadzą stewarda i załatwią mu rejs powrotny. Bardzo panów o to proszę. Do tego czasu trzeba się nim dobrze zająć. Oczywiście poinformujemy pasażerów o śmierci pana Maroczego, który zmarł z powodów naturalnych. Miał atak serca.

A potem wydał kilka innych zaleceń. Przede wszystkim chciałby rozejrzeć się po kajucie. A także przejrzeć bagaże Węgra przechowywane w ładowni. O ile takie były. Uprzedził kapitana, że zdejmie z ciała ubranie. Oficerowie spojrzeli na niego zdziwieni, ale nie wdawał się w wyjaśnienia.

Maroczego oczywiście pochowa się w oceanie, jak zwykle się czynić w takich przypadkach. Poprosił też o pewne wstawiennictwo. Być może będzie musiał porozmawiać z członkami załogi. A wtedy, aby przełamać lody, powoła się na kapitana Rozwadowskiego. Sam przedstawi się jako detektyw wysłany na ten rejs przez linie oceaniczne. Zachodzi podejrzenie, że po śmierci ktoś obrabował zmarłego. Stąd całe śledztwo. Taką wersję przedłoży. Poza tym byłoby dobrze, gdyby życie na statku toczyło się swoim rytmem.

– Kto zajmuje sąsiednie kabiny? Jedną, to wiem, ten Rumun. Corneliu.

Drugim sąsiadem był pułkownik Długopolski. Wojak głuchy jak pień.

Abramowski pokiwał głową. Poprosił oficerów, żeby zostawili go samego.

– To jednak jest niezwykle. – Rozwadowski poprawił mundur. – To jeden z moich ostatnich rejsów. Wkrótce czeka mnie emerytura. I, powiem panu, wiele widziałem. Ludzie skakali do oceanu w wyniku afektu miłosnego. Strzelali do siebie z zazdrości. Wariowali i trzeba ich było przywiązywać do łóżka. Raz przytrafiło się groźne uszkodzenie kadłuba i wydawało się, że skończymy jak „Titanic”. Innym razem z nieszczelnego zaworu wyciekła ropa i się zapaliła. Ale żeby takie bestialstwo... – Pokręcił głową, jakby wciąż nie wierzył w to, co widzi. – Czy ma pan jakieś przypuszczenia, kto to mógł zrobić?

Corneliu... Staszewski... Tartakower...

– Żadnych – odpowiedział Abramowski.

– Jeśli jednak znajdzie pan sprawcę, proszę nie podejmować samodzielnie jakichkolwiek kroków.

Abramowski zapewnił, że będzie informował o postępach na bieżąco. Jeśli w ogóle takie nastąpią.

Gdy tamci wyszli, wziął się do pracy.

ROZDZIAŁ 14

Nie pierwszy raz znajdował się w takiej sytuacji, gdy jedynym jego towarzyszem było martwe ciało. Widział pomieszczenia zbryzgane krwią i poćwiartowane szczątki, trafiały się zwłoki, wokół których latał rój much, ale były i takie, które po prostu leżały na łóżku bez śladów przemocy i niepokoju. Ot, jakby umarły uciął sobie jedynie niewinną drzemkę. W skali okrucieństwa przypadek Maroczego był gdzieś pośrodku, właściwie nie byłoby w nim nic szczególnego, gdyby nie pionek tkwiący w oku.

Kapitan Rozwadowski miał rację. Ludzie zdolni są do niesłychanych rzeczy. Tych wszelkich przypadków było niezbyt wiele, ale wystarczyły, żeby Abramowski nauczył się postępować wedle pewnych schematów. I teraz także postąpił w zgodzie z nimi. Wycofał się ku drzwiom i z tego miejsca przypatrywał się pomieszczeniu trochę jak malarz, który z oddali przygląda się stworzonemu dziełu.

Myślał, że wszystkie kabiny w klasie pierwszej są takie same, ale nie, ta była większa od tej, którą zajmował, wykończona ciemnym palisandrem i wyposażona w bardziej gustowne meble. Przede wszystkim jednak pokój Maroczego miał drugie wejście. Abramowski wyminął ciało i uchylił drzwi, które prowadziły wprost na promenadę. Jej część specjalnie wydzielono, aby była dostępna tylko dla pasażerów tej oraz sąsiedniej kajuty, którą podczas rejsu zajmował Corneliu. Inni podróżni o takim skrawku przestrzeni, wychodzącym wprost na ocean, mogli jedynie pomarzyć. Dwa pokoje, ten oraz sąsiedni, tworzyły apartament dla wysoko postawionych gości, a jeśli takowi nie zaszczycili rejsu, pomieszczenia rozdzielano na kabiny. Czy łut szczęścia sprawił, że właśnie tę przydzielono Maroczemu, a tamtą obok Rumunowi? Czy było w tym coś więcej niż tylko przypadek? Coraz

bardziej ciekawiła go postać religioznawcy. Czy psychoanalityk i Corneliu poznali się dopiero na statku? Odłożył te pytania na później. Teraz ważniejsze było to, że do tej kajuty można się było dostać z dwóch stron.

W pokoju Węgra panował rozgardiasz. Szafa była otwarta, jej zawartość zaś rozrzucona na podłodze. Kuferek, opróżniony z bielizny i jakichś drobiazgów, leżał w kącie. Abramowski był niemal pewien, że Maroczy nie trzymał innych bagaży w ładowni, a nawet jeśli takie miał, nie było tam rzeczy godnych uwagi.

Na obrazie, który znajdował się przed jego oczami, coś się jednak nie zgadzało i dopiero po chwili uzmysłowił sobie, co mu nie pasuje. Bałagan w kabinie był, by tak rzec, niekonsekwentny. Owszem, szafa wybebeszona, ale szuflady w biurczku zamknięte. Na chybił trafił wysunął środkową. W jednym rogu leżały prezerwatywy Olla Gum wraz z ulotką wychwalającą „jedyne przyjaciela, który nigdy nie zawodzi”, w drugim paszport. A pod nim kolejny. Na spodzie zaś jeszcze jeden. W każdym znajdowało się zdjęcie Węgra. A może wcale nie Maroczego, tylko Samuela Perlsteina, obywatela Holandii? Albo Reinharda Ulricha z Trzeciej Rzeszy?

Albo diabli wiedzą kogo naprawdę.

Między prezerwatywami i paszportami leżał notes w czarnej oprawie. Abramowski przypatrywał się drobniutkiemu, lekko pochyłemu pismu, niemieckim znakom diakrytycznym i jakimś ciągom cyfr. Skrzywił się. Nauczył się łaciny, rosyjskiego i angielskiego, a potem los chciał, że francuskiego i hiszpańskiego. Ale niemieckiego nigdy. Przewertował kartki. Wszystko wskazywało, że ma przed sobą coś w rodzaju dziennika, bo każdy wpis uzupełniała data. Pierwsza styczniowa, dwie ostatnie, poprzedzające bardzo krótkie wpisy, Maroczy, a może Perlstein lub Ulrich, zamieścił podczas rejsu. W piątek, osiemnastego sierpnia, napisał dwa zdania. W jednym Abramowski odczytał słowo „Dakar”. Odłożył notes i otworzył górną szufladę. Mieścił się w niej tylko jeden przedmiot. Wyjął pistolet parabellum i chwilę ważył go w dłoni. Jak to było? *Si vis pacem, para bellum*. Przez ułamek sekundy mignęła mu surowa twarz nauczyciela łaciny, profesora Krajewskiego, ale nie dał się uwieść wspomnieniom. Tak czy siak, Maroczy nie przygotował się do

wojny. Albo inaczej: był przygotowany, lecz dał się zaskoczyć i nie sięgnął po broń.

Lub też nie spodziewał się ataku, bo dobrze znał tego, kto go odwiedził. Różnie mogło być.

Abramowski raz jeszcze stanął przy drzwiach. Tak, przynajmniej w tej jednej sprawie nie mogło być wątpliwości. Bałagan został stworzony celowo, aby zmylić tropy. Na miejscu zabójcy zabrałby broń i paszporty, a potem wyrzucił je do oceanu. Uprawdopodobniłoby to banalną zbrodnię na tle rabunkowym, wszak w niespokojnych czasach ludzie wywozili na drugi koniec świata dorobek życia i, nierzadko, prawdziwe skarby. Z jakichś względów zabójca tak jednak nie zrobił. Może zabrakło mu czasu lub coś go spłoszyło? Albo po prostu dostał to, co chciał, a reszta go zwyczajnie nie zajmowała. O tym, że tak właśnie się stało, świadczyła otwarta skrytka w bucie.

Kilka następnych godzin spędził na przeszukiwaniu kabiny. Przeglądnął rzeczy wyrzucone z szafy i nie znalazł w nich nic ciekawego. Zdjął ze ściany obraz Henryka Uziembły przedstawiający jakieś bagniska. Dokładnie obejrzał ramę. Podniósł dywan. Przyjrzał się odpływowi umywalki i wanny. Przeczesał wszystko centymetr po centymetrze. I znowu nic godnego uwagi. Spocił się i bolały go plecy.

Pozostawało ciało. Rozebrał Maroczego, buty wraz z resztą rzeczy owinął w koszulę i odłożył zawiniątko na bok. Uznał, że weźmie je do siebie i tam przejrzy. Przypatrywał się ciału. Jedną nogę miał Węgier chudsza i nieco zdeformowaną, a zatem to, co mówił o swojej chorobie, było prawdą. Abramowski nie był lekarzem, ale wiedział wystarczająco dużo o procesach, które zachodzą po śmierci, żeby oszacować, kiedy nastąpił zgon. To, że psychoanalityk nie pojawił się na kolacji, stanowiło wystarczającą wskazówkę i nie trzeba było Sherlocka, by połączyć pewne fakty. Siniak nad łukiem brwiowym wskazywał, że Węgier mógł zostać ogłuszony. A później zabójca udusił go kablem telefonicznym.

Jednak to nie siniak ani ślady na szyi, nawet nie pionek wbity w oczodół, z pewnością już po śmierci, go zaciekały. Abramowski przypatrywał się drobniuteńkim punkcikom, które pokrywały skórę. Ślady po igle były na rękach,

udach, brzuchu. W zasadzie wszędzie. Zmarszczył brwi. Kabinę przeszukał przecież starannie, a nigdzie nie natrafił na strzykawkę, igłę, ampułkę lub buteleczkę. Czas jakiś trwał w zamyśleniu, a potem sięgnął po zawiniątko. W kieszeni spodni znalazł to, czego szukał. Echem powróciły słowa Maroczego podczas tego dziwnego wykładu o melancholii. „Przecież wszystko, co najcenniejsze, mamy w sobie. Albo przy sobie”. Tak powiedział. Abramowski się uśmiechnął. Strzykawka. Zabezpieczona igła. Tylko na żadną ampułkę nie natrafił.

Znów nastąpiła chwila namysłu. Podeszedł do biurka i jeszcze raz sięgnął po zapiski Maroczego. Ciągi cyfr powracały regularnie.

0,02 M und Pant.

0,04 M

0,05 2% M und P

Dwie stroniczki dalej kolejne kolumny z cyframi. I następne. I znowu podobne.

Abramowski pokiwał głową. Przynajmniej tyle z tego dziennika zrozumiał. To nie była lista zaplanowanych wydatków, wierzycieli i dłużników. Maroczy był morfinistą i notował przyjęte dawki. „Pant.” zapewne oznaczało pantopon, lek przeciwbólowy chętnie zażywany przez miłośników opium. Pytanie, gdzie podziały się buteleczki z narkotykami, pozostawało bez odpowiedzi. Być może morderca je zabrał. A jeśli tak, to po co?

Ponownie pochylił się nad ciałem. Palce zmarłego były zaciśnięte. Tu jeszcze nie sprawdzał. Rozwarł lewą pięść i nic nie znalazł. Za to w prawej ręce znajdowała się papierowa kulka. Rozprostował kartkę i zamrugał.

Był to fragment strony wyrwanej z książki i zawierał diagram z sześćdziesięcioma czterema polami. Dwa króle, biały i czarny pion. Abramowski znał tę pozycję. Słynna i zarazem paradoksalna końcówka, w której, wydaje się, jedna ze stron nie ma najmniejszych szans. Jeśli jednak przyrzeć się uważniej, można znaleźć ratunek.

Niewiele z tego rozumiał. Skąd ten zwitek wziął się w ręce Maroczego? Dlaczego ten? Dlaczego zabójca wbił mu pionek w oczodół? Co miał oznaczać ten teatralny w sumie gest? Na transatlantyku panował, to prawda, niezdrowy szachowy ferwor, ale wszystko ma swoje granice i nikt nie zabiłby Maroczego z powodu królewskiej gry. Co stało się z morfiną? Kim naprawdę była ofiara i w jakim celu płynęła tym statkiem? Dlaczego zabójca wybrał pionek i skąd go wziął? Czy w skrytce znalazł właśnie to, co chciał?

Lista pytań rosła, lecz na ostatnie, jedno z najważniejszych, Abramowski znał odpowiedź. Tak. W ręce zabójcy trafiło coś cennego.

Coś, co sam chciałby mieć, gdyby wiedział, gdzie tego szukać. Można powiedzieć, że ktoś go ubiegł, ale z drugiej strony ułatwił zadanie. Teraz wystarczyło tylko odnaleźć tego człowieka.

W sumie nic prostszego. Bułka z masłem.

Była poobiednia pora, gdy skończył. Zamknął drzwi, klucz schował do kieszeni. Odda go podporucznikowi Kałuży. Umówią się po kolacji i we dwóch wsuną ciało do worka. A potem, pod osłoną nocy, marynarze wyrzucą je za burtę.

Wracał do swojej kabiny, niosąc pod pachą zawiniątko. A także notatnik w czarnej oprawie, trzy paszporty i pistolet, który Maroczemu był już po nic.

ROZDZIAŁ 16

Siedział na sofie zgięty wpół, z łokciami wbitymi w uda i twarzą ukrytą w dłoniach. Oczy miał zamknięte. W głowie krążyły mu dziesiątki myśli. Nie, nie zajmowało go to, co zobaczył w kabinie Maroczego, a przynajmniej nie pochłaniało go to wprost. Rozmyślał o różnorodności zdarzeń, które sprawiły, że znalazł się teraz tu, na tym transatlantyku, i coraz głębiej pojmował, że widocznie tak jego życie musiało się potoczyć. Spośród wszelkich wariantów, odnóg i ścieżek wybierał te, a nie inne, podejmował decyzje ryzykowne i niekiedy straceńcze. Aż dziw, że przeżył, chociaż logika podpowiadała, że powinien dawno być pod ziemią. Tymczasem on, życiowy rozbitek, był pośrodku oceanu, z kolejną szansą od losu. A przynajmniej nadzieją, że tym razem wszystko dobrze się potoczy i szczęśliwie dobije do brzegu.

Przypomniał mu się kicający w palarni Gombrowicz i skojarzenie, które przemknęło mu przez myśl, gdy patrzył na pisarza. Krnąbrny konik szachowy skaczący to tu, to tam. Obrazy migąły. Stał na polu g1 zajmowanym przez skoczka na początku każdej partii. Mieszkanie w środku Warszawy, na Sadowej, stateczna kupiecka rodzina, w której od dawna nie było biedy, młodszy brat przyjmujący zastrzyki z arszeniku na wzmocnienie. Ano właśnie, Poldek. Anemiczny, spokojny, zakopany w książkach i naukach ścisłych chłopak, który wybrał zupełnie inną, pozbawioną życiowych awantur i zakrętasów drogę, a i tak dopadł go mrok tego świata, może zaś, zwyczajnie, po prostu pech, którego konsekwencje ponosili obaj.

Skoczek wkracza do akcji, przemieszcza się na f3. Gryzące sweterki, wykładane kołnierzyki wrzynające się w szyję, troska o proste plecy, zapach obiadu, śmiech matki przy stole, tubalny głos ojca. Prywatne gimnazjum

Kreczmara na Wilczej, pierwsze w zaborze rosyjskim, w którym wykładano po polsku. Szkolne tarcze z numerem osiemdziesiąt sześć. Najpierw czerwona, a potem niebieska, którą należało od razu zdjąć po wyjściu na ulicę, bo tak nakazywały honor gimnazjalny i dobry ton. On sam szybko stał się najlepszym w klasie specjalistą od przypinania tarcz agrafkami, tak by wyglądały na porządnie przyszyte.

Szkolni koledzy. Dziewczyny w jego życie wkroczyły znacznie później i było to jak grom z jasnego nieba. Ale najpierw koledzy. Przede wszystkim Icek, kumpel ze szkolnej ławy. To on pokazał mu świat, którego wcześniej nie znał. Chodzili na Nalewki, do apteki, którą prowadził wuj chłopca. Szachy. Tam poznał podstawowe zasady i ruchy. Pokazał je Poldkowi i brat był jego pierwszym regularnym przeciwnikiem. Szachy i apteczna woń. Zapachy nieznanymi substancjami i ciągnące się godzinami opowieści o tym, jak zmieniała się dzielnica. Jak dawniej okładano subiektów po twarzy, gdy przynosili pryncypałowi zbyt zimny obiad albo nie odnieśli sztuców. Jak koło drugiej w dzielnicy zawsze robiło się rojno i gwarno, biegano ze sklepu do sklepu po krótkoterminowy kredyt potrzebny do spłaty weksla. Jak w sobotę, gdy sklepy były zamknięte, tłumy z Dzikiej i Miłej kierowały się przez Bielańską i Niecałą do Ogrodu Saskiego. I jak rewolucja w dziewięćset piątym wiele zmieniła. Rewolucja. Pewnego dnia wuj Icka zaprowadził chłopców do piwnicy. Otworzył potrójne drzwi. A potem pokazał im materiały wybuchowe. Był starym bojowcem i wciąż je miał, jak mówił, na wszelki wypadek. Ten dzień zmienił wszystko. Wrócił do domu z gorączką. Do rana nie zasnął. Kilka miesięcy później wiedział, jak konstruuje się bomby i podkłada ładunki wybuchowe.

Skoczek wędruje na e5. Zajmuje centralne pole. Świat należy do niego. Stąd może udać się w ośmiu kierunkach, gdzie tylko chce. Jest drugi rok wojny, Rosjanie opuszczają Warszawę, wiele rodzin, niepewnych swego, rusza za nimi. Rodzina Abramowskich jest jedną z nich. Ale on ma już wtedy zupełnie inne plany. Znika w trakcie podróży i wraca do stolicy. Śle uspokajające listy do matki, która odchodzi od zmysłów, nie wspomina w nich jednak o tym, czym się naprawdę

zajmuje. W tysiąc dziewięćset szesnastym podkłada swe pierwsze ładunki pod pociąg z amunicją. Pierwszy raz całuje dziewczynę. Czuje się dorosły.

Dwa lata później, na uniwersytecie, z wypiekami na twarzy słucha wykładów o metafizyce doświadczalnej. Schorowany prelegent drżącymi rękami ledwo trzyma się katedry. W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym opisze go Stefan Żeromski w *Przedwiośniu*. Słucha o tym, że w etyce braterstwa jest tylko jeden dogmat – bezwzględne poszanowanie człowieka. Dobrze sobie. Wszystko wokół jakby sprzysięgało się przeciw temu prawidłu, ale on chciał w nie wierzyć. Przetoczyła się jedna wojna, a potem druga, z bolszewikami. Bestialstwo szło w zawody ze skrajnym zwyrodnieniem. Ale wszystko skończyło się w grudniu w dwudziestym drugim. Ideały pękły jak bańka mydlana. Widział, jak Gabriel Narutowicz jedzie otwartym powozem z Belwederu do Sejmu, obrzucany antysemitkami inwektywami, kawałkami lodu i pigułami śniegu, a policja się temu beczynnie przygląda. Dzień później, przy wieżycy Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej „Zgoda”, on i Icek zostali zaatakowani przez fanatycznych bojówkarzy. Na pamiątkę pozostała mu blizna na lewym policzku. Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie. I już pozostało. Zresztą cały świat zszedł na psy, a dwudziesty wiek już wtedy należało spisać na straty i, jeśli to możliwe, skoczyć do przodu w następne stulecie. Może okaże się lepsze.

Konik wędruje po kolejnych polach. C6, d8, f7. On pokonuje różne życiowe zakręty. Zaczyna zajmować się nikczemnikami rozmaitej maści i szybko zyskuje pewną renomę. Pomaga mu doświadczenie zdobyte podczas wojny, a także wyrobione znajomości. Jest niespokojnym duchem. Wikła się w awantury miłosne, w alkohol i Paryż, prowadzi żywot utracjusza, jest na skraju samobójstwa. Toczy pojedynki z życiem i te na szachownicy. Jacyś argentyńscy *macho* chcą poderżnąć mu gardło. W tym czasie Poldek robi karierę w międzynarodowych spółkach, osiada w Berlinie, bryluje na tamtejszych salonach. Zakłada tam rodzinę, ma dwie śliczne córeczki. Rodzice już nie żyją, lecz byliby dumni tylko z jednego syna. Drugi był źródłem nieustannych kłopotów.

– Jest pan źródłem nieustannych kłopotów.

Skoczek znalazł się na h8. Został zapędzony do narożnika. Był deszczowy dzień w połowie lipca, trochę ponad miesiąc temu, ale zdawało mu się, że od tamtej rozmowy minęły lata.

– Nie wiem, kto ma większe problemy: pan czy pański brat.

– Rozumiem. Sprowadziliście mnie tu, żeby się o mnie zatroszczyć. Doceniam ten gest.

Był w Pałacu Saskim. W jednym z niepozornych pokoi zajmowanych przez polski wywiad. Mężczyzna, który siedział za biurkiem, wyróżniał się tym, że nie miał w sobie nic charakterystycznego. Gdyby Abramowski miał go opisać, musiałby się, mimo wyćwiczonego oka i niemałej wprawy, mocno nagłowić. Szary, prosty garnitur dopełniał całości.

– Dziwię się, że po Hiszpanii wciąż ma pan polskie obywatelstwo.

Akurat tu mężczyzna miał rację. Inni, którzy walczyli z generałem Franco, nie mieli tyle szczęścia. A może było inaczej i wbrew własnej woli stawali się w ten sposób szczęśliwymi bezpaństwowcami?

– Macie luki w systemie. Wszędzie macie luki.

– Ponieważ wciąż jednak jest pan Polakiem, upoważnia mnie to do odbycia rozmowy – mężczyzna zignorował komentarz.

– Zamierzacie porozmawiać ze mną tak jak w dwudziestym ósmym? Wtedy tydzień leżałem w szpitalu.

A jednak tamten potrafił się uśmiechać.

– Niepotrzebnie zajął się pan zaginięciem generała Zagórskiego. Zresztą jakim zaginięciem. To był obcy agent... – Westchnął. – I nie zaginął, tylko zwyczajnie uciekł. Cóż, zdarza się, że ktoś zmyli naszą czujność... Ale przejdźmy do rzeczy. Widzi pan ten plakat? Ten za moimi plecami?

– „Wielki Zryw Narodu Polskiego Ku Wielkości i Potędze Rzeczypospolitej”? Naprawdę wierzy pan – odczytywał napisy – że za trzy lata „osiągniemy najwyższą doskonałość sił obronnych”, a w pięćdziesiątym czwartym „wyrównamy stan gospodarczy całej Polski”?

– Nie ten. Ten drugi – warknął. – Znalazłem go w archiwum i nakazałem powiesić. Ku przestrodze.

Plakat przedstawiał czerwonoarmistę obmacującego dziewczynę. Obrazek dopełniało hasło: „Czy chcecie dopuścić do tego, by tak się stało i z Waszymi kobietami i dziewczętami?”.

Obok plakatów wisiało zdjęcie. Poza tym na ścianach nie było nic. Ani godła, ani mapy. Ani zdjęcia marszałka, jednego lub drugiego.

– Sprawy mają się tak, że prawdziwe zagrożenie nadciąga ze Wschodu. Uważnie obserwujemy, co robi Stalin. W maju odwołał komisarza spraw zagranicznych Litwinowa, Żyda, a jego miejsce zajął Mołotow. O ile wiemy, to on ma przygotować grunt pod porozumienie z Hitlerem.

– Czyli jednak grozi nam podwójny atak.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Inaczej określamy zagrożenie. Ale szukamy różnych potwierdzeń. I właśnie trafia się wyjątkowa okazja. Proszę słuchać uważnie.

Zaczął mówić.

Na horyzoncie pojawił się człowiek, który posiada szczególnie wrażliwe materiały. Być może dotyczą one porozumienia Hitlera ze Stalinem, a może są jedynie listą sowieckich agentów działających na terenie Rzeczypospolitej. Lub spisem polskich szpiegów zwerbowanych przez drugą stronę. W ogóle niewiele wiadomo, poza tym że może być to żyła złota dla każdego wywiadu. Próbką, którą wysłał tamten, lub tamta, wyglądała niezwykle interesująco. Wszystko było na najlepszej drodze, ale kontakt nagle się urwał. Tak jakby potencjalny kontrahent się wystraszył i postanowił wycofać. Poza tym... poza tym pojawiło się kilka przykrych niespodzianek. Polscy agenci w obu stolicach, Berlinie i Moskwie, nagle zaczęli znikać. Trzeba było ratować tych, których się dało, i ograniczyć straty.

– Tu – wlepił w Abramowskiego wodnisty wzrok – dochodzimy do sedna. Nie mamy pojęcia, kim jest ten człowiek, ale sądzimy, że w sierpniu wypłynie jednym z naszych transatlantyków do Argentyny. Wiemy, który rejs należy brać pod uwagę.

I tutaj – stuknął palcem w blat – pojawia się zadanie dla pana. Trzeba odnaleźć tego człowieka i unieszkodliwić. Zdobyć materiały, bo z pewnością będzie miał je ze sobą, a potem dostarczyć je do nas. Do tego pokoju.

– Wiecie to wszystko na pewno?

Nijaka twarz się skrzywiła.

– Ma pan jeszcze jakieś pytanie?

– Dlaczego ja? Nie jestem waszym człowiekiem.

– Na to mogę odpowiedzieć. Właściwie, po części, sam pan sobie odpowiedział. Wokół naszych ludzi, jak już mówiłem, zrobiło się gorąco. Parno jak w łaźni. Musimy zaryzykować. Sytuacja jest wyjątkowa i musimy się do niej dostosować. To po pierwsze. Po drugie, ma pan pewne doświadczenie w odnajdywaniu ludzi. Także na transatlantykach. – Zawahał się. – A po trzecie, tym statkiem będą płynęli do Argentyny szachiści. – Chrząknął. – Żydowskiego pochodzenia. Nie możemy wykluczyć, że to jeden z nich jest człowiekiem, którego szukamy. A pan zna się na szachach. Pogra pan z nimi, zaprzyjaźni się... Jak pan widzi, odrobiłem lekcję. Sporo o panu wiem. Właściwie... Głowiłem się długo nad tym i nie znalazłem nikogo lepszego od pana.

Abramowski wbił wzrok w szary garnitur. A potem oczy.

– Wspomniał pan o moim bracie.

Szczęśliwe życie w Berlinie zakończyło się pewnej lutowej nocy tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego, gdy bal wydany przez Georga von Nalecz-Sosnowskiego trwał w najlepsze. Śmietanka towarzyska Berlina bawiła się hucznie, popijając wykwintne alkohole i zażywając najlepsze narkotyki, kiedy rozległ się łomot do drzwi i wkroczyło Gestapo.

Wśród aresztowanych, a później oskarżonych o szpiegostwo był Leopold. Nie do końca było jasne, jak znalazł się w tym towarzystwie, ale najpewniej przywiodły go tam jakieś sprawy zawodowe. Arystokratkom i kochankom rotmistrza Sosnowskiego, obwinionym o spisek, odrąbano głowy toporem, Poldka i kilku innych dwa lata później wymieniono na niemieckich agentów przetrzymywanych

w Polsce. I wtedy mrok świata dopadł go ponownie. Trafił do kolejnego więzienia, tym razem posądzony o szpiegostwo na rzecz Berlina.

– A właśnie... Pański brat... Jak pan zapewne wie, sprawa tego zdrajcy Sosnowskiego zakończyła się w czerwcu. Nie ma wątpliwości, że był podwójnym agentem. Niech się cieszy, że odsiedzi tylko piętnaście lat. – Wskazał plakat wiszący na ścianie. – Wyjdzie, gdy nasza ojczyzna będzie rosła w siłę. A pański brat jest szczęściarzem, dostał tylko połowę tego...

– Mój brat nie ma z tym nic wspólnego – Abramowski podniósł głos.

Mógłby dodać, że Poldek był zbyt naiwny i ofermowaty, aby nadawać się na agenta wywiadu, ale nie zrobił tego.

– Och, niech pan przestanie... On naprawdę jest w czepku urodzony. Bo jeśli pańska misja się powiedzie, pan Leopold... dobrze pamiętam, prawda?... odzyska wolność znacznie wcześniej.

Na parapecie usiadł ptak, przez chwilę ciekawie przypatrywał się rozmówcom, a potem odfrunął.

– Nie miałem z bratem kontaktu od ogłoszenia wyroku... Nawet nie wiem, jak on się czuje... Jakie mam gwarancje, że dotrzymacie słowa?

– Ma pan słowo polskiego oficera.

Abramowski zacisnął palce na udach.

– W tym kraju ostatnio bardzo szafuje się honorem. Najpierw minister Beck, a teraz pan.

Tamten westchnął.

– Potraktujmy to tak... Gra pan w szachy. Więc proszę pomyśleć, że rozgrywa pan najważniejszą partię w swoim życiu.

W ten sposób skoczek powrócił na centralne pole i znów znalazł się w ogniu zdarzeń. Dlatego on tkwił teraz pośrodku oceanu. Rzucił okiem na zawiniątko, które położył na biurku. A później przypomniał sobie finał tamtej rozmowy.

Obaj stali już przy drzwiach.

– A co, jeśli na tym statku nic się nie wydarzy? – zapytał.

Wodniste oczy stały się jeszcze bardziej rozmyte.

– Wtedy po prostu nic się nie wydarzy.

ROZDZIAŁ 17

Zbliżała się godzina kolacji, gdy odnalazł Kałużę. We dwóch poszli do kabiny Maroczego i zajęli się trupem. Pracowali w milczeniu i tylko foliowy worek szeleścił w palcach. Skończyli, umyli ręce i wtedy oficer odetchnął.

– To teraz jedynie pozostaje poinformować pasażerów. Być może pora kolacji nie jest najbardziej stosowną chwilą, ale jaka jest dobra? Można by im nic nie mówić, wtedy jednak pojawiają się plotki, jakieś fantastyczne przypuszczenia, panika nawet... Robię to nie pierwszy raz i za każdym jest jakoś niezręcznie... Chyba nigdy się tego nie nauczę... – Mówił ni do Abramowskiego, ni do siebie. – Aha, bym zapomniał. – Odłożył ręcznik. – Proszę udać się do radiotelegrafisty. Czasy są, jakie są, i kapitan zażyczył sobie raportów co trzy dni. Sprawdzamy, kto z pasażerów komunikował się z lądem i w jakiej sprawie. Najczęściej to same duperele, przepraszam, jakieś wyznania miłosne, tęsknoty i tak dalej. Ale doglądamy tego, oczywiście poufnie. No i u naszych ludzi pojawił się także Maroczy.

Abramowski zmarszczył brwi.

– Kiedy to było?

– W piątek. Chyba... Radiotelegrafista będzie wiedział. A ja tymczasem przygotuję się do tej kolacji. Proszę później dać mi klucze. Zajmiemy się nim.

Spojrzał na worek, jakby w ten sposób chciał się pożegnać ze zmarłym, i wyszedł. Abramowski postać chwilę, raz jeszcze powiódł wzrokiem po kabynie, jak gdyby ostatni raz chciał się upewnić, że niczego nie przeoczył. Wrócił do siebie, zmienił koszulę i włożył marynarkę.

A potem zmienił plany. Kolacja zaczeka.

Wprawdzie chciał zobaczyć, jak podróżni zareagują na wiadomość, którą przekaże im Kałuża, ale nic to przecież nie da. Ktoś wybałuszy oczy, ktoś inny cicho krzyknie, lecz nikt nie przyzna się do zbrodni. Poza tym to nie jest powieść Agathy Christie.

Odnalazł stanowisko radiotelegrafisty i się przedstawił. Młody chłopak zdjął słuchawki z uszu i przyglądał mu się ciekawie. Potem się obrócił i zaczął grzebać w papierach.

– Maroczy... Maroczy... Sekunda. To nie było na mojej zmianie.

– Ilu was jest? Dwóch?

Radiotelegrafista potwierdził. Od czasów „Titanica” prowadzono na transatlantykach stały nasłuch. Taka praca wymagała wymieniających się ludzi.

– O, mam to. – Odwrócił się i uniósł kartkę. – Piątek, godzina dziesiąta trzydzieści osiem. Wiadomość dość krótka. „Potwierdzam termin wykładu. Pilnie potrzebuję materiałów”.

Abramowski sapnął. Nic z tego nie rozumiał.

– I tego samego dnia przyszła odpowiedź. O dwudziestej pierwszej trzydzieści siedem. „Pasażer dostarczy książki na statek”.

O tej godzinie on już nie żył.

– Skąd przyszła wiadomość?

– Jak to: skąd? Z miejsca, do którego nadał swoją. Z Dakaru.

Abramowski drgnął. Dakar pojawiał się także w ostatnim wpisie Maroczego. Jutro tam dotrą. A ta wiadomość o wykładzie nie miała większego sensu. Albo, uściślił rozumowanie, nie miałyby, gdyby nie okoliczności. Gdyby nie trzy paszporty i parabellum w szufladzie. Gdyby nie skrytka w bucie. Wreszcie: gdyby nie śmierć. „Pasażer dostarczy książki na statek”. Żadne tam książki. Nagle strzępy informacji zaczęły się zazębiać. Zsynchronizowały się niczym dobrze ustawione figury na szachownicy.

Nawet nie podziękował za informacje. Po prostu wybiegł, pozostawiając osłupiałego radiotelegrafistę. Biegł i myślał o tym, że jest już za późno, a on okazał się głupcem. Potrącił jakiegoś spóźnialskiego, który udawał się na kolację. Gdy stanął w drzwiach, usłyszał Kałużę.

– Mam jeszcze do przekazania – podporucznik chrząknął i zawiesił głos – niezbyt dobrą nowinę...

– Przepraszam! – Abramowski krzyknął.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego stronę.

Podbiegł do oficera i pociągnął go ku drzwiom. W sali rozległ się szmer.

Wrócili po chwili. Abramowski jak gdyby nic usiadł przy stole. Wolica patrzył na niego zdumiony. Luscia pieściła perły. Nina i Terlecki udawali, że nic się nie stało. Krzesło Maroczego było puste.

Kałuża stanął na podeście. Chrząknął raz jeszcze.

– Więc, jak państwo wiecie, jutro dobijemy do Dakaru. Podczas śniadania przekażę kilka przydatnych wskazówek dla tych z państwa, którzy zdecydują się zejść na ląd. Nasz pobyt w porcie nie będzie zbyt długi, zatem...

– A co z tą niezbyt dobrą nowiną? – Abramowski rozpoznał głos Staszewskiego.

Kałuża stropił się.

– Chodzi o to, że... Dziś występ naszego znakomitego zespołu muzycznego może rozpocząć się z opóźnieniem. Bardzo za to przepraszamy.

Abramowski przymknął oczy. Poprawił marynarkę. Napięcie opadło. Zagadywał Wolice, spróbował nawet zażartować, ale średnio mu wyszło. Przedsiębiorca pochwalił się muzycznymi postępami. Przypomniawszy sobie kolejne takty arii. W ten sposób był w połowie utworu.

– Gdy będę miał całość, zaproszę nasz stolik na koncert. – Uśmiechnął się i spojrzał na Lusię. – A właśnie – wskazał widelcem puste miejsce – nie wie pan, co się stało z naszym sympatycznym Węgrem? Rozmawialiśmy o nim, zanim pan dołączył.

– Tak się składa, że wiem – Abramowski ściszył głos. – Spotkałem naszego lekarza i mi powiedział. Pan Maroczy miał atak jakiś czy wylew... W każdym razie to coś poważnego, ale stan się stabilizuje... Proszę, oczywiście, zachować tę wiadomość dla siebie.

Wolica z niedowierzaniem kręcił głową. Terlecki odłożył sztućce. Nina zasłoniła usta ręką.

– Coś podobnego... Taki żywotny człowiek – mrucał. – Ale z typami cholerycznymi tak właśnie jest. Dziwię się, że kanclerz Hitler nie miał jeszcze żadnego wylewu.

Lusia obrzuciła męża przeciągłym spojrzeniem. Zrobiła to chyba pierwszy raz podczas rejsu.

Po kolacji Abramowski oddał klucze. W środku nocy, gdy wszyscy pójda spać, kilku marynarzy wyrzuci ciało do oceanu. Przekazał Kałuży coś w rodzaju instrukcji. Na korytarzu muszą czuwać ludzie. Na pokładzie też. Nikt postronny nie może zobaczyć, co się dzieje. Trzeba zrobić to w absolutnej ciszy. Głuchy jak pień pułkownik nie był wielkim zmartwieniem, ale z tym Rumunem, Cornelem Corneliu, mógł być kłopot.

Natknęli się na siebie w sali dansingowej. Właściwie to Rumun go zaczepił. Wbrew zapowiedziom Kałuży zespół zaczął grać zgodnie z planem. Tego wieczora płaśało mniej par i w ogóle było ciszej i spokojniej. Jakby pasażerowie zbierali siły przed Dakarem. Staszewski tańczył z Konopacką, Holendrzy byli zajęci sobą. Reszty tancerzy nie znał.

– Podczas kolacji był pan sensacją wieczoru. – Brwi religioznawcy wykonywały dziwny taniec.

– Miałem problem w kabinie i bałem się, że to coś poważniejszego. Nie wiedziałem, do kogo się zwrócić, i skorzystałem z tego, że był ten oficer...

– Mam nadzieję, że pomógł rozwiązać problem.

Abramowski przytaknął.

– Ja też mam pewien problem. – Corneliu wyglądał na szczerze zmartwionego. – Dobijam się do mojego sąsiada, pana Maroczego, a tam cisza. Nikt nie odpowiada. Ale odniosłem wrażenie, że ktoś tam w środku jest. Wie pan, co się z nim dzieje? Pytam, bo siedzicie przy jednym stoliku. Nawet, widziałem, żywo rozmawiacie... Właściwie: rozmawialiście, bo dzisiaj go nie było.

Abramowski pochylił się nad nim.

– Niech to pozostanie między nami – szepnął. – Pan Maroczy miał atak serca. Musiał zostać przeniesiony w inne miejsce. Jest pod dobrą opieką.

Rumun dotknął czoła i zamarł. Przypominał posąg. Sprawiał wrażenie lekko wstrząśniętego. Abramowski nie miał pewności, czy Corneliu mu uwierzył. Czy on sam dałby wiarę? Nie miało to teraz większego znaczenia.

– Maroczy wykaraska się z tego. Jestem pewien. – Poklepał religioznawcę po ramieniu i odszedł.

Było dość późno, gdy przemierzył korytarz i zapukał. Dwa, dwa, cztery razy. Wcześniej długo rozmyślał, jak powinien postąpić. Rozważał wszelkie za i przeciw. Wreszcie zdecydował. Zaryzykuje.

Chwilę trwało, zanim otworzyła. Przywitała go uśmiechem. Zaprosiła do środka. Wskazała głową łóżko. Juliusz cicho pochrapywał.

– Zaczytałam się – powiedziała cicho. – Kończę pewną powieść...

– Choromańskiego?

– Skąd pan wie? – niemal krzyknęła, zakryła usta palcami i spojrzała na śpiącego brata. Odwróciła się. – Przecież schowałam go do szuflady...

– Nieważne... – Abramowski się uśmiechnął. – Wyczytała pani coś ciekawego? Podeszła do biurka. Wyjęła książkę i zaczęła wertować.

– Zaraz... O, tutaj to jest. Niech pan posłucha. „Im lekkomyślniej traktuje mężczyzna miłość, tym łatwiej jej podlega, a potem nawet w niej się zatracą”. Proszę się ustosunkować. Co pan na to? Co podpowiada panu niemałe zapewne doświadczenie?

Każde z pytań wzmacniała filuternym uśmiechem. W jej oczach czały się iskierki.

– Co podpowiada mi doświadczenie? – powtórzył pytanie. Przez myśl przemknął mu Paryż. – Wolałaby pani nie wiedzieć. – Westchnął. – Doświadczenie podpowiada mi, że nie lubię rosyjskich arystokratów.

Cicho się roześmiała. zaproponował, żeby wyszli na pokład. Zgodziła się. Sama chciała to zaproponować. Szli, a on z każdym krokiem był bliższy decyzji. Stanęli przy barierce z dala od innych podróżnych. On zapatrzony przed siebie, ona w niebo.

– Kompletnie się na tym nie znam. Na gwiazdach – szepnęła. – Nie założył pan dziś do kolacji krawata – dopowiedziała tym samym szeptem.

Popatrzył na nią.

– Czasami bywam roztargniony.

– W pańskich kłamstwach nie ma żadnego uroku.

Poprawiła palcami włosy.

– Pani zna język niemiecki, prawda? – zapytał.

– Moja guwernantka była Niemką – potwierdziła. – Ściślej mówiąc: jedna z guwernantek.

Poprosił, żeby zaczekała na niego. Tym razem to on na chwilę pójdzie do kabiny. Otworzyła usta, ale on już był w drodze. Powrócił z notatnikiem w ręce.

– Nie wiem, czy to jest tak dobre jak Choromański, ale proszę mi przetłumaczyć. – Wskazał palcem wpis.

Zmrużyła oczy i przybliżyła do nich notes.

– „Dakar. Tych kilka dni i będzie po wszystkim. Ulga. Ogromna ulga”. – Spojrzała na niego. – Co to jest?

– To zapiski jednego z pasażerów. – Wyprostował się. – Mam do pani ogromną prośbę. – Zawiesił głos. – Proszę przejrzeć te wpisy. Nie trzeba wszystkich. Wystarczy te od lipca. Może od czerwca. Zrobi to pani dla mnie?

Milczała.

– To należy do Maroczego? A może lepiej powiedzieć: należało? Przebiegłam wzrokiem inny wpis i trafiłam na słowo „psychoanaliza” – wytłumaczyła. – Coś się stało, prawda? On... nie żyje?

Ważył w głowie odpowiedź.

– Skąd takie przypuszczenie? – zapytał po dłuższej chwili.

– Inaczej nie miałby pan tego notatnika. Poza tym naprawdę słabo pan kłamie. To, co pan mówił przy kolacji... nie brzmiało wiarygodnie. Przynajmniej dla mnie. Pańskie pytanie potwierdza, że mam rację. Więc nie żyje...

Wpatrywał się w czerń oceanu.

– Za kilka godzin jego ciało znajdzie się na dnie – rzekł w końcu. Odczekał, aż Nina ochłonie. – Nic więcej nie mogę powiedzieć. Zaklinam panią: pod żadnym pozorem proszę nikomu o tym nie mówić.

Minęło sporo czasu, zanim przetrawiła wszystko w sobie.

– Dziękuję, że jest pan ze mną szczery.

Obiecała mu, że przeczyta dziennik. Gdy został sam, wsłuchiwał się w szmer silnika. Czuł lekkie wibrowanie pod stopami. A może to było mrowienie w ciele? Nie miał co do tego pewności.

Kiedy leżał w łóżku, raz jeszcze naszyły go wątpliwości, czy zrobił dobrze, że zaufał tej niebezpiecznie inteligentnej dziewczynie.

ROZDZIAŁ 18

W nocy budził się co chwilę. Chciał wyjść na korytarz, zobaczyć, czy już po wszystkim, ale oparł się pokusie. O piątej rano był na pokładzie. Usłyszał krzyk morskich ptaków, które gromadką krążyły nad transatlantykiem, i zaskoczony uniósł głowę. Przez ostatnie dni oswoił się z widokiem pustki i oceanicznego ogromu, w którym jakby wygasło życie. Potem zmrużył oczy. Linia horyzontu wyglądała inaczej, nie była już jednostajnie pociągniętą kreską – załamywała się i wykrzywiała tam, gdzie zaczynał się ląd. Za kilka godzin będą w Dakarze. Kolejny tydzień i znajdą się w Rio. A później, ani się obejrzą, przybiją do celu.

Zastanawiał się, co powinien zrobić. Jak to rozegrać. Było dla niego oczywiste, że Maroczy miał się z kimś spotkać. Pytanie: gdzie? Czy udałby się do miasta, wszedł w jedną z nieznanых uliczek, ryzykując, że już stamtąd nie wróci? Tak by nie zrobił. Odbędzie się to inaczej. „Pasażer dostarczy książki na statek”. Jeśli to prawda, ten ktoś zjawi się na transatlantyku. Pasażer. Jeżeli w wiadomości nie tkwił jakiś haczyk, popłynie dalej wraz z nimi. Trzeba poprosić Kałużę o listę nowych podróżnych, zapewne niezbyt długą, a potem obstawić właściwy typ.

Rozmyślenia przerwał skrzyp desek. Staszewski szedł dziarskim krokiem i uśmiechał się od ucha do ucha. Przez ramię miał przewieszony ręcznik.

– Sto pompek – pochwalił się. – Tu, na pokładzie. Tylko jakaś drzazga mi się wbiła. – Pokazał mały palec. – Ale już ją usunąłem. Nie ma nic lepszego. Rześki poranek, ćwiczenia i wreszcie kawałek lądu. – Wskazał głową. – A nie tylko woda i woda. Wariacji można było dostać.

Usta mu się nie zamykały. Wyglądał tak, jakby wstąpiły w niego jakieś dodatkowe siły. Abramowski uznał, że nie musi się odzywać.

– Zawsze dbałem o formę. I panu radziłbym to samo. Ale raczej tu, na pokładzie, bo w sali gimnastycznej znów widziałem tego naszego księżula. – Skrzywił się. – Ćwiczył na wioślarzu. No i jeszcze jedno powiem. Ta dziewczyna, co to ją z panem kilka razy widziałem... Niezła sztuka. Zgrabniutka. Ładniutka. Chociaż wolę wyższe.

– Widziałem, jak państwo tańczycie – powiedział wreszcie Abramowski.

– Myślałem, że na tańcach się nie skończy. Że wszystkie lody zostaną przełamane. Rozumie pan, co mam na myśli. A tu nic z tego. – Rozłożył ręce. – Nie jest taka łatwa, na jaką wygląda. Nawet trochę zły byłem, nie mogłem spać... – Podszedł do Abramowskiego. – Chciałem wyjść w nocy na pokład, a tu niespodzianka. Na korytarzu załoga. Kilku marynarzy. I mówią, że nie można opuszczać kajuty...

– Dlaczego? – Abramowski udawał zaskoczonego. – Stało się coś?

– O to ich zapytałem. Powiedzieli, że prowadzą jakieś prace remontowe na statku i ze względów bezpieczeństwa trzeba zostać w kabinie. Ale, moim zdaniem, chodziło o coś innego. Nie jestem w ciemnię bity. Potem nasłuchiwałem. A słuch mam świetny. Jak Indianie. I rozległ się jakiś chlupot. Jestem pewien, że coś takiego słyszałem. Jakby łódź spuszczała albo jakieś inne cholerstwo. Tylko po co mieliby spuszczać łódź? A jak nie łódź, to co innego?

Mimo wczesnej pory na pomoście zrobiło się gwarno. Pasażerowie, jakby poddani zbiorowej hipnozie, wpatrywali się w linię brzegu, uśmiechali, mówili coś pod nosem do siebie. Wyglądali jak ludzie, którzy niespodziewanie otrzymali prezent.

Podczas śniadania natrafił na wzrok Kałuży. Oficer nieznacznie skinął głową. Zatem wszystko poszło zgodnie z planem. Gdy skończyli jeść, marynarz opowiedział o Dakarze. Postój miał trwać kilka godzin, sugerował, żeby nie zapuszczać się zbyt daleko. Raczej chodzić grupkami i nie dać się osaczyć miejscowym dzieciom. Uważać na wróżbitów, muzyków i portfele. Pamiątki kupować poza targowiskiem w porcie. Zdjęcia robić raczej dyskretnie, bo

miejscowi nie lubią, gdy kradnie się część ich duszy. A najlepiej po prostu zostać na statku i popatrzeć z pokładu. Nim skończył, znaczna część pasażerów opuściła salę, uznawszy te przestrogi za zwykłe gładzenie. Zawsze jest tak samo, dopóki coś się nie wydarzy. Abramowski został do końca, a kiedy wszyscy poszli, zamienił z oficerem kilka słów. Kałuża rozmawiał z intendentem i pouczył go, jak ma się zachować w razie jakichkolwiek pytań o Węgra.

Abramowski poszedł do pokoju Niny, zaproponował wspólne wyjście do miasta, jednak odmówiła. Uznała, że zostanie z Julem. I przejrzy dziennik Maroczego.

Port w Dakarze wydał mu się ogromny. O wiele większy od tego w Gdyni. Patrzył na gęstwinę masztów i łopocące bandery. Windy, którymi wwożono towary na drobnicowce, zgrzytały, przy brzegu kręciły się holowniki i barki, w oddali stał na kotwicy francuski transatlantyk. Syreny, ostrzegawcze dzwonki, ludzkie i ptasie krzyki tworzyły znajomą portową kakofonię. Na trapie niemal zderzył się z małym piratem. Tu, w Senegal, Frybergowie kończyli rejs. Życzył im szczęścia, podobnie jak oni jemu. Jeśli Tartakower widział tę scenę, z pewnością odetchnął z ulgą.

Gdy zszedł na ląd, chwilę stał bez ruchu, jakby chciał się upewnić, że ma grunt pod stopami. Wkrótce był już w wirze targowiska. Na płótnach i gazetach rozstawiono kubelki z rybami, po sąsiedzku ktoś inny zachwalał ozdoby wykonane z egzotycznych owoców. Dwaj żebracy wrzeszczeli na siebie w nieznanym języku i wygrażali kikutami. Mali chłopcy siedzieli w kucki, mierzyli wzrokiem turystów i najpewniej uznali, że Abramowski nie jest godzien uwagi.

Niespodziewanie port się skończył, zaczęły się zabudowania mieszkalne i ulice. W skwarowym powietrzu fruwały drobiny pyłu i kurzu, a ziarna piasku dostawały się do oczu. Prawie wszyscy biali mężczyźni, on wśród nich, ubrani byli w białe płócienne garnitury i kapelusze, które po chwili szarzały. Za plecami usłyszał klakson samochodu i gwałtownie odskoczył. Minęła go riksha. Wiozła Holendrów, których znał z sali dansingowej. Muł prowadzony przez czarnego mężczyznę wiozł bukłaki z wodą. Kobieta, cała owinięta białym płótnem, zdjęła z głowy potężny kosz i przystanęła, żeby odetchnąć. Policjant we francuskim mundurze skrył się w cieniu. Trudno było się zorientować, czy pełni służbę, czy tylko stoi jako żywy

pomnik władzy. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Abramowski znów wkroczył w ciąg zajęty przez handlarzy. W powietrzu unosiła się woń mięsa i cebuli, a kilkanaście kroków dalej wyczuł zapach olejku różanego. Skręcił w lewo, raz jeszcze w lewo i w prawo. Nagle, jak nożem uciął, skończyły się gliniane lepianki pokryte słomą, w ich miejsce wyrosły domy z białego kamienia, na ogół piętrowe, często z werandą albo podcieniami, o porządnym dachach wykonanych na europejską modłę. Czytał kiedyś, że po wojnie Senegal rósł w siłę, wykształciła się nawet miejscowa burżuazja, której wpływy sięgały Paryża. Odgonił hałastkę, która wreszcie się nim zainteresowała, i odpędził muchy sprzed twarzy. Podszedł do sklepu i przejrzał gazety. Najświeższa, francuska, była z piątku. Główny temat stanowiły rozmowy, które rząd Daladiera prowadził z Trzecią Rzeszą.

Sto metrów dalej ulica robiła się naprawdę szeroka, przypominała nieco paryski bulwar, wypełniał ją ciąg knajpek. Zdecydował się na jedną z nich. Stała w cieniu dwóch ogromnych palm, niemal wszystkie miejsca były zajęte i musiał wybrać stolik prawie przy ulicy. Z ulgą opadł na wiklinowy fotel i zamówił kawę. Kelnerzy nie spieszyli się, a ten, który go obsługiwał, mówił nienaganną francuszczyzną.

Zanurzył się w gazecie, ale już po chwili dał się ponieść wspomnieniom. Paryż. Przecież wszystko mogło potoczyć się inaczej. Wystarczyło tylko w inny sposób pokierować życiem. Nie wierzył w istnienie żadnych nadprzyrodzonych sił, w bóstwa i złośliwe demony, które z ludzi czynią przedmiot igraszek. Po prostu mógł wykonać inne posunięcia. Z rozmyślań wyrwał go dźwięk klaksonu i pisk kół. Samochód ruszył, a on spojrzał na drugą stronę ulicy, na kawiarnię naprzeciw. Przerzucił stronę w gazecie na wiadomości sportowe i kącik szachowy.

Nagle naprężył ciało. Popatrzył jeszcze raz przed siebie.

W zacięciu siedziało dwóch mężczyzn. Ten plecami do niego żywo gestykulował. Nawet z tej odległości było widać, że jest zdenerwowany. Coś tłumaczył i potrząsał głową, jakby dla podkreślenia wagi słów. A potem zaczął kaszleć i dźwięk ten niósł się, mimo harmidru, po całej ulicy. Atak minął, gdy

wypił szklanekę wody. W taki sposób kasłał tylko jeden człowiek, którego poznał całkiem niedawno.

Pedersen. Tyczkowaty Duńczyk o twarzy cierpiętника. Tym razem bez żony. Ale Abramowskiego interesował teraz drugi mężczyzna. Siedział w milczeniu i słuchał. I też popatrzył przed siebie. Abramowski odniósł wrażenie, że na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Tamten znów zwrócił wzrok na rozmówcę, mówił coś, a Pedersen wachlował się kapeluszem. Wydawał się teraz spokojniejszy.

Abramowski siedział jak zahipnotyzowany. Był pewien, że zna tego człowieka. I dałby wszystko, żeby tamten go teraz nie poznał.

Zanurzył wzrok w gazecie i patrzył na litery, które za każdym razem składały się w to samo słowo.

Delegat.

Właśnie tak go nazywali.

Tkwił w fotelu jak odrętwiały. Rozluźnił się dopiero, gdy tamci się pożegnali. Pedersen ruszył w stronę portu, ten drugi w przeciwną.

A później, gdy Abramowski dotarł na statek i położył się na sofie, powróciły nie tak odległe przecież wspomnienia. Znów Paryż. Od poprzedniego pobytu minęło dziesięć lat. Teraz pił już o wiele mniej. A potem, niesiony falą entuzjazmu, za namową poznanych Ślązaków zaciągnął się do międzynarodowych brygad, które bronić będą hiszpańskiej republiki przed tym faszystą Franco.

Brał udział w bitwie o Madryt. Wcielony do dąbrowszczaków, walczył pod Guadalajarą. Miał w głowie obrazy, które nie układały się w żaden sensowny ciąg. Głównie zapamiętał noce. W Madrycie panowały nieprzeniknione ciemności. Latarnie nie paliły się od miesięcy. Nigdy nie było pewności, na kogo się natrafi w ruinach. Na swego czy obcego. Na jednej ulicy bywało różnie. Każdy szmer się potęgował w ciemnościach, niektórzy tego nie wytrzymywali i wariowali. Wszystko miało swój dźwięk. Karabiny klekotały, moździerze wydawały metaliczny odgłos, nurkujące samoloty wyły jak oszalałe. W nocy strzelało się na

ślepo. Najskuteczniejszy w walkach ulicznych okazywał się dynamit. A jeszcze lepiej sprawdzały się granaty. Wciąż czuł ich zapach i chropowatą fakturę znaczoną głębokimi nacięciami. Na granatach i ładunkach wybuchowych znał się jak mało kto i to jemu wkrótce zaczęto powierzać najtrudniejsze zadania. Wiedza, którą nabył w piwnicy apteki i utrwalił podczas wojny, nie wywietrzała. Wybuchy rozrywały ludzi na strzępy i nocą chodziło się po ciałach zabitych. Była to też pora swoistej umowy – obie strony przenosiły trupy, układały na kupkę, a potem podpalały benzyną. Widmo zarazy było straszniejsze dla nich od spotkania z budzącymi grozę Maurami. Czasem prowadzono słowne pojedynki. I jedni, i drudzy wrzeszczeli do siebie z barykad, posługując się megafonami. Ten, kto milkł pierwszy, przegrywał. On sam szybko nauczył się niezbędnych słów, głównie przekleństw, i sprawdzał się w takich bojach.

No pasarán.

Piękne hasło. Które okazuje się mrzonką, gdy gwinty karabinów przeżarte są rdzą, a niesprawną broń trzeba czyścić oliwą z oliwek lub słoniną. Nie brakło papierosów i wina, ale zapalek i świec było jak na lekarstwo. Aby rozpalić ognisko, posługiwali się prochem wydobytym z łuski i hubką. Rozpoczęły się bezładne odwroty, żołnierze Republiki wyglądali jak żywe trupy, ci Ślązacy zginęli jeszcze w pierwszym roku wojny. Sam skończył z raną na twarzy. Jakby tego było mało, w ich szeregach zaczęli pojawiać się dziwni ludzie. Agitatorzy, prowokatorzy, szpiedzy i zwykli donosiciele. Wychwalali Sowietów i komunizm, chociaż on i wielu innych, którzy byli po stronie Republiki, miało Stalina za zwykłego zbrodniarza.

O jednym takim propagandyście krążyły legendy. Oficerowie, z którymi się spotykał, znikali. Szeregowych żołnierzy odnajdowano z kulą w głowie. Mówiono o likwidowaniu zdrajców we własnych szeregach. Sam widział go dwa albo trzy razy. Nigdy nie rozmawiali. Tamten niespodziewanie się pojawił i równie nagle pewnego dnia zniknął. Nikt nie wiedział, jak się nazywa, ale dla wszystkich było jasne, że wysłała go Moskwa.

Nazwali go Delegatem.

I to ten mężczyzna siedział przy kawiarnianym stoliku naprzeciw Pedersena i słuchał jego tłumaczeń.

ROZDZIAŁ 19

W barze czekała koperta. Kałuża zostawił mu listę nowych pasażerów. Tak jak się spodziewał, spis nie był zbyt długi. Szybko przebiegł go wzrokiem. Z kręgu podejrzeń od razu wyeliminował dwie rodziny. Zostało trzech mężczyzn. Belg, Francuz i Anglik. Wedle informacji, które widniały na kartce, jeden był profesorem biologii, drugi dziennikarzem, trzeci zawodowym myśliwym. Wszyscy w podobnym wieku, koło czterdziestki. Uznał, że przyjrzy się im podczas obiadu. Żadna samotna kobieta nie weszła na pokład w Dakarze.

Zamówił kawę, drugą tego dnia, poszedł na werandę i usiadł samotnie przy wielkiej szybie. Zapatrzył się na ocean. Miał o czym myśleć. Postanowił raz jeszcze uporządkować fakty. Jeśli teraz niczego to nie przyniesie, podejmie kolejną próbę.

Zatem po kolei. Przed oczami miał pokój Marocznego, bałagan na podłodze i opróżnioną skrytkę w bucie. Szachowego piona w oczodole. Kulkę papieru zaciśniętą w dłoni.

Trzeba połapać się w tym rozgardiaszu. Znaleźć główny motyw. Oddzielić ziarna od plew. Albo spojrzeć na wszystko oczami Węgra. Spróbował tak zrobić.

Rejs przebiega spokojnie. Psychoanalityk czaruje swoim towarzystwem, wygłasza dziwaczny, to prawda, wykład, ale nie wydarza się nic nadzwyczajnego. O niczym takim nie ma mowy także w dzienniku. A potem następuje nagła zmiana nastroju. Węgier jakby posepnieje, staje się nerwowy. Abramowski przypomniał sobie to, co mu opowiedziała Nina. Podczas turnieju szachowego Maroczy wdaje się w kłótnię z sąsiadem zza ściany. Następnie odbywa dość tajemniczą rozmowę w barze. Z kim? W tej sprawie Abramowski miał swoje przypuszczenia. W piątek

po śniadaniu wysyła do Dakaru wiadomość. „Potwierdzam termin wykładu. Pilnie potrzebuję materiałów”. To nie miało sensu. Niemożliwe, żeby w Dakarze miał coś wygłaszać. Było na to zbyt mało czasu. W dodatku uznaje sprawę za pilną. Dlaczego? Mogło to oznaczać właściwie jedno. Z jakichś powodów poczuł się zagrożony i wszczął alarm. Albo nie. To też się nie zgadzało. Gdyby tak było, miałyby przy sobie broń i z pewnością nie dały się zaskoczyć. Tymczasem parabellum spoczywało na dnie szuflady, gdy wieczorem przyszedł zabójca.

Pytanie, kto nim był. Odpowiedź narzucała się sama, uzyskał ją rano, w Dakarze, przy kawiarnianym stoliku. Oczywiście Pedersen mógł być sowieckim agentem i spotkać się z Delegatem w zupełnie innej sprawie, ale Abramowski nie wierzył w taki zbieg okoliczności. Tamta rozmowa przebiegała jakoś dziwnie. Flegmatyczny Duńczyk wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Co mogło go aż tak wyprowadzić z równowagi?

Zaraz.

Mniej ważne wydało mu się teraz to, jak oni ze sobą rozmawiali. Istotniejsze było to, jak się rozstali. Pedersen nie miał niczego ze sobą. Tego był pewien. A Delegat? On także odszedł z pustymi rękami. Żadnej dyplomarki, aktówki, walizeczki. Niczego. Przecież gdyby otrzymał jakieś ważne dokumenty, nie wsunąłby ich, ot tak, do kieszeni. One musiałyby być w czymś schowane.

Abramowski pstryknął palcami. Czuł, że jest bliżej niż dalej.

Delegat nic ze sobą nie miał, bo niczego nie dostał. To wyjaśniałoby nerwowość Pedersena. Duńczyk niczego nie znalazł w pokoju Maroczego i dlatego się gęsto tłumaczył. Znalazł skrytkę w bucie, ale ta była już pusta. Czyżby jego też ktoś uprzedził?

Kto?

– Pan taki posepny, w wodę zapatrzony – usłyszał znajomy głos. – A reszta ludzkości radosna po tym Dakarze niebywale, klaskaniem od uciech obrzękła, obrzydliwie wniebowzięta i szczęściem utuczona jak prosięta jakieś.

Gombrowicz wymachiwał papierosem. Bez pytania usiadł w fotelu naprzeciwko.

– Nie pokazywałem się ostatnio, bo nie najlepiej się czułem. Jakieś dzwonięcie w uchu, wzdęcia, gazy, ale mówiłem to już chyba panu, że jestem wrażliwy na wodę, a i jedzenie na statku nie bardzo mi służy. Więc tak leżałem, cierpiałem, wygrażałem ludzkości, wymyślałem i wymyśliłem. Z pewnością jest pan ciekaw co.

– Bardzo.

– Powieść. Bardzo nowatorską. – Gombrowicz powiedział to z dumą. – Awangardową, jak to się dziś mówi. Więc mamy tekst. Wie pan, zdanie ciągnie się za zdaniem, bla, bla, bla. Ale na te znaki, innym krojem pisma, nałożona jest kolejna opowieść. Taki palimpsest, który wymyśliłem, gdy grałem partyjkę z tym wstrętnym Najdorfem. A nad tym wszystkim umieszczone są jeszcze pojedyncze wielkie litery, najcieniej pociągnięte, które powtarzają się na każdej stronie i układają w jedno i to samo słowo. Chce pan wiedzieć jakie?

– To chyba bez znaczenia, czego ja chcę – odpowiedział zrezygnowany.

– GÓWNO. – Gombrowicz klasnął. – Doskonale, prawda?

– Dlaczego akurat „gówno”?

Pisarz popatrzył na Abramowskiego tak, jak zwykle się spoglądać na idiotę.

– Toż to kwintesencja naszości naszej! Gównem oblepione gumno, przepraszam za tandetny rym. Fekalia wyzierające z mieszczchańskiego kredensu. Ekskrementy

w krochmalonych obrusach. Szlacheckie herby zdobione kałem. Stuła obesrana. Polak Polakowi gównem!

Ostatnie zdanie wykrzyknął, jakby był na wiecu. Kilkoro pasażerów przypatrywało się mu ciekawie.

– Wzbudzi pan niemałe kontrowersje. Ktoś to panu wyda?

Gombrowicz podskoczył.

– Spodziewałem się tego pytania. To także mam już przemyślane. Zrobię zbiórkę.

– Zbiórkę?

– Tak. Zrzutkę. Zacznę tu, na statku. Powiem, że piszę nowy *Potop*. Bo tak będzie w istocie. Potop sam wie pan czego... Skoro naród kupił marszałkowi chałupę, może mi sfinansować książkę. – Poderwał się gwałtownie, uklonił i nawet przeprosił, że zajął czas.

On jest jak tajfun, pomyślał Abramowski. Zmiata wszystko, co stoi mu na drodze. Kasuje myśli z głowy. Próbował wrócić do rozmyślań, do Maroczego, Pedersena i Delegata, ale nie był w stanie. Uznał, że zdecydowanie za wszelką cenę musi unikać towarzystwa pisarza.

W jednym Gombrowicz się nie mylił. Podróżni wciąż żyli Dakarem. Podczas obiadu nawet ci najbardziej apatyczni sprawiali wrażenie ożywionych. Jedna z pasażerek przyniosła zakupioną afrykańską maskę i pokazała współbiesiadnikom. Książkowi Piotr Marek, siedzący w rogu stołu, przeżegnał się trwożliwie. Inna dama zasiadła do obiadu w nowych, egzotycznych ozdobach. Ktoś pochwalił się zatrutą strzałką, którą wypluwano, żeby uśmiercić wroga.

– Akurat w to nie bardzo bym wierzył. – Głos męczyzny niósł się po całej sali. – To nie są prawdziwe strzały. Tamte poddaje się magicznym praktykom i żaden tubylec by ich nie sprzedał. Bałby się, że spadnie na niego klątwa za zdradzanie odwiecznych tajemnic i że nie przeżyje kolejnego dnia. To tylko kopia, ale, rzeczywiście, niezwykle udana.

Mężczyzna był jednym z nowych podróżnych. Jako jedyny na sali nie miał marynarki. Ubrany w koszulę khaki, z ogorzałą twarzą i kilkudniowym zarostem wyglądał tak, jakby za chwilę miał udać się wprost do dżungli. Od razu stał się duszą towarzystwa i zasypywał biesiadników anegdotami. A więc tak prezentuje się ten myśliwy. Mister Greene. Abramowski nie zapamiętał imienia.

Nina opowiadała o ciotce. Zdrowie, owszem, się poprawia, niewykluczone, że przed końcem rejsu dołączy do stołu. Luscia dwa razy obejrzała się za siebie.

W stronę, z której dochodził mocny męski głos. Wolica i Terlecki siedzieli nachmurzeni. O Maroczym jakby wszyscy zapomnieli. Nikt o niego nie zapytał, najwyraźniej uznano, że sprawy muszą toczyć się własnym biegiem.

Abramowski rzucił okiem na pozostałych nowo przybyłych. Belg był łyсы, w okrągłych okularach, grubawy. Mrugał oczami i kojarzył się z kretem. Nazywał się Klaas van der Vluppen i był biologiem. Płynął na światowy kongres entomologów do Urugwaju. Czekał go tydzień rozmów o najdziwniejszych owadach. Maurice Blanc, najcichszy spośród nowych, poruszał się na wózku. Towarzyszył mu asystent. Nazwiska pomagiera nie było na liście, którą Abramowski otrzymał od Kałuży. Najpewniej nastąpiło jakieś niedopatrzenie.

Zastanawiał się, czy ktoś wysłałby na statek agenta inwalidę. Dlaczego nie. Być może posłano z misją tego niepozornego asystenta, ten drugi zaś był tylko przykrywką. A van der Vluppen? Nikt nie dałby za niego złamanego grosza. Byłby idealny. Mister Greene najbardziej rzucał się w oczy. I dlatego nie budził podejrzeń.

Po obiedzie odprowadził Ninę do pokoju. Powiedziała, że spędzi popołudnie i wieczór nad tłumaczeniem. I że dziennik Maroczego jest – zawahała się, gdy to mówiła – dość specyficzny. Nie chciała wyjawić nic więcej. Abramowski uznał, że nie powinien na razie o nic dopytywać.

W palarni natknął się na Rumuna.

– Wie pan, co słychać u naszego drogiego Maroczego? Mam nadzieję, że czuje się lepiej.

Był przygotowany na to pytanie. Oznajmił, że nastąpiła pewna poprawa. Na tyle duża, że lekarz, po usilnych namowach i w drodze absolutnego wyjątku, pozwolił odwiedzić chorego. Kolejne wizyty są na razie surowo zabronione. Nie wolno narażać pacjenta na zbyt silne emocje.

Corneliu uścisnął mu rękę i podziękował kordialnie.

– Wspaniałe wiadomości. Bardzo się o niego martwiłem. – Wyjął papierosnicę i zaproponował Abramowskiemu camela. – Swoją drogą, miałem dziś ciekawą

przygodę.

– Tak? Był pan w porcie?

Rumun się roześmiał.

– Nie. W kajucie. Leżę, odpoczywam, rozlega się pukanie do drzwi. Podchodzę i otwieram, a tam stoi nieznajomy i pyta, czy nazywam się Maroczy. Wie pan, kto to był?

– Nie mam pojęcia.

– Ten nowy. Jest, zdaje się, Anglikiem. A z pewnością myśliwym. Trudno go nie zauważyć i nie usłyszeć. – Skrzywił się. – Ciekawe, czy w tej dżungli też tak hałasuje.

– Pomylił pokoje? Podczas tego rejsu pewna dama też się pomyliła. Akurat stałem nagi...

Corneliu się roześmiał.

– Szczęśliwie leżałem w ubraniu. A tamten szukał naszego przyjaciela Maroczego.

– I co mu pan powiedział? – Abramowski czuł, że jego mięśnie są napięte jak postronki.

Rumun wzruszył ramionami.

– Nic specjalnego. Że pomylił kabiny. Że kajuta Maroczego jest obok. Co mu miałem mówić więcej? Stropił się, przeprosił za pomyłkę i poszedł. Słyszałem, jak puka, ale wiadomo... Mógł sobie stukać.

Abramowski najchętniej odetchnąłby z ulgą. Wydmuchnął dym. Zgasił niedopalonego papierosa. Wiedział już, że powinien się spieszyć. Musiał jednak dokończyć rozmowę.

– Czy ten Anglik coś ze sobą miał?

– A co miałby mieć? – zdziwił się Corneliu. – Maczetę albo sztucer? Sądząc po tym, co opowiada na prawo i lewo, to by do niego pasowało.

Na twarzy Abramowskiego pojawił się wymuszony uśmiech.

– Nie myślałem o sztucerze. Raczej o książkach.

– Książkach? – Religioznawca wyglądał na szczerze zaskoczonego.

– Tak. Książkach – powtórzył. – Gdy odwiedziłem Maroczego, powiedział mi, że ktoś w Dakarze miał mu dostarczyć książki. Żeby mógł się przygotować do wykładu. I że to dla niego ważne.

Mówił wolno, żeby każde słowo dotarło do rozmówcy. I żeby miał czas ocenić jego reakcję.

Kąciki ust Rumuna się uniosły. Pokręcił głową.

– Ten Anglik nie miał niczego ze sobą. Maroczy mówił panu o wykładzie? Nic o tym nie słyszałem... Poza tym ten człowiek nie wygląda na takiego, który czyta książki.

Pożegnali się i Abramowski przeszedł przez hall. Potem przyspieszył kroku. Musiał zobaczyć się z Kałużą. A później z jeszcze jednym człowiekiem, którego, chciał nie chciał, należało wtajemniczyć w sprawę. I to jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 20

Odbył z Kałużą dłuższą naradę, poprosił o klucz do kabiny Maroczego, a potem obaj udali się do lekarza. Doktor nazywał się Adamski, słuchał, co mówi oficer, i coraz głośniejszym posapywaniem dawał wyraz swej dezaprobaty.

– Powiniennem wiedzieć od razu – mruzczał. – I wypisać akt zgonu. Papiery muszą się zgadzać. A teraz?

– Teraz nic się nie zmieniło – odezwał się Abramowski. Został przedstawiony przez Kałużę jako okrętowy detektyw. – Od czego ma pan wyobraźnię?

– Należałoby powiadomić ambasadę i krewnych...

– Byłby z tym kłopot. Pan Maroczy był jak Bóg. Występował w trzech osobach. Co najmniej trzech. Nie do końca wiadomo, kogo zawiadomić.

– Nie rozumiem...

Powiedzieli mu o trzech paszportach. Wyjaśnili, że informacja o zgonie Maroczego mogłaby wywołać poruszenie w kilku stolicach, a być może też nieoczekiwane reperkusje. Tych zaś, ze względu na dobro pasażerów, lepiej uniknąć. Adamski nie przestawał sapać.

– Jeszcze jedno – rzekł Abramowski. – Macie tu, oczywiście, salę dla ciężkich przypadków.

Doktor potwierdził. Na statku był taki pokój.

– Rozumiem, że nie ma pan teraz pacjentów? Proszę o klucz.

Adamski się zawahał.

– Proszę o klucz do tego pokoju – Abramowski powtórzył kategorycznym tonem, wyciągając rękę. – Gdyby ktoś pytał o Maroczego, proszę mówić, że jego

stan jest ciężki. Że dziś go nie można odwiedzić. Że zapewne będzie to możliwe najwcześniej jutro. Oraz, rzecz jasna, proszę mi o takich odwiedzinach powiedzieć. Natychmiast – dodał z naciskiem.

Podczas kolacji nie działo się nic niezwykłego. Wolica zachwalał sandacza w galarecie. Luscia zerknęła za siebie, a sekretarz ponuro wpatrywał się w talerz i bez przekonania dziobał eskalopki z indyka. Nina przyszła lekko spóźniona. Zapytała, czy wiadomo coś nowego o stanie zdrowia pana Maroczego. Abramowski bezradnie rozłożył ręce.

Przeszedł się po sali tam i z powrotem. Dwa nowe na statku małżeństwa stołowały się w sąsiedztwie Pedersenów. Duńczyk starannie wycierał usta serwetką i nawet nie spojrzął w stronę Abramowskiego. Mister Greene, wciąż w koszuli khaki, opowiadał o polowaniu na azjatyckie tygrysy, wywołując okrzyki już to zdumienia, już to podziwu. Także belgijski profesor znalazł wdzięcznych słuchaczy i perorował, zdaje się, o owadach, bo niby o czym innym miałby mówić.

Gdy skończyli, Abramowski odprowadził Ninę do pokoju. Pomyślał, że jeszcze chwila i stanie się to tradycją. Umówili się na następny dzień. Stojąc już w progu, powiedziała, że dziennik Maroczego jest jednak więcej niż specyficzny, jak to wcześniej ujęła. Zapiski Węgry nazwała teraz niezwykłymi. Nigdy czegoś podobnego nie czytała. Czy jest lepszy od Choromańskiego? Uśmiechnęła się tylko, przeprosiła go i znikła za drzwiami.

Poszedł do siebie, zdjął krawat i zmienił koszulę. Rzucił okiem na zawiniątko po Maroczym. Przez moment kusilo go, żeby je przejrzeć, ale uznał, że może z tym poczekać. Zresztą o czym tu mówić: skrytka w bucie została otwarta, jej zawartość zniknęła i, z każdą godziną nabierał pewności, nie trafiła w ręce Pedersena.

Impreza taneczna jeszcze się nie rozpoczęła, za to w barze panował spory ruch. Usłyszał donośny męski głos i spojrzął w bok. Stał jak wryty. Przy stoliku siedział mister Greene. W towarzystwie Lusi. Dopiero teraz przyjrzał się Anglikowi uważniej. Fizjonomia, którą można by określić zawadiacką. Idealne rysy twarzy upodobały go do Igo Syma, a bruzda przecinająca czoło nadawała rys zdecydowania i skojarzyła mu się z innym filmowym amantem, Franciszkiem

Brodniewiczem. Oboje sęczyli drinki. W tej scenie on był Janem Winklerem, a ona prokurator Alicją Horn. Na jego koszuli, w okolicy pach, pojawiły się olbrzymie koła potu, w które Lusia wpatrywała się z zachwytem. Przy stoliku siedział ktoś jeszcze, ale wyglądało to tak, jakby nikogo więcej z nimi nie było. Lusia siedziała odwrócona plecami do Terleckiego. Sekretarz był skulony bardziej niż zwykle. Przypominał nieistotnego robaka, który niebawem zostanie rozdeptany wielkim myśliwskim butem. Wyglądał tak mizernie, że wzbudził w Abramowskim uczucia, o które ten by się nie posądzał. Rozejrzał się za Wolica, ale nafciarza, tak jak przypuszczał zresztą, nigdzie w pobliżu nie było.

Zamówił piwo, wypił szybko dwa łyki i podszedł do stolika, przy którym brylował Klaas van der Vluppen. Belg siedział z nogą założoną na nogę, a jego okrągła twarz promieniała. Cztery kobiety, które Abramowski widywał tylko przelotnie, chłonęły jego słowa.

– Więc, drogie panie, gdy rozchodzi się wieść, że zajmuję się owadami, prędzej czy później musi pojawić się temat pluskwiaków. Albo rozmowa musi zejść na modliszki. – Zwrócił się w stronę jednej ze słuchaczek. – Pyta pani, dlaczego modliszka zjada partnerowi tylko głowę. – Uśmiechnął się. – Oczywiście tu nie chodzi o żaden akt zemsty lub coś podobnego. Ona potrzebuje białka. A dlaczego zjada tylko głowę? Żeby nie tracić energii na niepotrzebną, że tak powiem, konsumpcję. – Zatarł ręce. – Och, w ogóle moglibyśmy uczyć się od owadów. Na przykład taki *Lucanus cervus*. Piękny chrząszcz z imponującymi rogami. Wiecie, panie, do czego mu te rogi służą? Przytrzymuje nimi samicę podczas stosunku. A także... A także po stosunku. Można rzec, że kontroluje ją w ten sposób. Aby nie zainteresował się nią inny samiec. – Powiódł wzrokiem po zebranych, a upewniwszy się, że jego słowa wywarły spodziewane wrażenie, mówił dalej: – Albo weźmy takiego chrząszcza *Scirtes haemisphaericus*. Ten, otóż, nie ma członka...

– Więc jak? – wyrwało się jednej ze słuchaczek.

– W tym przypadku dochodzi do tak zwanej kopulacji inwertywnej. – Profesor poprawił okulary. – Mam nadzieję, że to pań nie gorszy. Chętnie rozwinę temat...

Abramowski nie słuchał dalszego wywodu. Pomyślał o Lusi, biednym Terleckim i Angliku. O modliszce i o chrząszczu, który kontroluje partnerkę rogami.

Dokończył piwo i zrobił obchód po werandach oraz palarni. W sali dansingowej natknął się na Sama. Zespół miał zaraz zaczynać. Pianista przytrzymał go za łokieć. Opowiedział, że przyszedł dziś do niego Wolica. Chce się nauczyć *Moonlight Serenade*. Specjalnie dla żony. W ogóle to bardzo miły człowiek. Oczywiście wszystko to mówi w tajemnicy. Cicho sza. Abramowski przyrzekł mu, że będzie milczał jak grób.

Przespacerował się tu i tam, wreszcie udał się na pokład. Noc była parna, a niebo rozświetlone gwiazdami. Postanowił się przejść w stronę rufy i zobaczył ją pośrodku promenady.

Stała samotnie.

Rozejrzał się.

Ani śladu po Terleckim. Ani po Angliku.

Podszedł do niej.

– Pierwszy raz tu panią widzę – powiedział po chwili.

Patrzyła przed siebie.

– Pierwszy raz mam powód, żeby tutaj być. – Odwróciła się gwałtownie. Stała teraz do niego bokiem. Łokciem wsparła się na poręcz. – Ten Anglik... Opowiadał, jak w Bengalu przez cztery dni czatował na tygrysa ludojada.

– Ja bym się do tego nie nadawał. Umarłbym ze strachu. – Chciał, żeby jego głos brzmiał obojętnie.

– A wcześniej wróżył mu czarownik. Z wnętrzości kury. Wybrał mu idealne miejsce, w którym powinien się zacząć – opowiadała z przejęciem.

– W Gorlicach chyba nie ma takich tygrysów, prawda?

– W Gorlicach nie ma nic. – Jej głos stał się nagle lodowaty. – Nic oprócz przerażającej nudy. Nudnych obiadów, podczas których wiadomo, kto co powie. Drobnych interesików. Krzywych uśmiechów i obgadywania za plecami.

Sflaczałych mężczyzn i nieciekawych kobiet. Tępych moralistów. Po prostu nic. Żadnych wyższych celów i aspiracji. Żadnego dreszczu emocji. Tu – wskazała ręką na stojące nieopodal wiadro – jest więcej życia. A tam? Jakby ktoś za życia zamknął pana w trumnie. Gardzę takim światem. Nienawidzę go.

Podczas całego rejsu nie wypowiedziała tylu słów co teraz. Jakby nagle coś w niej pękło. Albo towarzystwo tego Anglika i wypity drink rozsznurowały jej usta.

Abramowski pokiwał głową. Na swój sposób był w stanie ją zrozumieć. Była jeszcze jedną zagubioną na tej planecie istotą, która wykonała w życiu niewłaściwe ruchy. A teraz planowała zrobić kolejne.

– I z braku tych emocji postanowiła pani sama zapolować na grubego zwierza?

– Nie rozumiem...

Zbliżył się do niej. Czuł na twarzy ciepły oddech i woń alkoholu, ale nie cofnęła się.

– Naprawdę proszę uważać. Takie polowania bywają bardzo ryzykowne. I często zdarza się tak, że to myśliwy staje się ofiarą.

A jednak coś rozumiała. Widział, jak drżą kąci jej ust. Chciała mu odpowiedzieć, ale powstrzymała się. Jej oczy się zwężyły. A potem wyminęła go, tak jakby był tylko powietrzem lub, co gorsza, kolejnym nudziarzem, i odeszła bez słowa.

Wrócił na dół, powłóczył się jeszcze i poszedł do kajuty. Następnie zrobił to, co zaplanował wcześniej.

Ktoś powinien szukać Marozego. Mister Greene albo ktoś inny. I z pewnością był już mocno zaniepokojony nieobecnością Węgra. Co ktoś taki mógłby zrobić? Uznałby, że dostanie się w nocy do jego pokoju i sprawdzi, co się dzieje. Dlatego Abramowski potrzebował klucza i wziął go od Kałuży. Tę noc spędzi w kabinie ofiary. I będzie czyhał do rana na swojego tygrysa.

Gdy położył się na łóżku, w którym do niedawna sypiał Węgier, poczuł się nieswojo. Po pewnym czasie zmieszanie przemieniło się w obojętność. Później

przysnął.

Obudził go chrobot.

Ktoś grzebał w zamku.

Podniósł się tak, by nie wywołać jęku sprężyn. Podeszedł do biurka.

Nasłuchiwał.

Za drzwiami panowała cisza. Był już gotów pomyśleć, że chrobot tylko mu się przyśnił, gdy znów usłyszał skrobanie. Nie, to nie było w drzwiach, nikt przy nich nie majstrował, ale odgłos był wyraźny.

Podkradł się do wyjścia najciszej jak się dało. Przekręcił klucz w zamku i szarpnął za klamkę.

Skierowana była na niego owalna twarz w okrągłych okularach. Profesor Klaas van der Vluppen klęczał i podpierał się rękami. Obaj patrzyli na siebie tak, jakby zobaczyli przed sobą zjawę.

– Co pan tu robi? – wydusił Abramowski.

– Owady. W takich dywanach gnieźdzą się najlepsze okazy. – Profesor wciąż był na kolanach. Przed nim leżało drewniane pudełko. – W Dakarze mogło się pojawić coś ciekawego. To port, ludzie z całego świata tam krążą. Zawsze gdy podróżuję, szukam nowości. – W jego głosie pobrzmiwał ton usprawiedliwienia. – W dywanach, lampach, pod listwami podłogowymi. Wszędzie. Najchętniej robię to nocą, żeby nie budzić sensacji. – Sapnął. – Mam nadzieję, że pana nie obudziłem. Jeśli tak, bardzo przepraszam. – Z zadartą głową patrzył na Abramowskiego. – Mam do pana prośbę – powiedział w końcu.

– Jaką?

– Czy mógłby pan wziąć lufę tego pistoletu przed moją głowę? – Wskazał palcem na broń, którą trzymał Abramowski. – Będę czuł się znacznie pewniej.

rozdział 21

Gdyby inni podróżni zobaczyli tych dwóch, klęczącego van der Vluppena i Abramowskiego z pistoletem, staliby się oni sensacją wieczoru. Ściślej: jednym

z dwóch przebojów, ten drugi bowiem zdarzył się nocą w barze, przy karcianym stoliku.

Gdy Abramowski przyszedł na śniadanie, od razu dostrzegł, że w sali panuje atmosfera inna niż zwykle. Mówiono szeptem, nawet szczęk sztućców tego ranka był cichszy, angielski myśliwy milczał jakby nieco urażony, a spojrzenia wszystkich od czasu do czasu kierowały się w stronę stolika, przy którym siedział Cornel Corneliu.

– Słyszał pan już? – zapytał Wolica, nim Abramowski zdążył usiąść.

Pokręcił głową.

– Wczoraj wieczorem zdemaskowano oszustów na statku. Przy grze w karty.

– Co pan powie? – Abramowski nałożył na talerz dwa płyty wędliny i trochę warzyw.

– Otóż właśnie. Bardzo żałuję, że położyłem się wcześniej spać i tego nie widziałem. Tych dwóch nowych, Blanc na wózku inwalidzkim i jego asystent, to rasowi oszuści! Nigdy nie lubiłem Francuzów. A ten Blanc podawał się za dziennikarza, pisarza czy kogoś takiego. Co za historia!

Abramowski przełknął kęs.

– Nigdy nie należy wierzyć pisarzom.

– I nie uwierzy pan, kto ich zdemaskował. – Zapał nie opuszczał Wolicy. – Ten Rumun. Corneliu. Że też takie rzeczy zdarzają się na porządnym statku w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. Nie do wiary. Prawda, Kruszyńko? – zwrócił się do żony.

Lusia zamknęła oczy. Być może na potwierdzenie tych słów. Albo z innego powodu.

Nie tylko takie rzeczy się zdarzają, pomyślał Abramowski. Niestety.

Dopał Cornela Corneliu po śniadaniu, na werandzie, gdy Rumun, kończąc kawę, udzielał czegoś w rodzaju audiencji. Co chwila ktoś do niego podchodził, przeproszał, że przeszkadza, gratulował zdemaskowania groźnych przestępców,

wyrażał podziw. Zjawił się sam Tartakower, podziękował za pomoc i zaprosił religioznawcę na koniak.

Gdy już wszyscy poszli, Abramowski przysiadł się do stolika.

– Widziałem się z doktorem. Powiedział, że z Maroczym jest nieco lepiej.

Brwi Rumuna uniosły się.

– Czyli będzie można go odwiedzić? Gryzą mnie wyrzuty sumienia. Ostatni raz, gdy się widzieliśmy, rozstaliśmy się w gniewie.

– Tak?

– To było przy tej niefortunnej partii szachów. Niepotrzebnie dałem się na nią namówić. Słabo gram, a Maroczy zarzucał mi, że dotykam jednych figur, a ruszam się innymi. A ja je tylko poprawiałem, bo lubię, jak równo stoją. W ogóle był wtedy jak beczka prochu i byle co wyprowadzało go z równowagi. Unosił się zupełnie bez powodu.

– Zapewne będzie mógł go pan wkrótce zobaczyć. – Abramowski gestem przywołał kelnera i zamówił kawę. – Tylko proszę nie zabierać wtedy szachownicy. – Postanowił zmienić temat. – Chodzą słuchy, że z pana prawdziwy Herkules Poirot. Co właściwie się wczoraj stało?

Corneliu machnął ręką, jakby nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Nie dał się jednak dwa razy prosić i chętnie opowiedział o tym, co zaszło. W nocy przypatrywał się partyjce pokera. Sam nie gra, ale lubi popatrzeć. Wśród graczy pojawił się ten nowy. Blanc. Razem z asystentem. Sumka na stole rosła, Blanc początkowo przegrywał, ale potem karta mu się odwróciła. Ten szachista, Tartakower, był już bardzo do tyłu, inni gracze też.

– Widzi pan, ten asystent pomagał Blancowi w rozdaniach, nie ma w tym nic szczególnego, gdy jeden z graczy jest niepełnosprawny – tłumaczył. – Zaintrygował mnie jednak pokaźny sygnet na jego palcu. Gdyby to Blanc nosił coś takiego, pewnie nie zwróciłbym uwagi. A poza tym ten pomagier chwycił rączki wózka w taki dziwny sposób... Jakby przekazywał jakieś sygnały. Później obejrzałem ten wózek dokładniej...

– Jak to? – zdziwił się Abramowski.

– A tak. Bo gdy nabrałem pewności, krzyknąłem na cały głos, że jest pożar na statku. Mało kto w takiej sytuacji zachowuje zimną krew. Przy stole wybuchła panika, potem musiałem przeproszać, ale ostatecznie cel uświęca środki. Ten Blanc też nie wytrzymał. Wie pan, co zrobił? Poderwał się z wózka. Można powiedzieć, że cudownie go ozdrowiłem...

Na chwilę przerwał, by przyjąć hołdy od van der Vluppena. Belgijski profesor nie zaszczylił Abramowskiego spojrzeniem.

– Później, gdy już było po wszystkim, a tymi dwoma zajęli się marynarze, przyjrzałem się wózkowi dokładniej i, w istocie, znajdował się w nim mechanizm, jakiś system rurek albo coś podobnego, który pozwalał przekazywać sygnały do rąk Blanca. Oni się porozumiewali czymś w rodzaju alfabetu Morse'a. A ten sygnet... Było tak, jak przypuszczałem. Umieszczono w nim lusterko. Stary numer...

Abramowski pogratulował Rumunowi przenikliwości i spostrzegawczości. Ten zbagatelizował komplement kolejnym gestem.

– Żaden ze mnie Poirot. Mam brata, który zajmuje się tropieniem oszustów w największych kasynach. Mojej rodzinie nie bardzo się podobał taki podejrzany fach, doszło nawet do zerwania stosunków, ale w ten sposób Ion, tak ma na imię, stał się zamożnym człowiekiem. Te wszelkie edykty i papieskie bulle zakazujące gry w karty i w kości... Była w tym jakaś mądrość. A teraz jeszcze ruletka, boks i wyścigi konne... Więc mój brat jest, nie waham się powiedzieć, wybitnej klasy specjalistą i pokazywał mi różne sztuczki stosowane przez oszustów. Taki sygnet z lusterkiem też. Raz zabrał mnie do Kurhausu. Wie pan, gdzie to jest?

Abramowski zaprzeczył.

– W Baden-Baden. Dostojewski tam grywał. I Marlena Dietrich. Byłem z bratem też w Casino de Spa. Ten belgijski profesor mógłby coś o tym wiedzieć, na takiego mi wygląda, a w takich sprawach rzadko się mylę. Strasznie zniszczyli to kasyno podczas wojny. Potem dziesięć lat je odbudowywali, a teraz bożek

pieniądza znów rośnie w siłę. Wie pan, co w tych kasynach przerażało mnie najbardziej?

– Co takiego?

– Wcale nie to, że ludzie w kilka godzin przegrywają majątki, rujną się i staczają na dno. W Zoppot, tym niemieckim kurorcie, koło kasyna podobno mają aleję samobójców. Ale nie to jest najgorsze. Mnie przerażały oczy.

– Oczy?

– Oczy hazardzistów. Zasnute mgłą, niewidzące, a zarazem zapalczywe. Widziałem w nich jakąś obłąkaną religijną żarliwość. Wyobrażam sobie, że tak musiały wyglądać oczy rycerzy wyruszających na krucjaty. Opętane wiarą, krwią i złotem... – Zamyślił się, po czym zmienił temat. – Upewnię się: pan jest Polakiem?

Nie odebrali mu obywatelstwa, więc wciąż nim był. Potwierdził.

– Bardzo podziwiam waszego rodaka Bronisława Malinowskiego.

– Tego, który bada ludy pierwotne?

– Tego samego. – Corneliu pochylił się przez stół. – Coś panu opowiem, tak między nami. Pamiętam, jak wpadła mi w ręce ta jego słynna książka... *Życie seksualne dzikich w północno-zachodniej Melanezji*. Czytałem ją z wypiekami na twarzy, myślałem, że wzbogaci moje doświadczenia w wiadomym zakresie, kartkuję, kartkuję, a tam nic. Tylko jakieś linie pokrewieństwa, matrylinearność, zakazy kazirodztwa, brat matki, kuzyn teścia... Połapać się nie można. W sumie tytuł bardzo atrakcyjny i nęcący, treść zaś... nieco rozczarowująca. – Roześmiał się, jakby spuentował dobry dowcip. Wstał od stolika. – Wie pan, jaki z tego płynie morał? Stara prawda głosi, żeby nie osądzać książek po okładkach. Ale to samo tyczy się ludzi. Blanca, jego asystenta... W zasadzie nas wszystkich. – Poklepał rozmówcę po ramieniu.

Abramowski patrzył na korpulentną, nieco rozchwianą postać Rumuna. Zamyślony dopił kawę. Potem poszedł do kajuty.

ROZDZIAŁ 22

Dwa stuknięcia, dwa i cztery.

Stała w drzwiach gotowa do wyjścia. Miała na sobie zwiewną białą sukienkę, a w ręce trzymała notes. Zapytała go, czy mocno dziś wieje, a gdy powiedział, że nie wie, zarzuciła sweter na ramiona. Na pokładzie usiedli w leżakach i zamówili kawę. Nigdy w życiu nie pił jej w takich ilościach jak tu, na transatlantyku. Ciekawe, czy ten nawyk mu pozostanie, gdy skończy się rejs. Jak to w ogóle będzie?

Trąciła go czubkiem buta.

– Może odłożymy to – wskazała dziennik Marocznego – na później? Do twarzy panu z tym zamyśleniem.

Znów nie był pewien, czy żartuje.

– Nie, zobaczmy, co tam jest.

Przysunęła leżak, teraz mogła mówić ciszej.

– Jak już wspominałam, nie zetknęłam się jeszcze z czymś takim. Te zapiski... To są właściwie zapiski morfinisty. Prawie wszystkie wyglądają tak... – Przekartkowała notatnik. – O, na przykład... „15 lipca. W ubiegłym miesiącu odbyłem dwa stosunki z tą samą *puella publica*. Żaden nie sprawił mi satysfakcji. W tym miesiącu nic. Czerpię z nich coraz mniej przyjemności, a małe dawki nie działają. Bóle głowy, otępienie i ospałość na zmianę z niepokojem”. Albo tutaj: „17 lipca. Przyjmuję środki nasenne. Jeden gram bromu, jeden paraldehydu. Poza tym kodeina i weronal. Czuję poprawę”. Dwa dni później: „Rano morfina wprowadziła mnie w dobre samopoczucie, wybrałem się do miasta, chłonałem hałas i zgiełk

każdym nerwem. Kupiłem gazetę. Po południu stan *subfebrilis*. Mocna mieszanka morfiny i pantoponu. Zastanawiam się, czy *post coitus* zwiększać dawkę”. I tak właściwie jest przez cały czas. Ten Maroczy był bardzo chory. I jeszcze te upiorne wyliczenia. Jakieś obsesje. Liczba odbytych stosunków, przyjęte dawki... Jednego nie rozumiałam. Maroczy regularnie opisywał... jakość stolca.

– Morfiniści mają rozmaite problemy – wyjaśnił. – Także z wypróżnianiem. Tam naprawdę nic więcej nie ma? – Spojrzał na dziennik.

Wzruszyła ramionami.

– Przejrzałam całość. Od stycznia. Dlatego trochę to trwało. Jeden zapis dotyczy zepsutej żarówki, skrzącego światła w hotelu, tego, jak mu to przeszkadza, rozsadza głowę.

Zupełnie jak bzyzące owady, pomyślał Abramowski.

– Jest ten ostatni, o który zapytał mnie pan od razu. I jeszcze jeden. Zaraz znajdę... – Przerzuciła stronicę. – Mam. „25 lipca. Moje Złoto Renu bardzo już mnie uwiera”... – Urwała. – Jedyne raz miałam tu kłopot, wypadło mi jakoś z głowy, co znaczy tutaj *drücken*. Zatem: „Moje Złoto Renu bardzo już mnie uwiera, ale ogarnia mnie też śmiech, gdy myślę, gdzie jest moja Walhalla. Nikt tego nie odgadnie. Jeszcze trochę i sam stanę się Wotanem”.

– Wotan? Walhalla?

– Wagnerowsko-nordyckie bajeczki – odpowiedziała. – Walhalla to coś w rodzaju raju dla poległych wojowników. Moja guwernantka kazała mi czytać te historie o Odynie i innych. Wotan był władcą bogów i zdobył złoto. Przynajmniej tak było u Wagnera. – Zamilkła.

Koło nich przeszedł Staszewski. Pomachał im ręką.

– Poza tym nic? – upewnił się Abramowski.

– Nic. Tylko morfina, stosunki i stolec.

Zamknął oczy. Coś się nie zgadzało. Było to jak skrzywienie żarówki, która nie może eksplodować pełnią światła. Westchnął. Nie. Nie da rady. Na razie nie przełoży tego na jaśniejszy obraz. Postanowił zmienić temat.

– Nie uwierzy pani, z kim spędziłem wczorajszy wieczór tu, na pokładzie.

Opowiedział o spotkaniu z Lusią.

– Chciał pan, abym poczuła się zazdrosna? – Znów to nieczytelne w intencjach pytanie.

– Nie, po prostu chciałem powiedzieć, że zbyt późno przyszła mi puenta do głowy. Mam słaby refleks.

– A gdybyśmy cofnęli czas?

– To powiedziałbym na odchodne, że jest zepsuta. Bardziej niż zęby mojego dziadka.

Nina skrzywiła się, a potem roześmiała.

– Być może będzie pan mógł jeszcze nadrobić to niedopatrzenie. Szarmancki z pana mężczyzna, nie ma co! – Spoważniała. – A tak w ogóle zbyt surowo ją pan ocenia. Może to jeszcze jedna kobieta, która nie chce być błyskotką. Dodatkiem do waszego świata. Ma jakieś ambicje. Nie czuje się spełniona. Nie cierpi tego całego obskurantyzmu. To straszne, co mówię, prawda? Niemal herezja.

Patrzył w ocean i milczał.

– A swoją drogą, ciekawe, czy o nas już plotkują na statku. Spotykamy się, rozmawiamy, pan mnie odprowadza...

– Chciałaby pani być na językach?

Zielone oczy wpatrywały się w niego uważnie.

– Jest mi to doskonale obojętne. A panu?

ROZDZIAŁ 23

Natknął się na Greene'a przy palarni. Uśmiechnął się do niego szeroko, jakby znali się od lat, zatarasował mu drogę i sięgnął po papierosy. Anglik potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję. Nie palę już od dawna. Udało mi się pozbyć tej skłonności, choć łatwo nie było.

Chciał przejść, ale Abramowski nie ustępował.

– Przysłuchiwałem się pańskim opowieściom. Fascynujące, mrozące krew w żyłach historie! – Starał się wykrzesać z siebie tyle entuzjazmu, ile potrafił. Nigdy nie był zbyt dobrym aktorem, co nie ułatwiało mu detektywistycznej roboty. Teraz też nie miał pewności, czy sztucznie wywołany podziw zrobi na rozmówcy jakiegokolwiek wrażenie. – Czy ja dobrze zrozumiałem, że ten lampart w Indiach zjadł ponad sto osób?

Greene się zawahał. Uznał, że najłatwiej pozbędzie się natręta, jeśli raz jeszcze pokrótce opowie tę historię.

Przytaknął. Działo się to w północnych Indiach, w okolicach Rudraprayag. Stamtąd widać już Himalaje. Lampart szczególnie upodobał sobie pielgrzymów zmierzających do świętych miejsc, lecz nie gardził też miejscową ludnością. Greene widział w życiu wiele drapieźników, ale nigdy nie napotkał jeszcze tak przebiegłego. Lamparta ścigały oddziały wojskowe, a zwierzę przez prawie dziesięć lat pozostawało nieuchwytnie. Nawet Gurkhowie, słynący z niezwyklej odwagi, waleczności i zdolności myśliwskich, nie dawali rady. Kot nauczył się wchodzić przez okna i wyłamywać drzwi domostw. Raz czy dwa, żeby dostać się do ofiary, wydrapał nawet dziurę w ścianie. Anglik długo tropił ludojada. Gdy ustalił, gdzie grasuje, przywiązał kozę do drzewa. Spał na gałęzi, kiedy zwabione

zwierzę się pojawiło. Gdyby nie dzwonek na szyi kozy, przegapiłby okazję. Strzelił raz. Nie chybił. Na pamiątkę pozostało mu zdjęcie z leżącym u stóp cętkowanym drapieżnikiem.

Abramowski kręcił głową, jakby nie dowierzał.

– Publiczność słuchała pana wczoraj z zapartym tchem. Musi mieć pan nerwy ze stali.

– Nie robię tego dla sławy, skór ani pieniędzy – rzucił niedbale Greene. Spojrzał na zegarek. – Ratuje tylko ludziom życie. Pan wybaczy...

– Nawet pani Lusia przysłuchiwała się z zachwytem – Abramowski nie poddawał się. – A wzbudzić u niej zainteresowanie to nie lada wyczyn.

Anglik popatrzył na niego badawczo.

– Ach... państwo stołujecie się przy jednym stole?

Abramowski potwierdził.

– Pana coś martwi? – zapytał.

Mister Greene rzeczywiście wyglądał tak, jakby coś go trapiło. Chrząknął.

– To może pan będzie w stanie mi pomóc... Trochę dziwna sprawa... Tym statkiem miał płynąć mój znajomy... To znaczy, płynie... Miałem mu coś przekazać... Rzeczywiście, rozmawiałem z panią Lusią i przy okazji zapytałem o niego. Powiedziała, że stołował się z wami. Że jest chory. I że pan o jego stanie wie najwięcej.

Abramowski mocno chwycił go za ramiona. Nie miał pewności, czy wypadnie w tej roli przekonująco, ale postanowił spróbować.

– A więc to pan! – wykrzyknął. – Maroczy wspominał mi o panu!

– Tak? – Greene się zdziwił. Patrzył na obłapiające go ręce.

– To znaczy mówił nie tyle o panu, tak z imienia i nazwiska, ile o znajomym, który najpewniej będzie płynął tym statkiem – uściślił Abramowski. Entuzjazm go nie opuszczał. – Wspominał, że ma pan dla niego jakieś książki do wykładu. Biedaczek... Że też przytrafiło mu się coś takiego podczas rejsu. Przenieśli go do tej sali szpitalnej, czy jak to nazwać, ze wszystkimi rzeczami.

Zdawało mu się, że bruzda, która przecinała czoło mężczyzny, lekko poczerwieniała. Nie miał pewności, czy Greene chwyci przynętę.

– Czyli że... będę mógł go tam odwiedzić? – zapytał Anglik. Wypowiedział to zdanie ciszej od poprzednich i jakby bardziej przeciągle.

– Och tak! Jestem pewien, że bardzo się ucieszy. Ja zaś jestem rad, że mogę pomóc tak znakomitej osobistości.

Wyjaśnił, gdzie znajduje się pokój dla chorych. Greene spojrzął na zegarek i podziękował. Wymienili uśmiechy.

Tętno, tego był pewien, miał teraz szybsze niż zwykle. Zerknął na cyferblat. Do obiadu został kwadrans. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Usłyszał piskliwy głos Gombrowicza i pomrukiwanie księdza Piotra Marka. Ukłonił się bez słowa, minął ich szybkim krokiem i poszedł do kabiny. Zmienił przepoconą koszulę. Z szuflady wyjął berettę i wsunął za pasek spodni. Popatrzył w lustro. Marynarka przesłaniała broń jak należy. Sprawdzał to jeszcze przed rejsem, ale wolał się upewnić. Przede wszystkim musi zachować spokój. Zachowywać się naturalnie. Zawiązał krawat i przeczesał palcami włosy.

Gdy zmierzał do sali, czuł, że jego nogi są cięższe niż zwykle. Co robi, jeśli Anglika w niej nie będzie? Wtedy i on zrezygnuje z obiadu. Bez zwłoki i przygotowań rozpocznie polowanie. Zanim wszedł, usłyszał donośny głos. Odetchnął z ulgą. Greene siedział przy stole i opowiadał o tygrysich kłach. Abramowski odwrócił wzrok, ale był pewien, że tamten obrzucił go spojrzeniem.

Zajadał się zupą rakową z ryżem i wypytywał o karcianych oszustów. Zostali umieszczeni w prowizorycznym areszcie pod dozorem marynarzy. Krążyły o nich niestworzone historie. Podobno byli poszukiwani na dwóch kontynentach. Upodobali sobie kurorty i luksusowe statki i tam ogołacali z majątków naiwnych pensjonariuszy oraz podróżnych. A ten niby-inwalidzki wózek pozostał w barze. Trzeba przyznać, że to bardzo chytrze pomyślane urządzenie. Wolica opowiadał o tym z przejęciem, Abramowski zaś potakiwał.

Jego myśli krążyły gdzie indziej. Wiedział, że przynęta chwyciła i nie wolno teraz popełnić błędu. Najgorsze, co można zrobić, to zlekceważyć takiego przeciwnika. Zdarzyło mu się to przecież kilka razy. Pał licho, że podczas partii szachów. Gorzej, niestety, że także w realnym życiu. Nie było wątpliwości: mister Greene nie jest żadnym amatorem. Celowo rzucał się w oczy, odsuwając w ten sposób od siebie wszelkie podejrzenia. Ktoś taki nie może przecież niczego skrywać. Nie dawał się też ponieść emocjom. Nie ruszył od razu do pokoju szpitalnego, uznał, że powinien się przygotować, rozważał wszelkie za i przeciw, węszył potencjalne niebezpieczeństwo, pewnie nawet teraz, gdy tak barwnie rozprawiał o życiu w dżungli.

Abramowski skończył obiad pierwszy. Przeprosił biesiadników i wstał od stołu. Nina spojrzała na niego pytająco, ale tym razem ją zignorował. Wrócił do swojej kabiny i wyszedł stamtąd z zawiniątkiem. W kieszeni pobrzękiwały mu klucze. Dywan tłumił kroki. Gdy Greene nadejdzie, nie usłyszy go. Anglik może pojawić się w każdej chwili.

Pokój, który nazwał szpitalnym, był zwykłą kajutą pasażerską, z której usunięto kilka mebli. Stało tam łóżko, takie samo, jakie miał u siebie, przy nim stoliczek nocny z lampką. W ścianie przy wezłowniu znajdował się dzwonek, którym wzywało się lekarza. W rogu były szafa i jedno krzesło, zapewne zostawione w celu odwiedzin. Abramowski przez moment stał w drzwiach i lustrował przestrzeń.

Co się stanie, gdy Greene je otworzy? Co powinien zobaczyć? Wejście bez pukania czy zapuka? Raczej to drugie. Nie może mieć pewności, czy nie zastanie tu lekarza, pielęgniarki lub stewarda podającego choremu obiad. W ręce będzie miał coś, co przyniesie Maroczemu na wymianę. Jakiś kuferek albo dyplomatkę. Zajmie mu więc kilka chwil, zanim chwyci za broń. Że przyjdzie uzbrojony, było pewne jak dwa razy dwa. Czy można zyskać dodatkowy czas? Jakiś ułamek sekundy? Być może tak. Abramowski liczył na efekt zaskoczenia. To zawsze działa. Przesunął stolik nocny na środek pokoju, tak by stał na wprost wejścia, a potem sięgnął po zawiniątko. Ustawił buty Maroczego na blacie. Raz jeszcze podszedł do drzwi i je

otworzył. Zadowolony pokiwał głową. W pierwszym momencie spojrzenie Anglika powędruje w stronę butów. Zanim ogarnie sytuację, będzie po wszystkim.

Drzwi otwierały się do środka. Przysunął krzesło, usiadł na nim i czekał. Spojrzał na zegarek. Jak by to rozwiązał, gdyby był na miejscu Greene'a? Przyszedłby niedługo po obiedzie, gdy pasażerowie są rozleniwieni, odpoczywają w kajutach albo na leżakach i nie zwracają uwagi na innych. Anglik niebawem powinien się więc zjawić.

Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi, poza tym panowała cisza.

Maroczy był teraz przynętą, Greene drapieżnikiem, a on sam myśliwym.

Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie podobne polowanie sprzed wielu lat. Tyle że wtedy czyhanie nie odbywało się w kabinie luksusowego statku, ale w zapadłej norze na Powiślu. Na zewnątrz gdakały kury i szczekały psy. Okno, zabite butwiejącymi deskami, rzucało wątłe światło. Zimno przenikało kości. Krople deszczu uderzały o dno wiadra, a potem wypełniły je niemal całe.

Mijały godziny, a on czekał na mordercę. Każdy ruch przypominał trzęsienie ziemi. Wszystko wokół trzeszczało tak, jakby za chwilę ta rudera miała się rozpaść. Zapadła noc, trwał odrętwiały i przywoływał imiona wszystkich świętych, w których istnienie nie wierzył, żeby już to się skończyło.

Aby zająć czymś głowę, odtworzył wtedy w pamięci partię z dwudziestego trzeciego graną w Kopenhadze. Aron Nimzowitsch, być może największy pośród wszystkich szachowych filozofów tego wieku, pokonał wielkiego Sämischa w niezwyklej partii. Czuł, że jeszcze godzina, dwie, i on sam znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Albo całkiem zamarźnie, albo zrezygnuje. Wtedy usłyszał rumor. Ktoś wspinał się po schodach i coś bełkotał pod nosem. Zgrzytnęły drzwi i do środka wtoczył się mężczyzna. Zanim Abramowski zdążył coś zrobić, tamten padł na podłogę. Był kompletnie pijany. Nie ocknął się nawet wtedy, gdy miał skuwane ręce.

Taka praca. W sumie nie było się czym chwalić. Poza cierpliwością.

Spojrzał raz jeszcze na zegarek.

Ziewnął.

I wtedy usłyszał ciche pukanie do drzwi.

ROZDZIAŁ 24

Abramowski poderwał się z krzesła. Wyszarpnął pistolet zza paska.

Pukanie, tym razem nieco głośniejsze, się powtórzyło.

– Proszę. Proszę wejść – powiedział po francusku słabym głosem, ale na tyle głośno, żeby tamten go usłyszał.

Drzwi się lekko uchyliły. Tak jakby stojący za nimi gość chciał przez tę szparę zlustrować przestrzeń, zanim zdecyduje co dalej. Abramowski uznał, że nie ma na co czekać. Chwycił za klamkę i gwałtownie ją pociągnął. Wycelował broń.

Mister Greene patrzył na niego zmartwiały. Zamrugał. Ubrany był w koszulę khaki, ale tym razem włożył też marynarkę. W ręce trzymał skórzaną walizeczkę.

– Do środka! Już! – nakazał Abramowski. Cofnął się o krok.

Anglik uznał, że nie ma wyboru. Wszedł z ociąganiem. Spojrzał na ortopedyczny but, który stał na stoliczku, potem przeniósł wzrok na napastnika.

– Odstaw walizkę i podnieś ręce – zakomenderował Abramowski. – Dla kogo pracujesz? Co miał ci przekazać Maroczy? Powoli, żadnych gwałtownych ruchów, bo zastrzelę.

Greene stał nieruchomo, jakby nie słyszał pytań i poleceń.

– Na co czekasz? Ręce!

– Mogłem się domyślić, że coś jest nie tak – szepnął Anglik. – Zmylił mnie pan tą Lusią. – W jego głosie pobrzmiwał ton rezygnacji. – Nie ma to zresztą już znaczenia – dopowiedział.

Odstawił walizeczkę. Uniósł ręce. Prawa była w połowie drogi, gdy wykonała nagły ruch. Greene chwycił się za obojczyk. Potem palce błyskawicznie

powędrowały do ust. Rozległ się cichy chrupot pękającego szkła.

Anglik wybałuszył oczy i zaczął charczeć. Złapał się za serce, a po chwili osunął się na podłogę. Ciałem wstrząsały drgawki. Abramowski rzucił się do przodu i rozchylił mu usta, ale było już za późno. Wszystko trwało sekundy. Mężczyzna znieruchomiał.

Na Abramowskiego skierowane były martwe niebieskie tęczęwki.

Zaklął. Wytarł ręce w spodnie. Zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów. Zacisnął pięść i z całej siły uderzył w podłogę.

Spieprzyłem sprawę, pomyślał. Spieprzyłem ją koncertowo. Trzeba było go unieszkodliwić. Pozbawić przytomności i dokładnie przeszukać. Skuć. I dopiero potem, gdy wróciłaby mu świadomość, zadawać pytania. A teraz? Teraz była musztarda po obiedzie. Nie wymyślono jeszcze takiego języka, w którym można rozmawiać z trupem. Teraz jedynie może obiecać sobie, że nigdy już takiego błędu nie popełni.

Podszedł do wciąż otwartych drzwi i je zamknął. Znów ukucnął przy ciele. Odchylił poły marynarki. Nie mylił się. Wyjął beretkę. Starszy model od tego, który nosił. Następnie przyjrzał się ubraniu. W marynarkę, na wysokości lewego obojczyka, wszyto ni to kieszonkę, ni rynienkę, niewidoczną na pierwszy rzut oka. Greene trzymał tam fiolkę z trucizną. Zobaczył Abramowskiego z wycelowaną bronią i błyskawicznie oszacował sytuację. Zrozumiał, że wpadł w zasadzkę i że to koniec. Najwyraźniej nie miał żadnej karty przetargowej, którą mógłby zagrać. Uznawszy, że wpadnie w wir brutalnych przesłuchań i tortur, wybrał szybką śmierć.

Abramowski sprawnie przeszukał ubranie. Nie znalazł nic godnego uwagi poza kluczem do kabiny i małym kluczykiem w spodniach. Popatrzył w bok. Pozostawała czarna walizeczka.

Położył ją na łóżku i pogładził skórę, jakby w ten sposób chciał sprawić, żeby zawartość go nie zawiodła.

Otworzył ją kluczykiem i zamrugął. Walizeczka była pusta. Dopiero gdy spojrział uważniej, wypatrzył skrytkę. Wystarczyło mocniej nacisnąć na jedną ze ścianek, żeby ta, umocowana na sprężynie, odskoczyła ze szczękiem.

Ze schowka wyjął dwa aksamitne woreczki.

Rozsznurował pierwszy i wysypał zawartość na łóżko. Znajdowały się w nim szklane buteleczki. Abramowski nie miał wątpliwości, co zawierają. Maroczemu zabrakło morfiny. Tym należałoby zapewne tłumaczyć jego skoki nastroju. Dlatego też telegrafował do Dakaru. Ten cały Greene miał mu dostarczyć narkotyki, a w zamian przejąć coś cennego.

Rozsupłał drugi woreczek. Opróżnił go i cicho krzyknął. Wpatrywał się w kamienie, większość była rozmiaru ziaren kawy, a potem ostrożnie wziął do ręki największy. Nie był szczególnym specjalistą, ale domyślał się, co obraca w palcach. Nic twardszego przyroda nie wymyśliła. Zaczął je liczyć. Doszedł do dwudziestego i gdy jeszcze kilka zostało, dał sobie spokój. To była prawdziwa zapłata, którą miał otrzymać Maroczy. Niewątpliwie za coś bardzo cennego. Albo, to właściwsze określenie, wręcz bezcennego.

Przez moment zastanawiał się, co powinien zrobić. Schował kamienie, a woreczek wsunął do kieszeni. Ten drugi, z buteleczkami morfiny, zostawił na stoliczku.

Odnalazł Kałużę, który właśnie obsztorcowywał jakiegoś marynarza, i odciągnął go na bok. Oficer warknął coś jeszcze do chłopaka, lecz po chwili, gdy tylko usłyszał, z jaką sprawą przyszedł Abramowski, podwładny przestał dla niego istnieć. Poszli po doktora Adamskiego, a później, we trzech, udali się do szpitalnego pokoju.

Doktor fachowo obejrzał ciało. Powąchał usta zmarłego. Wydobył z nich drobiny szkła.

– Cyjanek potasu. Nie mam wątpliwości. Jeśli panowie chcecie sprawdzić sami, zapraszam. – Wykonał ruch ręką. – Wyczujecie zapach migdałów.

W karierze lekarza okrętowego widział różne przypadki. Ludzie truli się solaniną, arsenikiem, jadem kiełbasianym. Dwa lata temu podczas rejsu otruło się pewne austriackie małżeństwo. Ale z cyjankiem potasu spotkał się pierwszy raz.

– Będę musiał powiadomić kapitana – powiedział Kałuża. – Nie będzie zachwycony. Najpierw Maroczy, potem tych dwóch karcianych oszustów, teraz ten Anglik. Przewiduje pan kogoś jeszcze? – Z trudem hamował gniew.

Abramowski wzruszył ramionami. Mógłby odrzec, że kłopoty się nie skończyły, że trzeba się przygotować na ich ciąg dalszy, ale zostawił to dla siebie. Zamiast tego wskazał na stoliczek.

– Tam, w tym woreczku, jest morfina. Być może coś jeszcze.

Adamski spojrzał na niego pytająco.

– Te narkotyki miały trafić do Maroczego – wyjaśnił. – No ale wiemy, jak jest. Byłby kłopot, żeby go teraz odnaleźć.

Mówił z sarkazmem, jakby w ten sposób chciał odreagować to, co zaszło.

– Właściwie jak to się stało? – zapytał lekarz.

– Wiedziałem, że Maroczy umówił się z kimś, kto rozpocznie rejs w Dakarze. Dlatego, żeby zastawić pułapkę, poprosiłem o klucz do tego pokoju. A także o to, by nikomu nie mówić o jego śmierci. Liczyłem, że ten tajemniczy ktoś pomoże wyjaśnić sprawę morderstwa. Że po nitce dotrę do kłębka. I rzeczywiście, mister Greene tutaj wszedł. A gdy zobaczył mnie, połknął truciznę.

– Tak bez słów? Po prostu? – doktor nie dowierzał.

– Tak. Po prostu. – Abramowski uznał, że szczegóły pozostawi dla siebie.

– Czy ten – Adamski wykonał ruch głową – również miał atak serca? Muszę coś napisać w dokumentach.

Uznali, że dwa takie same przypadki to o jeden za dużo. Rozważali różne możliwości. Samobójstwo? Nikt w nie nie uwierzy. Myśliwy był ucieleśnieniem witalności i nie wyglądał na takiego, który zamierza się targnąć na życie. Ostatecznie stwierdzili, że miał nieszczęśliwy wypadek. Nie zachował należytej ostrożności, przeszarżował i w nocy wypadł za burtę. Zgubiła go zbytnia pewność

siebie. Biorąc pod uwagę to, co opowiadał o sobie i swych przygodach, brzmiało to wielce prawdopodobnie. Nie było też najmniejszej szansy, żeby go uratować. Uzgodnili, że najlepiej będzie, jeśli ciałem zajmą się ci sami marynarze co wcześniej. Znowu trzeba zachować pełną dyskrecję.

– Zrobimy to tak samo jak poprzednio. – Kałuża wyglądał na zrezygnowanego. – A jutro będę musiał powiedzieć to wszystkim. Nie da się dłużej ukrywać obu tych spraw. – Spojrzał na lekarza. – Proszę, doktorze, przygotować się na ataki hysterii. Pasażerowie różnie reagują na takie wieści.

– Ten steward – przypomniał sobie Abramowski – ten, który znalazł Maroczego... Co z nim? Wyszadziliście go w Dakarze?

Kałuża potwierdził. Steward powinien być już na liniowcu płynącym do Europy.

Rozstali się w nie najlepszych nastrojach. Każdy z nich miał swoje powody, żeby nie być w humorze. Abramowski niósł zawiniątko z rzeczami Maroczego i był pewien, że pokpił sprawę. Kilka godzin wcześniej miał nadzieję, że wszystko, może prawie wszystko, się wyjaśni. Tymczasem wciąż dreptał w miejscu. Przed oczami stanął mu obraz umierającego Greene'a i przedśmiertny skurcz na jego twarzy. Dla kogo ten Anglik pracował? Cóż tak cennego miał ze sobą Maroczy? Pomyślał o ortopedycznym bucie. I kto go dopadł, jeśli nie Pedersen? Tasował w myślach karty z podejrzanymi i żadna nie wydawała mu się mocna.

Ten Węgier... Skończony morfinista. Czy ktoś taki w ogóle mógł być agentem? Przecież kogoś takiego niesłychanie łatwo złamać. Ktoś taki jest kompletnie nieobliczalny. Z drugiej strony... Z drugiej strony Maroczy mógł być po prostu świetnym zawodnikiem i przymykano oko na jego różne słabości. Teraz pojawił się Greene, a wraz z jego śmiercią kolejny kłopot. Zapewne Anglik miał powiadomić o wykonaniu zadania. Poinformować o przekazaniu książek do wykładu lub wysłać inną bzdurną w treści wiadomość. Czy jego milczenie zaalarmuje przełożonych? Jak zareagują ci niezbyt sympatyczni ludzie? Czy przyślą na statek kogoś nowego? Pomyślał o dalszych przystankach, które czekały ich podczas rejsu. Rio. Santos. Potem jeszcze Urugwaj. Dopiero później Buenos. Było sporo możliwości. Trzeba

sprawdzić dokumenty tego cholernego Greene'a, a informację o jego śmierci, napisaną najbardziej wiarygodnie jak tylko się da, przesłać do ambasady. Stamtąd, był tego pewien, rozejdzie się dalej i dotrze do kogo trzeba.

Poszedł do kabiny. Zostawił zawiniątko. Pistolet i aksamitny woreczek schował do szuflady. Rozboliła go głowa. Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Przywołał zdarzenie sprzed lat. Gdy rozeszły się wieści o jego detektywistycznych sukcesach, próbowano go zwerbować. Człowiek, który z nim rozmawiał, był starym, doświadczonym agentem. Widział niejedno i niemało przeszedł. Miał mądre oczy. O jednym proszę pamiętać, powiedział mu wtedy. Jeśli się pan zdecyduje i będzie dobry, nikt nie podziękuje. Jeśli wpadnie pan w tarapaty, nikt nie pomoże. A jeśli wtedy nie wykaraska się pan sam, będziemy zmuszeni rozwiązać problem za pana. Wówczas odmówił. Był pewien, że całkiem o nim zapomniano. I było tak aż do dnia, gdy w Pałacu Saskim mężczyzna o wodnistych oczach złożył mu propozycję nie do odrzucenia.

Otrząsnął się ze wspomnień. Odnalazł kajutę, którą zajmował Greene. Bez przekonania wertował jego rzeczy, niemal pewien, że nic interesującego nie znajdzie. Otworzył walizę, jedyną, jaką Anglik miał ze sobą. Przejrzał koszule khaki i paszport, który nie budził podejrzeń. W bocznej przegródce znalazł dwa tygrysie kły. Miał je po to, żeby w odpowiedniej chwili pochwalić się przed podróżnymi. Podobnie jak zdjęciem. Greene pozował w kapeluszu, w ręce trzymał sztucer, a u jego stóp leżała cętkowana bestia. Abramowski był pewien, że zdjęcie jest zmontowane. Pod ubraniami spoczywała książka. Jej autorem był Jim Corbett. Gdzieś już zetknął się z tym nazwiskiem. Przeczytał tytuł. *Ludojady z Kumaonu i inne opowieści o tygrysach*. Po raz pierwszy tego popołudnia się uśmiechnął. A więc to stąd Greene zaczerpnął te wszystkie mrozące krew w żyłach historie.

Godzinę później Abramowski stał na werandzie. Upewnił się, że nikt go nie obserwuje, i podszedł do ogromnej tafli szkła. Wyjął z kieszeni kamień. Wpatrywał się w szarość i biel, które odbijały się w diamencie.

ROZDZIAŁ 25

Wieści, które następnego dnia po śniadaniu przekazał Kałuża, uderzyły w podróżnych jak grom. Abramowskiemu zdawało się, że oficer przyszedł w mundurze jeszcze bardziej wyprasowanym niż na co dzień i zachowywał się bardziej oficjalnie, niż zwykł to robić. Towarzyszył mu intendent, który nie bardzo wiedział, jak ma się odnaleźć w tej sytuacji. Stał zakłopotany i skubał guzik marynarki.

Kałuża mówił pewnym tonem, ale niezbyt głośno, jakby w ten sposób chciał oddać szacunek zmarłym. Wbrew przewidywaniom nikt nie zemdłał. Doktor Adamski, który wyjątkowo tego dnia pojawił się podczas posiłku, ścisnął rączki torby lekarskiej i uważnie się rozglądał. Rozległy się jedynie okrzyki i westchnienia, gdzieś zabrzmiał szloch. Abramowski przypatrywał się współbiednikom. Wolica posapywał. Luscia siedziała ze zbielełymi ustami, które zamieniły się w cienką kreskę. Terlecki zastygł z widelcem w dłoni. On sam pokręcił głową. To niemożliwe, wyszeptał. Nina spojrzała na niego z niesmakiem. Naprawdę musiał być kiepskim aktorem. Staszewski krzywo się uśmiechał. Corneliu przymknął oczy. Złożył ręce na piersi i wyglądał jak wieszcz narodowy. Pedersen zaczął kasłać i wyszedł z sali.

– Dlaczego? – odezwał się kobięcy głos. – Dlaczego go nie ratowaliście?

Zdumiony Abramowski popatrzył na Lusię, która gniewnie spoglądała na oficera.

Kałuża pokręcił głową.

– Proszę mi wierzyć, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Rozpoczęliśmy poszukiwania, gdy tylko dotarła do nas ta straszna wiadomość.

Bezzwłocznie.

– Nic nie było słyhać – Lusia nie ustępowała. – Za mało ludzi go szukało.

– Zrobiliśmy wszystko, co robi się w takich przypadkach, proszę pani. Mamy przeszkoloną załogę. A że akcja poszukiwawcza przebiegała w dyskrecji... Nie chcieliśmy wywoływać niezdrowych sensacji... Wzbudzać niepokoju...

Jego głos nie brzmiał już tak pewnie.

Lusia poderwała się z miejsca. W oczach miała łzy.

– Wy... wy jesteście... – próbowała wykrztusić zdanie. A potem wybiegła z sali.

Wolica chrząknął, wytarł usta chusteczką i podążył za żoną.

– Skoro na statku zdarzają się takie rzeczy, to znaczy, że nie możemy tu czuć się bezpieczni – stwierdził Zaremba. – Skończymy jak ci na „Titanicu”.

Dziennikarza wsparło kilka głosów.

Oficer zaprzeczył.

– Mamy doskonałe systemy alarmowe. Nasłuch radiowy. Najnowocześniejsze szalupy i kamizelki – wyliczał.

– A jednak doszło do tragedii – Zaremba nie dawał za wygraną. – Nie mówię o panu Maroczym, ale ten Anglik...

– Jesteście państwo pośrodku oceanu – oficer przerwał mu ostro. – Tu nie ma żartów, a pan Greene najwyraźniej zapomniał o tym. To był wypadek, który nie ma nic wspólnego z tragedią „Titanica”. Bardzo proszę, żebyście państwo nie siali paniki, bo nie ma po temu żadnych podstaw.

Zaremba kręcił głową bez przekonania i rozglądał się wokół, szukając sprzymierzeńców, ale już nikt nie kontynuował wątku.

Uzgodniono, że przez dwa najbliższe dni na znak żałoby wieczorki taneczne się nie odbędą. Ksiądz Piotr Marek zaprosił wszystkich do kaplicy. Odprawi tam nabożeństwo za zmarłych. Dodał, że należy natychmiast pozbyć się ze statku afrykańskich masek zakupionych w Dakarze i że nie wystarczy wyrzucić ich do wody, bo przywołają w ten sposób morskie demony. Trzeba je publicznie spalić.

Ktoś roześmiał się nerwowo. Kałuża gwałtownie zaprotestował. Zrobił się zgiełk i powstało zamieszanie, jak zwykle w takich sytuacjach. Uznawszy, że nic więcej się nie wydarzy, Abramowski wstał od stołu.

Wyszedł na pokład i zapalił papierosa. Usłyszał kroki i obrócił się. W jego stronę zmierzał Staszewski. Krzywy uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Niezła bujda, co? – zaczął bez zbędnych wstępów.

Abramowski milczał. Patrzył w ocean. To było najlepsze, co mógł zrobić.

– Pan chyba nie wierzy w to, co opowiadał ten marynarz. Że niby co? Że taki chojrak jak Greene poślizgnął się i wypadł za burtę? Dobrze sobie! I wcale go nie szukali. Nikt nikogo nie szukał. Słyszałbym. Nie było żadnej akcji. To jedno wielkie kłamstwo. A drugie z tym Maroczym. Dlaczego nie pokazano nam jego ciała? Dlaczego nie pozwolono asystować przy pochówku? Dlaczego wszystko odbywa się w tajemnicy?

Musiał przyznać, że Staszewski trafia celnie.

– Te wszystkie opowiadki nie są warte funta kłaków. – Mężczyzna ściszył głos. – Na tym statku dzieje się coś złego. Jeszcze nie wiem co, ale się dowiem. – Uderzył się pięścią w pierś. – I do tego ten ksiądz... On naprawdę jest jakiś dziwny. Gotów nas puścić z dymem. – Oparł się plecami o barierkę. – Od tej pory biorę sprawy w swoje ręce. Będę przyglądał się wszystkiemu i wszystkim. Nie jestem głupi i zamierzam dopłynąć do Argentyny.

Abramowski nie był pewien, jak powinien odebrać te słowa. Uznać je za przestrożę czy pocieszenie? Zadeklarował, że chętnie pomoże, jeśli tylko będzie mógł. Zostawił Staszewskiego i zszedł na dół.

Wziął prysznic i jeszcze raz starał się zebrać myśli. Maroczy nie żył. Greene też. Pozostawało ostatnie ogniwo. Pedersen. Musiał je jakoś sprawdzić. Jak tego Duńczyka podejść? Na razie nie miał pomysłu.

Postanowił wzmocnić się kawą oraz koniakiem. Takiego zestawu przed obiadem jeszcze tu nie zamawiał. Na werandzie natknął się na Tartakowera i Najdorfa, którzy, przy nieodłącznej szachownicy, raczyli się czymś podobnym.

Popatrzył na dwóch mistrzów, wrócił do kabiny, wyjął z szuflady pogniecioną kartkę i ruszył z powrotem.

– Witamy naszego pólmistra. – Najdorf się rozpromienił. – On – wyjaśnił Tartakowerowi – naprawdę zapowiadał się dobrze. Co powiesz, Ed, o tej pozycji? – Wskazał na szachownicę.

Mistrzowie nie grali zwykłej partii. Było to raczej coś w rodzaju zadania. Cztery czarne skoczki przeciwko białemu hetmanowi. Dwa króle i nic więcej. Najdorf grał czarnymi.

– Zawsze to wygram. Cztery skoczki zawsze wygrają z hetmanem.

– Nie zawsze – upierał się Tartakower.

– Zawsze. Trzy już nie. Ale cztery tak. Uświadomiłem to sobie, gdy byłem na Syberii i siedziałem samotny, otoczony jedynie przez wilki. One były jak te koniki. To cud, że przeżyłem.

– Kiedy ty byłeś na Syberii? – zdziwił się Tartakower. Spojrzał na Abramowskiego. – On raz po raz opowiada jakieś niestworzone historie ze swojego życia.

– Oczywiście, że nigdy. – Najdorf przytaknął. – Tego by brakowało.

Obaj szachiści się roześmieli.

Abramowski wyjął kartkę z kieszeni, rozprostował ją i położył na stole.

– Czy to – wskazał palcem – wygląda panom znajomo?

Najdorf gwałtownie odsunął się od stolika. Popatrzył na Abramowskiego i zamrugął.

– To moje! – wykrzyknął. – Z mojej książki! Skąd pan to ma?

– Ma pan tę książkę?

– Nie przy sobie. Dwa razy ją tu przyniosłem. – Najdorf gładził papier. – Zapomniałem o niej i ją zostawiłem. I jakiś wandal wyrwał tę stronę. Może ten dziennikarz Zaremba? Znajac jego miłość do Żydów... Zrobiłby to z czystej złościwości. Albo ten Rumun. Corneliu.

– Corneliu?

– Widziałem, że ją kartkował. Ale na co by mu było studium Rétiego? Przecież on patrzy na szachy jak cieleń na malowane wrota.

– Ktoś jeszcze tę książkę przeglądał?

– A bo ja wiem? Przecież mnóstwo ludzi tu się kręci. Pewno tak. Ale tylko Rumuna z nią widziałem.

Uspokoił się i wsunął kartkę pod róg szachownicy. Odsunęli deskę i zaprosili Abramowskiego do stolika.

– Swoją drogą, biedny Richard. Szkoda chłopca, tak dobrze się zapowiadał.

– Jak to? – Abramowski nie zrozumiał.

– On nie żyje. Pan nie wie? To już będzie – spojrzał na Tartakowera – dziesięć lat, prawda? – Tamten przytaknął. – Szkarlatyna go powaliła. Zresztą tylu innych, młodych i zdolnych, umarło, zanim rozwinęli skrzydła. Taki Gyula Breyer. Ten miał słabe serce. Cały szachowy cmentarzyk można by stworzyć. A z Richarda był wielki mistrz...

– To była absolutna sensacja, gdy w dwudziestym czwartym w Nowym Jorku ograł Capablancę – wtrącił Tartakower. – Po raz pierwszy ktoś pokonał Capę od ośmiu lat. Widziałem na własne oczy, jak wstawali od stolika. Réti niemal fruwał ze szczęścia. Mówiło się, że Capa miał wtedy jakieś skomplikowane *love affair* i to go pochłaniało...

– Nie pierwszy raz – skwitował Najdorf.

– Ale to w niczym nie uchybia Richardowi. Każdy z nas ma jakieś sprawy na głowie.

– A czy nie zaginął też panom pion? – zapytał Abramowski. – Nie brakuje wam do kompletu?

– Pion? – Tartakower się zdziwił. – Nie. Ale na statku jest wiele kompletów. Gdzie go pan znalazł?

Zdziwilibyście się, gdybym powiedział prawdę, pomyślał Abramowski.

– Tutaj. Walał się gdzieś w rogu. – Zrobił ruch głową.

Wypili kawę i koniak. Abramowski zamówił jeszcze po jednej kolejce. Rozmawiali, rzecz jasna, o szachistach, o tych żyjących, ale głównie o umarłych. A także o Verze Menchik, jedynej kobiecie, która stawała w szranki z wielkimi mistrzami i, niekiedy, z nimi wygrywała. Tartakower odtworzył partię, którą w Nowym Jorku przegrał z Capablancą. Podobną, tylko odwróconymi kolorami, rozegrał w Davos z niejakim Castorpem, skończonym gruźlikiem zresztą, który pewno już nie żyje. Najdorf znów chciał namówić Abramowskiego na kilka partii błyskawicznych, ale ten zdecydowanie odmówił.

Pożegnał się z szachistami i wstał od stolika. Ruszył na górę.

– Przepraszam, czy mogę panu zająć chwilę? – usłyszał głos za plecami.

Odwrócił się i popatrzył na Tartakowera.

Stanęli tam, gdzie wcześniej rozmawiał ze Staszewskim. Abramowski czekał.

– Ta stroniczka z książki... Ta, którą pan przyniósł... Właściwie to nie jest zadanie szachowe, ale filozofia. Czyli coś w sam raz dla pana.

– Tak?

– Proszę spojrzeć na to w ten sposób: Réti wymyślił to tak, że król równocześnie zmierza w dwóch przeciwnych kierunkach. Wydaje się, że tak się nie da. Że to paradoks... W ogóle na pierwszy rzut oka zdaje się, że jedna ze stron nie ma szans. A jednak się ratuje. Dlaczego? Bo rzeczy nie są takie, jakie się wydają. Nie są oczywiste. Bo prawda tkwi gdzie indziej. Ukryta pod jakimś drugim dnem.

Abramowski zmierzył go wzrokiem.

– Zdaje się, że pan chciałby mnie o coś zapytać. O coś, co nie jest związane z Rétim.

Tartakower poprawił binokle. Zbierał się w sobie. Poruszył szczęką.

– Śledzę, co dzieje się u nas, w Europie. Wie pan, że Hitler zwrócił się do Stalina z prośbą o spotkanie?

– Zobaczą się osobiście?

– Nie. Spotkają się ich ministrowie. Ribbentrop z Mołotowem. Mają podpisać historyczne porozumienie. Wszyscy trąbią o tym. A tu, na statku, też są dziwne i nieoczywiste zdarzenia. Takie z drugim dnem właśnie. Pan wie o tym więcej ode mnie, prawda?

Abramowski zastanawiał się, co odpowiedzieć. Tartakower cierpliwie czekał.

– Tak, wiem nieco więcej – rzekł wreszcie. – Niestety, nie mogę się tym z panem podzielić. Proszę nie mieć mi tego za złe. Tu nie chodzi o brak zaufania lub coś podobnego.

Mistrz oblizał wargi i pokiwał głową.

– Zapytam inaczej. Nie jest pan, oczywiście, żadnym filozofem? To blef?

– Na to pytanie mogę odpowiedzieć. Zresztą domyśla się pan prawdy. Nie, nie jestem filozofem. Wie pan, dlaczego tak się przedstawiam? Bo ludziom filozof kojarzy się z kimś, kto dziwnie i niezrozumiale gada. Od razu mam święty spokój. Nikt mnie o nic nie pyta.

– Z policjantem albo prywatnym łapsem ludzie też niezbyt chętnie rozmawiają. Chociaż z zupełnie innych powodów – rzucił Tartakower.

Pstryknął niedopałkiem w ocean.

ROZDZIAŁ 26

Popołudnie i wieczór upłynęły spokojnie. Na transatlantyku panowała cisza. Słyszeć było szum fal i szmer silników, a z wnętrzości stalowego potwora dobiegały delikatne wibracje. To było wszystko. Żadnych okrzyków, nawoływań i śmiechu, który uznano by zapewne za coś niestosownego w obliczu śmierci pasażerów. Muzycy, którzy mieli nieplanowany wolny wieczór, rozsiedli się na pokładowych leżakach. Szprotka i brodaty kontrabasista rozmawiali cicho wpatrzeni w ocean. Sam miał ze sobą papier z pięciolinia i skrobał na nim nuty. Ksiądz Piotr Marek obrzucał wszystkich gniewnymi spojrzeniami, a w pewnej odległości za nim niczym cień kroczył Staszewski.

Następnego ranka na statku panowała równie gęsta atmosfera. W jadalni usunięto dwa nakrycia. Luscia siedziała z zaciśniętymi ustami, a makijaż, być może nałożony naprędce, nieudanie maskował podkrążone oczy. Wolica usiłował podejmować polityczne kwestie, najpewniej i do niego dotarły bowiem wiadomości o porozumieniu Berlina z Moskwą, nikt przy stole nie był jednak skory do rozmowy na ten temat, innych zaś nie było. Gdy Wolica zamilkł, jedli już wszyscy w ciszy. Nina kilkakrotnie spojrzała na puste miejsce, z którego usunięto sztućce i talerze, a raz nawet westchnęła.

Dopiero bliżej obiadu nastąpiło pewne ożywienie. Szachiści usiedli w barze, leżaki się wypełniły i podróżni korzystali ze słońca. Na werandzie Zaremba i Kołupajło toczyli kolejny słowny pojedynek.

– Wie pan doskonale, co sędzę o marszałku. Tym waszym marszałku – uściślił dziennikarz. Siedział rozparty w fotelu, z rozrzuconymi na boki nogami. – Ale

dwie decyzje mu się, nie powiem, udały. Raz, gdy wkroczył w dwudziestym szóstym na most...

– I do dziś nie znamy pełnej listy ofiar zamachu majowego, bo to był zamach, a nawet zbrodnia, choć wy boicie się takich wielkich słów – przerwał mu inżynier. – Nie mamy spisu zabitych, ani po stronie wojskowych, ani cywilów. Tak naprawdę są oni ofiarami zabójstwa politycznego. Jak Narutowicz albo minister Pieracki. Tylko pozostają bezimienni. A sprawcy bezkarni.

Zaremba roześmiał się.

– Gdzie drwa rąbią... Niech pan nie będzie śmieszny, inżynierze. Nie bądźmy dziećmi. O jakich ofiarach pan mówi? Ofiarami to jesteśmy my. Bo druga jego trafiona decyzja to Bereza. Tylko że znów zmarnował szansę. Dlaczego? Bo zaczął tam wsadzać nie tych ludzi, których trzeba. – Skrzywił się cierpko.

– Tu się z panem zgodzę. Wyjątkowo – odparł Kołłupajło. – Nie tych, których trzeba. Rzeczywiście. Na przykład zamknęli tam moich przyjaciół, którzy ośmielili się krytykować naszą kochaną władzę za korupcję, machlojki finansowe i oszustwa wyborcze. Jeden stamtąd już nie wrócił...

– Biedaczek – wyrwało się dziennikarzowi.

– I naprawdę dziwię się, że w obliczu tego, co robi Hitler, ktoś jeszcze może popierać obozy.

Zaremba rozłożył ręce.

– Powiem panu więcej, inżynierze. Napisałem nawet taki artykuł. Wie pan, pod jakim tytułem? *Obozy koncentracyjne? Tak!* A teraz podam panu przykład. Ulicę obok mojej mieszkał paskarz. Żyd oczywiście. Wywieźli go, a lokal przewiązali taśmą, która informuje, że właściciel pojechał do Berezy. Jego sąsiad, tej samej proveniencji rzecz jasna, od razu zwinął interes. I co? – Stuknął palcem w stół. – I tak powinno być! Nic nie działa tak jak dobry przykład. Mógłbym sporządzić całą listę. Komuniści, Żydzi, sowieccy agenci. Zapewniam pana, że byłaby długa.

Patrzyli na siebie złowrogo.

Abramowski siedział dwa stoliki dalej. Jeszcze chwila, pomyślał, i dojdzie do rękoczynów.

Kołupająco gładził brodę. Zbierał się w sobie. Wreszcie przemówił.

– To ja panu odpowiem. Zaczął pan od Ligi Morskiej i tego, co by było, gdybyśmy stali się potęgą kolonialną – mówił dobitnie, cedząc każde słowo. – Więc zróbcie tak. Zajmijcie sobie tę Angolę. Albo Madagaskar. A potem wybudujcie wielkie lotnisko. Powiedzmy... powiedzmy pod Radomiem. Dlaczego nie tam? Chętnie wam pomogę. Bliżej do Afryki będziecie stamtąd mieli. Spakujcie manatki i wynoście się. Ale Polskę zostawcie w spokoju. – Wziął głęboki wdech. – Chociaż zapewne i to się wam nie uda. Skończy się spektakularną katastrofą. Jak w przypadku Orlicz-Dreszera.

Abramowski mimowolnie się uśmiechnął. Wiadomość o śmierci generała zastała go w Paryżu. Wszędzie trąbiono o tej romantycznej w gruncie rzeczy historii. Prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej i obiekt wielu westchnień postanowił z powietrza powitać małżonkę, która transatlantykiem wracała z Ameryki. RWD-9 wzbił się w powietrze, a następnie runął do Zatoki Gdańskiej. W katastrofie zginął nie tylko generał, ale i dwóch innych oficerów. Stało się to szesnastego lipca.

Zapamiętał datę, bo dzień później rozpoczęła się wojna. Radio nadało komunikat: „Nad całą Hiszpanią niebo jest bezchmurne”. Niewinnie brzmiące zdanie. Zupełnie jak te, które ze statku wysłał Maroczy, informując o wykładzie. Tamto zaś było umownym hasłem wprowadzającym w ruch wszystkie oddziały frankistów. Bezchmurne niebo nad Hiszpanią wkrótce spowił dym. Wypełniły je samoloty bojowe, bomby i terkot karabinów maszynowych atakujących z powietrza.

– Przepraszam. O czym ci dwaj tak głośno dyskutują?

Ze wspomnień wyrwał go głos profesora van der Vluppena. Belg usiadł naprzeciwko.

Abramowski pokrótce wyjaśnił.

– Faszysta spiera się z demokratą. To częsty widok w Polsce. Właściwie trudno wskazać inny.

Belg machnął ręką.

– Och, to zupełnie jak u nas. To samo dzieje się, gdy Flamand usiądzie z Walończykiem. I jesteście tak samo porywczy jak my. Najpierw pan mierzy do mnie z pistoletu, a teraz tych dwóch wzięło się za łby.

– Pan jest Flamandem?

Biolog w jednej chwili poczerwieniał.

– Za kogo mnie pan uważa? Proszę mnie nigdy nie porównywać do tych niedouczonek brudasów! Pochodzę z Namuru, a w moich żyłach płynie celtycka krew. – Pochylił się. – Wie pan, gdzie jest ich miejsce? Flamandów? W Niderlandach. – Wymówił tę nazwę z nieskrywanym wstrętem. – Odstąpiłbym ich Holendrom za każde pieniądze. Bylibyśmy wspaniałym krajem, gdyby nie trzy przypadłości.

Profesor wygłosił coś w rodzaju krótkiego wykładu. Pierwszy z kłopotów to, oczywiście, Flamandowie. Drugim jest belgijski katolicyzm zatruwający nawet oświecone umysły. Trzecim – król Leopold.

– On, zdaje się, od dawna nie żyje – wtrącił Abramowski.

– Od trzydziestu lat – uściślił van der Vluppen. – Ale to nie ma znaczenia. Od dawna prowadzę badania naukowe w Afryce. I, proszę mi wierzyć, ilekroć powiem, że jestem Belgiem, zapada cisza. Wszyscy patrzą na mnie jak na barbarzyńcę. Dzikusa jakiegoś i zbrodniarza. Ci czarni tak mnie traktują i biali też. Pomyśleć tylko, że gdyby nie pewien odważny angielski dziennikarz, świat do dziś mógłby nie wiedzieć, co się stało w Kongu. A my, Belgowie, będziemy pokutować latami. Rozmawiałem o tym ostatnio z kolegą z Niemiec, zajmujemy się tymi samymi rodzinami owadów...

Abramowskiego coś tknęło.

– Mówi pan po niemiecku? – przerwał profesorowi.

– Doskonale. – Van der Vluppen przytaknął.

– A powie mi pan, co znaczy czasownik *drücken*?

– Och, to zależy od kontekstu. Naciskać, ściskać, drukować, nawet dusić albo wręcz wywierać presję. – Profesor zasypał go przykładami.

– A czy może mieć coś wspólnego z butami?

– Z butami? – zdziwił się van der Vluppen. – Oczywiście – odparł po chwili. – Buty mogą być niewygodne. Mogą cisnąć. Proszę spojrzeć – zmienił temat. – Tam zaraz, między tymi dwoma, dojdzie do bójki!

Zaremba i Kołłupajło poderwali się z foteli.

– Wiedziałem, że jest pan idiotą, ale nie sądziłem, że aż takim! – krzyczał inżynier. – Pańska głupota jest krystaliczna. Jak wieko trumny marszałka...

– Wieko było kryształowe, a nie krystaliczne – Zaremba próbował nadrabiać.

– Wszystko jedno. Zamilcz pan! Proszę już nigdy nie nękać mnie swoimi wynaturzonymi poglądami. Żegnam pana! – Odwrócił się na pięcie.

Abramowski przeprosił profesora i pognął za inżynierem. Dogonił go w hallu portretowym.

– To na koniec, o trumnie marszałka, było świetne – pogratulował Kołłupajle.

Ten patrzył na niego spode łba.

– A pan czego chce? Czy wy wszyscy nie możecie zostawić mnie w spokoju?

Naprędce, sadząc susy za inżynierem, ułożył odpowiedź na to pytanie. Wyjaśnił, że jest detektywem zatrudnionym przez armatora. Ma dbać o bezpieczeństwo pasażerów oraz ich mienie. I ma pewien kłopot.

– Chodzi o pana Maroczego. On zmarł śmiercią naturalną. Niestety, potem ktoś włamał się do jego pokoju.

– Co ja mam z tym wspólnego? – zapytał inżynier. – Może to ten cały Zaremba? Moim zdaniem byłby zdolny do czegoś takiego.

Abramowski zbył pytanie gestem ręki.

– Chodzi mi o ten dzień, gdy pokazywał pan swoje sztuczki przed turniejem szachowym.

– To nie są żadne sztuczki. To wiedza.

– Dobrze – Abramowski westchnął. – Czy później, po turnieju, rozmawiał pan jeszcze z Maroczym?

Kołupajło się zastanowił.

– A tak. W istocie. Rozmawialiśmy. Chociaż tak naprawdę trudno nazwać to rozmową... Pan Maroczy był bardzo zdenerwowany. Zaczepił mnie w barze. Pytał, co to miało znaczyć...

– Te sztu... Przepraszam – Abramowski się zmitygował. – Ten pokaz?

– Nie. Chodziło mu o jedno zdanie, które powiedziałem. Nie pamiętam go już dokładnie. Ale to było coś takiego, że... Że on skrywa tajemnice i mógłbym o nich opowiedzieć zebranym. Zwykły żart. A ten Węgier potraktował je nad wyraz poważnie. Dopytywał się, co miałem na myśli. Odparłem, że nic, przeprosiłem go na odczepnego i tyle. Później już nie rozmawialiśmy. A teraz proszę mi pozwolić...

– Jeszcze chwila. – Abramowski złapał go za rękę. – Ostatnie pytanie. Proszę pomyśleć. Czy ktoś przysłuchiwał się waszej rozmowie?

Kołupajło zmarszczył brwi.

– Czy ktoś się przysłuchiwał? Chyba nie... – Przeciągnął ostatnią sylabę. – Chociaż zaraz! – Ożywił się nagle. – Przechodził koło nas ten chudy. Ten, co tak strasznie kaszle. Duńczyk chyba. Ale czy coś słyszał? Nie wiem. Zresztą co miałyby usłyszeć? Nie rozmawialiśmy przecież o żadnych tajemnicach.

Abramowski wziął głęboki wdech.

– Czy to już wszystko? – spytał inżynier. – Z tamtego to już nic nie będzie, on jest stracony dla świata. – Trudno było powiedzieć, kogo miał na myśli: Zarembę czy Maroczego. – Ale mam nadzieję, że panu trochę pomogłem.

– Pomógł pan. I to bardzo.

Mocno uścisnął inżynierowi dłoń.

ROZDZIAŁ 27

Kelnerzy sprząтали po obiedzie, a on siedział w swojej kajucie bez ruchu. Złożył dłonie jak do modlitwy, wsparł na nich podbródek, łokcie zaś oparł na udach. Tkwił przygarbiony na krześle, a na stoliczku, na wprost, meldowały się dwa buty. Zamknął oczy i starał się wyrównać oddech. Przez moment zdawało mu się, że nadleciała mucha i zaraz rozsiądzie się mu w głowie. Zadrżał na tę myśl. Tylko nie teraz. Trwał nieruchomo dobrą minutę, wreszcie uznał, że nic złego się nie dzieje.

Wrócił do tego, co go zajmowało. Nie mógł przecież się mylić. Dlaczego nie pomyślał o tym od razu?

W głowie krążyło kilka scenek z rejsu. W każdej pojawiał się Maroczy. Obrazy powracały w różnej kolejności. I za każdym razem prowadziły go do tego samego wniosku.

Nie mogło być inaczej. Teraz albo nigdy.

Zanim usiadł, odnalazł Kałużę. Poprosił o porządny, ostry nóż oraz scyzoryk. Dziwił się sobie, że nic podobnego nie zabrał w rejs.

Miał spocone dłonie. Jeszcze jeden obrót myśli i odwlekanie tej nieuchronnej chwili, która musi nastąpić.

Przywołał w pamięci scenę sprzed szachowego turnieju.

„Gdybym ja opowiedział wszystkim tu zebrany, jakie skrywa pan tajemnice...” Tak. Dokładnie tak brzmiało zdanie, które wypowiedział wtedy Kołupajło. Którym wyprowadził Węgra z równowagi.

Ponownie znalazł się w zielonym narożniku na wykładzie o melancholii.

„Przecież wszystko, co najcenniejsze, mamy w sobie. Albo przy sobie”.

Święte słowa.

„Moje Złoto Renu bardzo już mnie uwiera, ale ogarnia mnie też śmiech, gdy myślę, gdzie jest moja Walhalla”.

Uwiera jak but.

I wreszcie śniadanie. Maroczy opowiada o ortopedycznym obuwiu.

„Nowoczesna amerykańska robota. Kiedyś noszenie czegoś takiego było istną torturą. Dla kogoś takiego jak ja, kogoś, kto jest cały czas w ruchu, można powiedzieć, wynalazek taki jak ten to prawdziwe wybawienie”.

Taki but nie mógłby uwierać. Tyle że na nogach zwykle nosi się dwa buty.

Dwa.

To właśnie tę myśl miał gdzieś z tyłu głowy, gdy siedzieli z Niną na leżakach i przeglądali dziennik Węgra. Nie umiał jej wtedy ukonkretnić i sprecyzować. O tym drugim bucie nie pomyślał ani on, ani zabójca. Tamten odnalazł skrytkę, otworzył ją. Nic w niej nie znalazł. Wcześniej musiał zabić Maroczego. Inaczej Węgier by się bronił lub krzyczał. Jego głos zaalarmowałby innych. A zatem zabójca dostaje się do skrytki i zostaje z niczym. Uznaje, że popełnił błąd i trzeba jakoś ograniczyć straty. Zmniejszyć ryzyko, że ktoś natrafi na jego ślad. Pozoruje napad rabunkowy. Aby zamieszać jeszcze bardziej, wymyśla ten cały teatrzyk z szachowym pionem wbitym w oczodół. Albo robi to w zwykłym gniewie. A może chce w ten sposób zaznaczyć, że Maroczy jest tylko niewiele znaczącym pionkiem w tej całej grze. Nie ma to teraz większego znaczenia. Kartkę z książki Najdorfa przygotował zapewne już wcześniej, a potem jedynie rozwinął plan. Ostatecznie na tym statku szachistów jak psów, dlaczego mordercą nie miałby być jeden z nich?

Tak właśnie było, o ile...

O ile się nie myli.

Przypomniał sobie to, co powiedział Cornel Cornelii. Nie osądzamy książek po okładkach, bo pozory mylą. Przywołał to, co usłyszał ostatnio od Tartakowera.

Rzeczy nie są takie, jakie się wydają, a prawda tkwi ukryta pod jakimś drugim dnem.

Wziął jeszcze dwa głębokie oddechy i sięgnął po but. Porównał jego stan z drugim. W przeciwieństwie do tego ortopedycznego nie było na nim żadnych śladów zużycia. Porządnie zrobiony i nieznoszony. A więc Maroczy zaczął go nosić krótko przed rejssem. Albo dopiero na statku.

Wyjął sznurówki. Podważył wyściółkę i uważnie przyjrzał się zapiętkowi. Długo mocował się z obcasem, zanim go wyłamał. Nic. Otarł pot z czoła. Coraz gwałtowniejszymi ruchami oddzielał podeszwę od podsuwki.

A później zamrugał. Przełknął ślinę. Wypuścił nóż z ręki. Wpatrywał się w to, co właśnie odkrył. Między dwiema częściami buta znalazł to, czego szukał.

Drżącymi palcami wyjął starannie zabezpieczony mikrofilm. A potem drugi.

A więc to tak, pomyślał. Tak wygląda Złoto Renu.

O to toczyła się cała gra. Kompletnie nie interesowało go teraz, co zawierają te mikrofilmy. Liczyło się jedynie to, że miał je w swoich rękach. Rozbebeszył cały but, ale na nic więcej nie trafił. Na wszelki wypadek zajął się jeszcze tym drugim. Ta skrytka to był jednak bluff. Zwyczajna podpucha. Musiał przyznać, że zresztą całkiem udana.

Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Gdzie ukryć znalezisko. Było oczywiste, że nikomu nie może przekazać go w depozyt. Trzymał w ręku polisę na życie Leopolda i zapewne też na swoje. Myślał o tym, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

Dwa, dwa i cztery razy.

Poderwał się z krzesła, rozejrzał wokół, wziął oba buty, a właściwie to, co z nich zostało, i cisnął na spód szafy.

– Chwileczkę! – krzyknął.

Przez moment kręcił się na środku kabiny, dał susa w stronę biurka i ukrył mikrofilmy. Przetarł ręką czoło i otworzył drzwi.

Zaprosił Ninę do środka.

Stanęła blisko wejścia i przyglądała mu się niepewnie. Przygryzła wargę.

– Nie zjawił się pan na obiedzie i poczułam... poczułam się jakoś nieswojo. Pomyślałam nawet, że coś się panu stało...

Podziękował za troskę.

– Jak pani widzi, w przeciwieństwie do Maroczego i Greene’a, miewam się bardzo dobrze. Po prostu nie byłem głodny. I nie chciałem znów słuchać wywodów Wolicy. – Próbował nadrabiać miną.

– Zatem wszystko w porządku? – upewniała się. – Wygląda pan... Jakoś tak dziwnie... – Spojrzała na podłogę, na której leżał nóż. Na scyzoryk znajdujący się na stoliku, sznurówki i oderwany obcas.

Chciałby powiedzieć, że odnalazł Złoto Renu, ale nie mógł tego zrobić. Potwierdził, że czuje się bez zarzutu. Posprząta tylko trochę, ogarnie się i przed kolacją jeszcze wyjdzie na pokład. Jeśli będzie miała ochotę mu towarzyszyć, poczuje się zaszczycony. Dziś może być piękny zachód słońca.

– Nie wiem jeszcze, co będę robić – odrzekła. – Tak czy inaczej, spotkamy się na kolacji, prawda?

Potwierdził.

Gdy wyszła, odetchnął. A potem klasnął rozradowany jak dziecko.

ROZDZIAŁ 28

Zastanawiał się, gdzie ukryć mikrofilmy. W grę wchodziła kabina Maroczego, wszakże najciemniej jest pod latarnią, jednak ryzyko, że zostanie przeszukana, było zbyt duże. Kajuta Greene'a odpadała z tych samych względów. Wreszcie się zdecydował. Udał się do doktora Adamskiego, wziął plaster i klucz do szpitalnego pokoju. Zrolował dywan i na środku podłogi umocował mikrofilmy. Na powrót rozwinął dywan. Tu nikt niczego nie powinien szukać. Do końca rejsu klucz do pokoju będzie w jego kieszeni. A jeśli przytrafi się jakiś chory? Niech idzie do diabła. Albo niech Adamski położy go gdzie indziej.

Mimo że nie jadł obiadu, nie był głodny. W ogóle czuł się tak, jakby nagle odmłodził o dobrych dziesięć lat. Jego krok stał się sprężysty, zmęczenie i napięcie, nieodłączni towarzysze podróży, gdzieś się ulotniły. Teraz chciał już tylko jednego: żeby ten rejs dobiegł końca. Następnego dnia dotrą do Rio. Pierwszego września znajdą się w Argentynie. Zamknął oczy.

– Widziałem wielkiego białego wieloryba – usłyszał. Ksiądz Piotr Marek pojawił się niespodziewanie.

Abramowski spojrzał na duchownego. Źrenice jego oczu były nienaturalnie duże.

– Zapytałem go: „Czego chcesz?”, a on z wnętrzości swoich bluzgnął mazią, a potem przemówił: „Was wszystkich chcę”. – Piotr Marek mówił cicho. Nie potrzebował słuchaczy. Przemawiał do samego siebie.

– Ksiądz się dobrze czuje? – zapytał Abramowski.

Kapłan nawet nie zwrócił na niego uwagi.

– A dalej mówił tak: „*Ego non baptizo te in nomine patris, sed in nomine diaboli!* Uczyń ze swego krzyża najtwardszy harpun i zapamiętaj, że to jest twarde, co powinno być miękkie, a miękkie to, co powinno być twarde”. Później odpłynął. I zobaczyłem pomarańczową kulę na niebie, która zamienia się w pięść ognistą, spomiędzy palców zaś wyciekały strużki krwi.

– Ksiądz powinien...

– I będzie tak, jak chciał Ezechiel, że wstanie Gog z krainy Magog wraz z zastępami swymi, ja zaś wsunę wędzidła w szczęki wasze, nie będzie już dnia i nocy, bo zniknie czas, i bitwa ostatnia odmieni oblicze ziemi. Tej ziemi. – Popatrzył na Abramowskiego niewidzącym wzrokiem. – Tako rzecz wielka morska bestia, a skoro rzekła, nie ma odwołania...

Odwrócił się i odszedł. Szeptał coś jeszcze, ale Abramowski nie był w stanie już nic zrozumieć. Jedno było dla niego pewne: ksiądz znajdował się na progu jakiegoś szaleństwa. A może nawet już ten stopień przekroczył. Zastanawiał się, czy powinien kogoś o tym powiadomić albo ostrzec. Zrobił dwa kroki, po czym nagle się rozmyślił. Pokręcił głową. Dopóki klecha chodzi i wygaduje głupstwa, wydaje się niegroźny. Uznał, że nie będzie się w to angażował. Miał zupełnie co innego na głowie.

Wypalił papierosa, później drugiego. Nie przyznałby się przed sobą samym, że wypatruje Niny, ale tak w istocie było. Dziewczyna się nie zjawiała. Pomyślał, że może jednak dobrze się stało. Co miałyby jej powiedzieć, żeby zabrzmiało to z sensem? Spojrzał w bok i zobaczył inną. Zawahał się i rozejrzał. A potem podszedł do Konopackiej. Byli tego samego wzrostu.

– Pani tak dzisiaj sama? Bez męskiego ramienia? – Głupszej zaczepki nie udało mu się wymyślić.

Nawet nie zwróciła na niego oczu.

– Ma pan na myśli pana Staszewskiego?

Przytaknął.

– Widuję państwa dość często razem.

Westchnęła.

– On teraz o tym księdzu ciągle opowiada. Jakby go opętało.

– Jeśli chodzi o księdza, to...

– Nie. Mam na myśli Staszewskiego. Jego opętało.

Rozmawiali dłuższą chwilę. Uważny obserwator zauważyłby, że dziewczyna, zapatrzona w ocean, początkowo puszcza słowa Abramowskiego mimo uszu, lecz nagle następuje zmiana. Obraca się gwałtownie. Chwyta go za rękę. Potrząsa głową i coś tłumaczy. Prosi o papierosa. Potem zaś, jakby zrezygnowana i nagle o pół głowy niższa, porzuca rozmówcę i znów wpatruje się w wodę.

Zszedł na dół. Stał przed lustrem, wiązał krawat i myślał, czy dobrze robi, ratując innych z kłopotów. Przecież sam co rusz wpadał w tarapaty, wdawał się w awantury, pokonywał życiowe zakrętas, owszem, miewał farta i ostatecznie spadał na cztery łapy, ale trudno było to nazwać szczęśliwym życiem. Chyba po prostu inaczej żyć nie potrafił. Pomyślał o Konopackiej. W końcu dziewczyna zrobi to, co zechce. Ma wolny wybór.

Szedł do jadalni, gdy zobaczył Pedersenów. Byli kilka kroków przed nim. Pomyślał o Delegacie. Przypomniał sobie Hiszpanię. I znów jakby napięła się w nim niewidzialna sprężyna. Mógł odpuścić, ale nie potrafił. Instynkt podpowiadał, że wpakuje się w kolejne kłopoty. Miał przecież to, co chciał, zdobył Złoto Renu i powinien z nim bezpiecznie dopłynąć do celu. Ale teraz, widząc tych dwoje, nie potrafił zachować się inaczej. Był to winien tym, którzy zginęli w Hiszpanii od strzałów w tył głowy.

Wolny wybór. Tak to działa.

Przyspieszył kroku i przytrzymał drzwi. Kobieta podziękowała, a Duńczyk się skłonił.

– Przepraszam – powiedział Abramowski. – Już dawno miałem pana o to zapytać, ale jakoś nie było okazji.

– Tak? – Pedersen spojrział na niego zaskoczony.

Odsunęli się od drzwi, żeby przepuścić innych pasażerów.

– Jak panu podobał się Dakar?

– Dakar? – Duńczyk ściągnął brwi.

– W czasie postoju poszedł pan do miasta. Widziałem pana w kawiarni.

– To chyba jakaś pomyłka. – Pedersen pokręcił głową. Jego twarz miała niezmiennie cierpiętniczy wyraz. – Nie byłem w żadnej kawiarni.

– Mój mąż w ogóle nie schodził na ląd – wtrąciła kobieta.

– Och... Rzeczywiście musiałem się pomylić. – Abramowski uśmiechnął się przepaszająco. – Widocznie natknąłem się na kogoś ładząco do pana podobnego. Ale język rosyjski pan zna?

– Rosyjski?

– Tego jestem pewien... Założę się o wszystko, że słyszałem, jak mówi pan po rosyjsku. Bardzo biegle zresztą...

Pedersen wpatrywał się w niego uważnie.

– Na pana miejscu bym się nie zakładał – odparł powoli. – Nie mówię po rosyjsku. Skąd ten pomysł? Jedyne słowo, jakie znam, to *sobaka*. Pies. – Zwrócił się do żony. – W ogóle mamy dziś jakiś wieczór pomyłek.

Abramowski rozłożył ręce i przeprosił go raz jeszcze. Obojgu życzył smacznego. Wyraził nadzieję, że się jeszcze w czasie rejsu spotkają.

Podczas kolacji kilkakrotnie wychwycił spojrzenie Niny. Był pewien, że popołudniowa ekscytacja, spowodowana odkryciem mikrofilmów, dawno już ustąpiła, ale czy nie zastąpił jej nowy symptom? Pomyślał o Pedersenie. Przecież właśnie podłożył bombę. Uruchomił zapalnik. Zegar zaczął tykać. Nie wiadomo jeszcze, kiedy nastąpi eksplozja i jaką przybierze siłę, był jednak pewien, że Duńczyk jakoś zareaguje na to, co usłyszał. Rzucił okiem na stolik, przy którym jadła Konopacka. Dziewczyna siedziała naburmuszona i jakby nieobecna. One obie, Konopacka i Lusja, mogłyby być teraz siostrami. Żona Wolicy dochodziła do siebie po śmierci myśliwego. Cienie pod oczami znikły. Ciekawe, czy pamięć o ludojadach i dzielnym łowcy była już odległą przeszłością, czy stanie się nią za chwilę.

Po kolacji chodził po statku. Ponieważ tego wieczora także zrezygnowano z dansingu, pasażerowie skupili się w barze. Tartakower zbierał chętnych do partyjki brydża. Wpadł doktor Adamski, wychylił dwie kolejki i niespodziewanie rozgadał się o alpinizmie. Okazało się, że jego krewny, siódma woda po kisielu, ale jednak, brał udział w wyprawie na świętą górę Hindusów. Ponad siedem tysięcy metrów. Trudno sobie wyobrazić, jak tam jest. On sam, gdy wchodził po krętych schodach, doznawał zawrotów głowy i dlatego zrezygnował z praktyki.

Inżynier Kołupajło, uwolniony od politycznych sporów z Zarembą, rozprawił z przejęciem o amerykańskich hydroplanach. Regularne loty między Ameryką a Europą stały się właśnie faktem. Świat znów się skurczył, a odległy kontynent znalazł się na wyciągnięcie ręki. Jeszcze chwila i za sprawą potężnych silników gwiazdowych firmy Wright, w które wyposażano boeingi, rejsy statkami przejdą do historii.

– Nie trzeba będzie się męczyć z takimi kreaturami jak ten dziennikarz. A przynajmniej męczarnie nie potrważą długo – mówił inżynier.

Nagle zamilkł.

W barze zapanowała cisza. Brydżyści spojrzeli znad kart.

W drzwiach stał Staszewski. W porwanej koszuli. Ze zmierzwionymi włosami i rozbitą wargą.

Nie czekał, aż zapytają go, co się stało.

– Cały dzień chodziłem dziś za tym księdzem. Czułem, że coś się wydarzy. Po kolacji Piotr Marek opuścił część statku przeznaczoną dla pasażerów i poszedł do maszynowni, a ja krok w krok za nim. Potem zaczął majstrować przy kablach elektrycznych. Hałas panował tam potworny.

Mówił jak człowiek śmiertelnie zmęczony. Powoli i niezbyt głośno, ale i tak wszyscy słyszeli każde słowo. Barmani przestali dzwonić szkłem, a kelnerzy stanęli bez ruchu.

– Krzyknąłem: „Co ksiądz robi?!”. Nie drgnął nawet. Złapałem go za rękę. Dopiero wtedy spojrzał na mnie. I jakby się ocknął. Rozpoznał. Złapał mnie za

koszulę. A później wyrznął w twarz. Nigdy nie otrzymałem takiego ciosu, a coś o tym wiem.

Opowiadał półgębkiem. Przeszkadzała mu rozbita warga. Ktoś podał mu wodę. Inny przyniósł kufel z piwem.

– To był klasyczny bokerski nokaut. Gdy się ocknąłem, znów dłubał przy kablach. Rozejrzałem się. Był tam stołek. Nie zastanawiałem się długo i zderzyłem go w głowę. Potem jeszcze raz. A gdy upadł, pobiegłem po pomoc.

Staszewski został zasypany pytaniami. Rozglądał się bezradnie po barze. Być może wciąż był oszołomiony. Doktor Adamski uznał, że trzeba się nim zająć.

– Tylko dokończę – Staszewski sapnął. – Krępowano go czterech marynarzy, potężnych chłopów, i z trudem dali radę. Przywiązali go do jakiejś deski. A on się wyrywał i krzyczał: „Spalić! Wszystko spalić!”. To wariat. Spłonęlibyśmy żywcem.

Zamilkł zmęczony.

Zaczął się to, co zwykle dzieje się w takich okolicznościach. Do Staszewskiego podchodzili ludzie, poklepywali go, gratulowali mu, dziękowali, a on mamrotał, że nie jest żadnym bohaterem, że po prostu coś go tknęło, a później zrobił tylko to, co zrobiłby każdy, gdyby był na jego miejscu.

Abramowski zszedł do kabiny. Zamknął drzwi, a klucz zostawił w zamku. Rozebrał się i położył na łóżku. Myślał o tym, co zaszło.

Jak to powiedział Pedersen? Mamy wieczór pomyłek.

On sam zlekceważył tego szalonego księdza. Zastanawiał się, czy klecha rzeczywiście puściłby ich z dymem. Wątpliwe. Doprowadziłby do jakiegoś zwania albo sam padł rażony prądem. Ale nie można przecież wykluczyć poważniejszej katastrofy. Czy dobrze zrobił, że porozmawiał z Konopacką? Wprawdzie Staszewskiemu daleko było do odgrywania roli bohatera, ale nachodziły go teraz wątpliwości. Może należało zostawić sprawy samym sobie i się nie mieszać.

Pozostał Duńczyk. Oraz pytania. Pierwsze: czy Pedersen zareaguje na to, co usłyszał przy wejściu do jadalni? Odpowiedź znał, więc zadał kolejne. Jeśli tak, to

w jaki sposób to zrobi? Pytanie ostatnie: kiedy?

Stało się i się nie odstanie.

Leżał i docierało do niego, że nie może pozwolić sobie na kolejny błąd albo niedokładność. Wstał i podszedł do biurka. Wyjął z szuflady berettę. Wsunął pistolet pod poduszkę i zasnął.

ROZDZIAŁ 29

Z pokładu transatlantyku patrzył na port w Rio.

Był poniedziałek. Jeszcze cztery dni, pomyślał. W piątek wszystko się skończy.

Tylko nieliczni zdecydowali się zejść na ląd. Przewodniczący Kałuży, który opisywał podróżnym, jak niebezpieczne bywają przyportowe brazylijskie uliczki, i to nie tylko nocą, ale i za dnia, najwyraźniej zrobiły wrażenie.

Niektórzy kończyli w Rio swoją podróż. Wokół bruchatej niemieckiej parki, tańczącej tango na parkiecie, zaroilo się od tragarzy, którzy stoczyli między sobą regularną bitwę. Holendrzy, ci, co tak wywijali charlestona, pomachali w stronę statku. Bez nich ostatnie wieczorki taneczne nie będą już tak barwne.

Dwóch karcianych oszustów opuściło statek ze skutymi rękami. Czterech marynarzy znosiło księdza po trapie. Duchowny wykrzykiwał coś o białym wielorybie i odkupieniu. Na nabrzeżu czekał samochód z czerwonym krzyżem i to w nim znikło wielkie ciało kapłana. Piotr Marek dotarł do Brazylii, ale było wątpliwe, żeby w najbliższym czasie mógł udzielać wsparcia zagubionym emigrantom. Jego samego czeka kardiazol, a może wręcz nowatorska metoda elektrowstrząsów. Albo podobne atrakcje, które zwykło się fundować regularnym wariatom.

Uwagę Abramowskiego przykuł jednak inny obrazek. Kapitan Eustazy Rozwadowski stał na nabrzeżu z dwoma policjantami i żywo gestykułował. Towarzyszył mu Kałuża, który najpewniej występował w roli tłumacza. Rozwadowski machnął ręką, dał znak oficerowi, odwrócił się na pięcie i zrobił

kilka kroków. A potem zmienił zdanie. Wrócił do policjantów i znów zaczęły się jakieś negocjacje.

Abramowskiemu udało się dopaść Kałużę, gdy odpływali do Santos.

– Co tam się działo? – zapytał. – Widziałem, jak kapitan spiera się z miejscową policją.

– Chcieli wejść na pokład. Bez specjalnych pozwoleń. Stary powiedział im, żeby poszli do diabła. I wie pan, co oni na to? Że policja prezydenta Vargasa z nikim się nie patyczkuje. I że uwiężą statek. A wówczas nie wypłyniemy na czas.

– To zwykły szantaż. Są chyba jakieś przepisy międzynarodowe.

– Tak mówił kapitan. Oni tylko się roześmieli. I odparli, żebyśmy się domyślili, w jakiej części ciała mają te przepisy. No więc pozwoliliśmy im wejść. Właściwie to nie tamtym, tylko dwóm przyjemniaczkom w garniturach. Wie pan, co ich interesowało? Kajuta Maroczego. I Greene'a. Nic więcej. O śmierci tego pierwszego dowiedzieli się od nas i, widziałem, wywarło to na nich pewne wrażenie. Zrobili tam, w tych pokojach, kompletny kipisz. Coś czuję, że stewardzi będą je sprząтали do końca rejsu.

A więc, pomyślał Abramowski, przecucia go tym razem nie zawiodły. Brak kontaktu z Greene'em zaalarmował pewnych ludzi.

– Niczego więcej nie szukali? – upewnił się.

– Nie. Porozmawiali jeszcze z naszym doktorem. Określił przyczyny zgonu tych dwóch, pokazał przyjemniaczkom dokumenty, ale ci tylko machnęli ręką. Byłem przy tym. A potem zeszli z pokładu jak niepyszni. – Kałuża się uśmiechnął.

– Szkoda, że kabiny naszego księdza nie widzieli.

– Tak? – Abramowski przeciągnął sylabę.

– Ze względu na... na wiadome wszystkim okoliczności musieliśmy sami spakować jego bagaż. Wie pan, co znaleźliśmy? Mnóstwo buteleczek z laudanum.

– To raczej powinno go wyciszyć...

– Jednych wycisza, a innych nie.

Abramowski zapytał, czy ksiądz rzeczywiście mógł uszkodzić statek. Mógł. I to poważnie. Próbują teraz ustalić, w jaki sposób Piotr Marek dostał się do tej części transatlantyku, gdzie wstęp dla pasażerów jest surowo wzbroniony.

– Powiem panu jedno – rzucił Kałuża na odchodnym. – Chciałbym, żeby ten rejs już się skończył. Bardzo bym chciał.

Abramowski odpowiedział, że podziela jego pragnienia.

Na werandzie spotkał szachistów. Tartakower zatopił wzrok w gazecie. Najdorf drobnymi łykami popijał kawę i patrzył w okno.

Na widok Abramowskiego Tartakower się rozpromienił. Przywołał go do stolika. Wyjaśnił, że był w porcie, tam kupił gazetę. Francuską, sprzed tygodnia wprawdzie, ale stęsknił się już za taką rutyną.

– Ten – wskazał swego towarzysza – nie chciał iść ze mną. Bał się, że dostanie nożem pod żebro. Dobrze by było, bo miałbym jednego groźnego przeciwnika mniej. – Trącił go łokciem, lecz Najdorf pozostał niewzruszony, więc spoważniał.

– Siedzi taki cały czas. W sumie nie ma co się dziwić. Chce pan poznać wieści ze świata?

Zaczął mówić. Ribbentrop z Mołotowem podpisali traktat pokojowy. Teraz Berlin i Moskwa trzymają sztamę, ale on czuje, że w tym porozumieniu musi być coś więcej. Jakies drugie dno. Powtórzył słowa, które Abramowski zapamiętał doskonale. Jedyna dobra wiadomość, ba!, znacznie więcej niż dobra, wiązała się z traktatem, który nasz rząd podpisał z Wielką Brytanią. Warto by widzieć minę i wściekłość Hitlera. Aha, zapomniał, druga niezła wieść jest taka, żeśmy wygrali w piłkę z Węgrami. I to cztery do dwóch. Poza tym jest niewesoło. Kanclerz kategorycznie żąda Gdańska i eksterytorialnego korytarza przez Pomorze. Jakiś niemiecki szaleniec ostrzelał stację kolejową na naszej granicy ze Słowacją. A teraz pora na najgorsze. W całej Polsce kopie się rowy przeciwlotnicze. W Rzeszy wprowadzono kartkowy system racjonowania żywności.

– To może oznaczać tylko jedno. Niestety – urwał, spojrzał na Najdorfa i natychmiast uciekł wzrokiem.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Wiem. – Tartakower się uśmiechnął. – Mam swoich informatorów, jak to mówią. Nawet w Rio.

– Co na to wszystko brazylijski rząd?

Tartakower się skrzywił.

– Ten ich cały Vargas to jeszcze jeden latynoski satrapa. Ale sprytnie lawiruje między Hitlerem, Anglikami i Francuzami. Właściwie nie wiadomo, jakie ma poglądy. Generalnie ma to wszystko gdzieś, bo zajmuje się wrogami we własnym kraju. Natomiast Argentyna... Tam panuje jakaś miłość do Hitlera. I podobno jeszcze Watykan wtyka swoje trzy grosze... Dziwnie to ponoć wygląda. – Klepnął Najdorfa w ramię. – Ruszmy się. Z takiego siedzenia nic nie wynika. Poza czarnymi myślami.

Abramowski doskonale rozumiał nastrój młodszego szachisty. Jeśli wybuch wojny zastanie ich na środku oceanu, albo nawet w Buenos, co wówczas będzie? Czy uda im się przedostać do Europy? Przynajmniej tyle wiedział, że w Ameryce nie zostanie za żadne skarby. Chyba że ich internują. Przecież tego także nie można wykluczyć. Co z jego bratem? Czy więzionych w Polsce obejmie amnestia i czy chwycą za broń? Myśli o Leopoldzie rozrywały mu serce. Czy będzie umiał mu pomóc? Czy zdąży powrócić na czas?

Zamówił koniak. A potem drugi. Do kawy.

Siedział na werandzie, rozmyślał, unosił filiżankę i wtedy go zobaczył. Zadrżała mu ręka, a strużka kawy spłynęła na koszulę. Zaklął w duchu. Diabli go teraz nadali. Gombrowicz szedł wolno, a przed sobą, na wysokości oczu, trzymał kartkę i coś mamrotał pod nosem. Drugą ręką wykonywał w powietrzu zawijasy. Wyglądał jak dyrygent, który czyta partyturę. Wydawało się już, że go minie, ale nie, zatrzymał się w pół kroku.

– Świetnie, że pana widzę – powiedział. – Znakomicie, że pije pan kawę. – Usiadł w fotelu. – Proszę posłuchać. Zacząłem pisać nową powieść.

– Wie pan... nie bardzo jestem w nastroju.

– Jestem ciekaw pańskiego zdania – Gombrowicz rzekł niezrażony. Chrząknął. Spojrzał na kartkę. Zaczął czytać. – Natenczas Gruby popija, Podgardle mu Drży, bielmem oka Łypie, a wszem i wobec oznajmia, że pyszna ta Kawa, wszyscy mu zaś Potakują, Wtórują, Czapkują...

Abramowski skulił się w sobie.

– Przepraszam, zdawało mi się, że miał pan zamysł, żeby pisać o gó...

– Porzuciłem ten pomysł – uciął Gombrowicz. – Słuchać! – rozkazał. – Czapkują, z dzióbka piją, że kawa, kawunia, Kawusia, Kawa nad Kawami, rarytas, delicja i Unikat... – Przerwał czytanie. – Wie pan, kto to ten Gruby?

– Nie.

– Ten nafciarz, z którym siedzi pan przy stole. Wolica. To będzie tak zwana powieść z kluczem. A teraz słuchać!... Unikat, choć w głębi Ducha się krzywią, Pomstując i przy tem...

– Chyba mówi się „przy tym” – wtrącił Abramowski.

– „Przy tem” to archaizm. Użyłem go celowo. Nazywamy to stylizacją językową. Wracajmy!... Przy tem czarnej polewki wielce nienawidząc. Lecz teraz oto na kolanka Grubemu, hopla!, wskoczyć są gotowi jak ptakowie jacy... – Urwał. Surowo patrzył na słuchacza. – Ptakowie jacy – powtórzył jak nauczyciel badający wiedzę ucznia.

– Archaizm – powiedział cicho Abramowski. – Zastosowany celowo...

Pisarz się rozpromienił.

– Świetnie! Widzę, że pan łapie! A teraz najlepsze. Proszę słuchać... Ptakowie jacy, a nawet ten Ponury, Brodaty, co rozchmurza się jeno... – Gombrowicz uśmiechał się chytrze. – Ponury, Brodaty. Wie pan, o kim mowa?

– Nie.

– O panu! – Triumfował. – Rozchmurza się jeno, gdy widzi Panienkę i drapanie za Uszkiem czuje...

– Jaką panienkę? – Abramowski się obruszył. – Drapanie za uszkiem? Co też pan?

– Wydaje się panu, że nie wiem, jak na siebie patrzycie? Pan oraz ta dama, co siedzi przy stoliku? Nie mówię o Wolicowej, bo to mumia prawdziwa, ale o tej drugiej. Pan na nią. Ona na pana. Łyp! I tak przez cały czas. – Uniósł ręce. – Proszę nie zaprzeczać. A nawet gdyby tak nie było, to państwa romans pasuje mi do książki. Literatura nie jest dla mięczaków. Narrator nie może być czuły. Nie może być rozedrganym chlapiącym mazgajem. A pisarz musi być prawdziwym twardzielem. Takim jak ja. – Stuknął się palcem w pierś. Potem wrócił do lektury. – Drapanie za Uszkiem czuje, On też nosem Niucha i kontent jest wielce, że Wszystko na Kawę zeszło tak udanie. Lecz wtedy Grubemu oczy w słup stanęły, czerepem potrząsa i jak nie zakrzyknie, że to psia jucha, a nie Kawa, sroży się, brew Marszczy, jak Koń parska, Kawa go teraz w ząbki kole, a Wszyscy jak jeden Mąż Dyjabła wzywają, Licho przywołują, Wciórnościami straszą, Kelnera krzyżować gotowi. – Odłożył kartkę. – Podoba się panu?

– Właściwie... O czym to jest?

– Jak to: o czym? – Gombrowicz zamachał ręką. – O mechanizmach. O podporządkowaniu. Może pan to nazwać konformizmem, jeśli chce. W literaturze zawsze chodzi o mechanizmy. – Wstał. – Ale my tu gadu-gadu, a trzeba wracać do pracy. A pan powinien zmienić koszulę. Pochlapał się pan kawą... Kawunią. Kawusią. Przyjdzie panienka, zobaczy pana w tym stanie... Nie można być takim flejtuchem.

Odszedł z kartką przed oczami.

Abramowski trwał nieruchomo. Pomyślał, że jeśli z takich Gombrowiczów dałoby się produkować bomby, nigdy nie przegralibyśmy żadnej wojny.

Zjadł obiad, zdrzemnął się, wciąż z pistoletem ukrytym pod poduszką, a gdy się zbudził, był w znacznie lepszym nastroju. Może nie będzie tak źle. Może to całe czarnowidztwo jest przesadzone i wszyscy wkrótce, wspominając je, będą się śmiali.

Oporządził się, użył, o dziwo, nawet grzebienia. Stał przed lustrem i długo patrzył w swoje odbicie. Potem wsunął berettę do szuflady, wyjął zaś aksamitny

woreczek. Schował go do kieszeni. Decyzję podjął już wcześniej, uznał jednak, że teraz nadszedł ten moment. Był już w drzwiach, gdy zawrócił. Raz jeszcze podszedł do biurka i stał jakiś czas przy nim.

Dwa stuknięcia, dwa i jeszcze cztery. Nina otworzyła drzwi i poprosiła, żeby dał jej chwilę. Umówili się na leżakach. Rio już dawno znikło za horyzontem. Nie było to łatwe, ale znalazł takie miejsce, gdzie mogli być sami.

– Widzę, że stroni pan od ludzi. – Opadła na leżak. Skrzyżowała nogi. Miała na nich sportowe obuwie.

– Zdaje się, że to nas łączy – mruknął.

– Coś jeszcze nas łączy?

Znał już ten ton. Uśmiechnął się. Opowiedział jej o spotkaniu z Gombrowiczem. O drapaniu za uszkiem. Ona na niego łypie, a on na nią. Albo odwrotnie. Bez znaczenia.

Nina śmiała się w najlepsze. Jej oczy błyszczały. Poprosiła, by opowiedział wszystko jeszcze raz. Znów zaniósł się śmiechem.

– Muszę koniecznie, jeszcze przed końcem rejsu, poznać pana Gombrowicza. Zdaje się, że jest niesłychanie zabawnym człowiekiem. A panu należy się nagroda. – Niespodziewanie się pochyliła i cmoknęła go w policzek. – Na więcej proszę nie liczyć – zastrzegła. – Chwilowo nie nadaję się do drapania za uszkiem, jak ujął to pan Gombrowicz. – Być może w ogóle się do tego nie nadaję.

Opowiedziała mu, jak zakochała się pierwszy raz. Miała wtedy piętnaście lat. Niecałe piętnaście. Jej kuzyn był starszy o cztery lata. Dostała wtedy gorączki. Leżała bez przytomności prawie dwa dni. Roiała w malignie, że uciekli gdzieś na koniec świata i żyją razem pośród dzikich zwierząt i najbardziej egzotycznych roślin. A gdy doszła do siebie, zwierzyła się z tego pierwszego zakochania ciotce, aktorce i rodzinnej skandalistce. Kobieta wysłuchała ją z życzliwością i czymś w rodzaju współczucia. Potem nakazała napisać list. Nina cyzelowała go przez cztery dni, skreślała, poprawiała, przepisywała na nowo, wreszcie był gotów. Ciotka obiecała, że wyśle pod właściwy adres. Nigdy nie doczekała się odpowiedzi.

– Jaki z tego płynie wniosek? – Spojrzała na Abramowskiego.

Siedział ze zmrużonymi oczami.

– Że listy należy wysyłać zawsze samemu.

Roześmiała się.

– To jeden. A drugi jest taki, że najlepiej ich nie pisać w ogóle. A już na pewno nie w miłosnym afekcie. I nie do mężczyzn.

Siedzieli w milczeniu. Abramowski wsunął rękę do kieszeni.

– Wszyscy dziś mówią o wojnie. Wszyscy z wyjątkiem pana – poprawiła się.

Abramowski nie zareagował.

– Zastanawiam się, co będę robić w Argentynie. Może będę uczyła języków obcych? Znam przecież kilka... Poradzę sobie, jestem wykształcona... Na pewno nie zostanę żadną niańką ani opiekunką... Zresztą i tak nią jestem. Mam przecież Jula... Nie skończę też jako kura domowa... – Mówiła bardziej do siebie niż do niego.

– A pan? Jakie są pańskie plany?

Pochylił się.

– Proszę. Proszę to przyjąć. – Wcisnął w jej dłoń woreczek.

Drgnęła, jakby nagle wyprowadził ją z transu.

– Co to jest? – zapytała cicho.

Milczał.

Chwyciła za sznurki, a potem, gdy spojrzała na zawartość woreczka, poderwała się z leżaka. On także wstał.

– Skąd pan to ma? Znalazł to pan tu, na statku, prawda? – zasypywała go pytaniami. – Nie mogę... Nie mogę tego przyjąć! Nie mogę dać nic w zamian!

– Proszę mi wierzyć, tak będzie najlepiej – powiedział łagodnie. Zacisnął jej palce na aksamicie. – Dla wszystkich. Ja zaś niczego nie oczekuję.

Odwrócił się i zostawił ją samą.

– Panie... panie Edwardzie! – Pierwszy raz zawołała go po imieniu.

Nie zatrzymał się i zszedł na dół. Otworzył drzwi kabiny, zrobił dwa kroki i przystanął. Zaczął się rozglądać.

Coś było nie tak. Ktoś tu był. Nie potrzebował na to dowodów. Wystarczały mu doświadczenie oraz intuicja.

Pozornie wszystko było bez zarzutu. Wszystkie rzeczy znajdowały się tam, gdzie je pozostawił. Koszula wisiała na oparciu krzesła nieco niedbale, tak jak wcześniej. Krawat i reszta też. On wyczuwał jednak czyjąś obecność.

Wyjął długopis z kieszeni i podszedł do biurka. Wsunął go we wnękę szuflady. Nie domknął jej przed wyjściem. Długopis powinien wsunąć się na styk.

Było inaczej. Wnęka była o pół centymetra większa. Beretta leżała na swoim miejscu, koperta ze zdjęciem także, ale on już nie miał wątpliwości.

Ktoś przeszukał jego pokój.

ROZDZIAŁ 30

Mijały kolejne godziny, które nie przynosiły nic niezwykłego. Nikt więcej nie włamał się do jego kajuty ani nie próbował odebrać mu życia. Nikt nie zwariował. Abramowski na wszelki wypadek nie rozstawał się już z pistoletem. Berettę skrywała marynarka nie pierwszej świeżości, ale teraz nie mógł oddać jej do prania. Posiłki jadali w tym samym gronie i nikt już nie spoglądał na miejsce, które zajmował Maroczy. W barze stawiano sobie kolejki, a zespół grał dobrze znane Abramowskiemu szlagiery. Jedynie Nina unikała jego wzroku, on z kolei uznał, że nie powinien się narzucać. Oboje nie do końca wiedzieli, jak zachowywać się wobec siebie. Abramowski wyrzucał sobie nadmierną impulsywność, która postawiła dziewczynę w niezręcznej sytuacji. Mógł przecież ten woreczek z diamentami zwyczajnie jej podrzucić. A tak? Zrobiło się jakoś dziwnie, wręcz nieprzyjemnie.

Gdy osiągnęli Santos, zaczął odliczać czas, który został do końca. W porcie nie zszedł na ląd. Widział, jak Kałuża obsobacza dwóch marynarzy, którzy chcieli wymknąć się chyłkiem. „Kiłę, rzeźączkę i wszelkie inne gówna łapcie po rejsie, ale nie teraz!”, wrzeszczał na biedaków. Nie było zmiłuj. Obaj do końca rejsu mieli pełnić psią wachtę.

Natknął się na Staszewskiego. Jego twarz była wciąż opuchnięta.

– Gdzież pańska dama? – zapytał. – Powinna być razem z naszym bohaterem.

Oczy mężczyzny się zwęziły.

– Dama? Chętnie bym panu powiedział, co o niej sędzę. Nie uwierzy pan. Przyłapałem dziwkę z jednym marynarzem. A ona do mnie, żebym się odczepił. I że jestem zwykłym alfonsiem.

– Nie do wiary...

– Ktoś jej musiał nagadać bzdur na mój temat. Niech ja dorwę tego skurwego syna! – Staszewski miotał gromy.

Ostatnie zabudowania portowe dawno już znikły, gdy zmieniła się pogoda. Najpierw mocno dmuchnęło, a niebo całkiem poblądło. Ni stąd, ni zowąd zaczęła się ulewa. Pęd wiatru układał krople w długie serpentyny. Abramowski był jeszcze na pokładzie, kiedy smagnął go rozpędzony deszcz. Błyskawica przecięła niebo. W jednej chwili przemókł od stóp do głów. Odezwały się dzwonki alarmowe wzywające wszystkich podróżnych na dół. Zbiegł wraz z innymi.

Bujało coraz mocniej. Fale trzaskały o statek z coraz większą siłą. Pasażerowie zgromadzili się w jadalni. Wokół Abramowskiego utworzyła się kałuża. Wszyscy mieli udać się do kabin. I ze względów bezpieczeństwa nie opuszczać ich do odwołania. Ile to potrwa? Kilka godzin. Albo kilkanaście. Tego nie wiedział nikt. Wiadomo było, że wieczór kapitański się nie odbędzie. Abramowski się uśmiechnął. Był niemal pewien, że Rozwadowski, stary morski wilk, wolał sztorm od zabawiania pasażerów.

Gdy mieli się już rozejść, podszedł do Wolicy.

– Przepraszam – spojrzał na Lusię i Terleckiego – chciałbym z panem zamienić kilka słów. Na osobności.

Nafciarz patrzył na niego zdziwiony. Zawahał się. Zerknął na żonę i sekretarza. W głosie Abramowskiego musiał usłyszeć jednak jakąś determinację i powagę, które przeważyły. Odesłał tamtych dwoje do kabin, obiecał, że zaraz przyjdzie.

– Tak? – Odwrócił się w stronę mężczyzny.

– Nie. Nie tutaj.

Abramowski poprowadził przedsiębiorcę korytarzem. Doszli do pokoju, który zajmował Maroczy. Tak jak przypuszczał, nie był zamknięty na klucz. Weszli do środka. Wbrew temu, co mówił Kałuża, stewardom udało się doprowadzić kabinę do porządku.

Wolica rozglądał się niepewnie.

– Proszę tu zostać do końca sztormu – rozkazał Abramowski. – Pod żadnym pozorem nie wracać do waszej kajuty. Jeśli panu życie miłe.

– Nie... nie rozumiem...

– Proszę zrobić tak, jak mówię! – Abramowski ścisnął go za ramię. Wolica syknął z bólu. – A gdy dopłyniecie do Argentyny, natychmiast zwolnić sekretarza. I rozwieść się z żoną. Jeśli panu życie miłe, proszę tak zrobić. Nie wahać się ani chwili.

Wolica szeroko otworzył oczy. Jego podbródek drżał.

– Pan... pan jest szalony... Najpierw ksiądz... teraz pan... Co pan wygaduje?

– Oni ciebie zabiją, człowieku! – wrzasnął Abramowski. – Nie widzisz tego?

Statkiem zakołysało. Z trudem utrzymali się na nogach. Wolica się trząsał. Wyrwał się z objęć i ruszył do drzwi. Abramowski dopadł go i przycisnął do ściany. Obaj dyszeli.

– Proszę posłuchać... Chciał mi pan dać swój talizman. Odmówiłem. Jedyne, co ja mogę, to dać panu dobrą radę. Proszę tu zostać – Abramowski powtórzył, tym razem spokojniej. – I najlepiej zastawić czymś wejście. A po sztormie powie pan, że stracił przytomność, uderzył się o coś... Albo coś takiego.

Zostawił bezradnego Wolice. Wyszedł i stał jakiś czas przy drzwiach. Nie miał pewności, jak zachowa się przedsiębiorca. Jeśli opuści teraz pokój, zginie.

Uznał, że zrobił wszystko, co mógł. Pobiegł do siebie.

Zrzucił mokre ubranie i się przebrał. Rozległ się trzask, jakby transatlantyk pękał na pół.

Raz już przeżył sztorm na oceanie. Woda zalewała pokład, waliła w bulaje, a skowyt wiatru rozsadzał głowę i zagłuszał wszystko. Statek obrywał ciosy z lewa i prawa, wydawało się, że nie ma ratunku i że jeszcze chwila, a nastąpi koniec. Zaczyna przeciekać luki, a potem woda dostanie się do kabin. Mimo wyraźnego zakazu pasażerowie biegali po korytarzach. Niektórzy przykładali do ust papierowe torebki, inni rzygali gdzie popadło. Potężne meble się wywracały i dziw, że wówczas nikt nie zginął ani nawet nie został ranny.

Teraz fale łomotały w statek, a huk niósł się po całym transatlantyku. Kołysało coraz mocniej, ciało podrywało się z łóżka, raz nawet, w momencie nieuwagi, stoczył się na podłogę. Chwile wytchnienia następowały coraz rzadziej. Kusiło go, żeby przenieść się do pokoju szpitalnego i być bliżej Złota Renu, ale odrzucił tę myśl. Spojrzał na zegarek. Zalany wodą na pokładzie, przestał działać. W takich okolicznościach traci się rachubę czasu i nie był w stanie określić, jak długo trwa nawałnica.

Nagle zgasło światło. Zapadła ciemność. Abramowski wyjrzał na korytarz. Wszędzie panował taki sam nieprzenikniony mrok. Musiało dojść do awarii jakichś urządzeń. Albo kapitan uznał, że ze względów bezpieczeństwa trzeba odłączyć prąd.

Wtem usłyszał odgłos, który nie był chłupotem wody, trzaskiem pioruna ani wyciem wiatru.

Ten dźwięk był zupełnie innego rodzaju.

Wziął pistolet do ręki i podszedł do drzwi. Otworzył je. Na korytarzu nic się nie zmieniło. Panowała ciemność. Statkiem znów zabujało i rzuciło go o ścianę. Na chwilę zrobiło się cicho i usłyszał gruchot tłuczonego gdzieś w oddali szkła. W takich warunkach z niedomkniętych kredensów leciały zastawy i rozpryskiwały się w drobny mak. Zahuczało znowu i kolejne fale natarły na transatlantyk. Zrobił krok, potem kolejny. I jeszcze jeden. Poruszał się po omacku. Na statek nie zabrał ani noża, ani latarki. Pożałowania godne. A teraz odczuwał skutki tego niedopatrzenia.

Co to było? Co to za odgłos? Był pewien, że się nie przesłyszał.

Zrobił następny krok, gdy oślepił go snop światła. Odruchowo zasłonił oczy ręką. Przewrócił się w chwili, gdy padł strzał. Beretta wypadła mu z ręki i poleciała w nieznane. Znowu zapadła ciemność.

Serce waliło jak oszalałe. Potknął się i to uratowało mu życie. Teraz leżał na czymś. A właściwie na kimś. To było ciało. Dotknął męskiej twarzy, trafił na usta i wysunięty język. Poczuł, że ma lepkie ręce, ale to nie on był ranny.

Zrobiło się znowu cicho.

I wtedy usłyszał znajomy kaszel.

Wiedział, że nie może tu leżeć. Oznaczałoby to jedno. Wyrok śmierci. Za moment światło ponownie rozbłyśnie, a Pedersen upewni się, czy trafił.

Poderwał się i zaczął biec. Mógłby ukryć się w pokoju, ale to jedynie opóźniłoby egzekucję. Instykt podpowiadał mu inny kierunek. Światło znów rozbłysło i usłyszał wizg kuli. Przebiegł przez hall, depcząc obrazy, które podczas sztormu pospadały ze ścian.

Znalazł się w jakimś pomieszczeniu, nie był pewien gdzie. Szedł po omacku, wyciągał ręce przed siebie, potknął się o jakiś stolik i rozbił kolano. Natrafił na regał. Wymacał grzbiety książek. Był w bibliotece.

Miejsce to w oczywisty sposób było śmiertelną pułapką. Nie miał w nim żadnych szans. Zrobił krok, gdy strumień światła ogarnął jego stopy, korpus, wreszcie głowę.

Cofnął się i osłonił twarz. Ale strzał nie padł. Nie wiedział, na co tamten czeka. Światelko drgnęło i Pedersen ruszył do przodu. Abramowski widział jedynie kontur postaci.

I wówczas zatrzęsło statkiem jak nigdy wcześniej. Rozległ się rumor, szelest przypominający odgłos ptasich skrzydeł, gdy spadały książki, a później jęk. Światło zgasło.

W ułamku sekundy zrozumiał, co się stało. Przewrócił się jeden z regałów i powalił Duńczyka. To była jego szansa. Kolejnej nie będzie.

Sprężył się do skoku. I wtedy światło znów rozbłysło, ale cieplejszym, żółtym snopem.

To nie była latarka Pedersena.

Ktoś stał w drzwiach.

Oświetlił jego postać, po czym błyskawicznie poświecił na ziemię. Mignęły czarne buty Duńczyka i rozrzucone książki. Potem padł strzał. I drugi.

Abramowski uniósł ręce i trwał bez ruchu.

– Niezły bałagan się tu narobił – rozległ się znajomy głos. Tym razem nie była to żalosna francuszczyzna, lecz płynny angielski. – Marynarze mają teraz ręce pełne roboty, ale nie można tego tak zostawić. Ktoś tu musi po panu posprzątać, zanim skończy się sztorm.

ROZDZIAŁ 31

– Słaby z pana detektyw. Ale przynajmniej papierosy ma pan dobre. – Cornel Corneliu zaciągnął się i zamknął oczy.

Zziębnięci i przemoczeni odnaleźli marynarzy, a ci kazali im iść do diabła. Dopiero po dłuższych tłumaczeniach pognali po Kałużę. Oficer patrzył na nich z furią w oczach, a potem nakazał podwładnym wziąć się do dodatkowej pracy. Wkrótce dwa ciała znalazły się za burtą.

– Mogliście zabić ich na pokładzie – warknął do Abramowskiego. – Już dawno byliby w wodzie. I krwi by nie było.

Sztorm słabł, sytuacja powoli została opanowana, pojawiło się światło. Pasażerów wciąż obowiązywał zakaz wychodzenia z pokojów.

Siedzieli we dwóch w kajucie Abramowskiego. Z opustoszałego baru Corneliu przyniósł butelkę koniaku. Kieliszków nie znalazł, więc popijali z butelki.

– Musimy wyjaśnić parę spraw – powiedział Corneliu. – Co tu, na korytarzu, robił ten człowiek? Ten sekretarz pana Wolicy.

– Szukał go. Ostatni raz widział go, jak rozmawialiśmy, więc przyszedł tutaj. Pedersen zabił go przez pomyłkę. Pewnie myślał, że to ja się włóczę po korytarzu. A gdyby go nie zabił, to... To być może Terlecki zabiłby Wolice.

Brwi Cornela Corneliu zbiegły się w charakterystyczny sposób.

– Dlaczego?

Abramowski wytłumaczył, jakie relacje panowały między królem, białą królową i gońcem.

Corneliu wziął sążnisty łyk. Otarł dłonią usta.

– Zanim zadam panu najważniejsze pytanie, właściwie: dwa pytania, muszę coś wytłumaczyć.

Naprawdę nazywał się Robert Cornelius i urodził się w Liverpoolu. Owszem, w jego żyłach płynęła domieszka rumuńskiej krwi, ale nie było jej tyle, żeby paradować bez powodu w tej głupiej zielonej koszuli Żelaznej Gwardii i czcić bałkański faszyzm. Nie był żadnym religioznawcą, za to jego brat rzeczywiście demaskował oszustów w największych kasynach. Dlaczego znalazł się na statku? Brytyjski wywiad miał Maroczego od dawna na oku. Rzeczywiście, Węgier był psychoanalitykiem i psychiatrą, kiedyś nawet dość cenionym. Poza tym pracował dla Niemców, chociaż nie było do końca jasne, czy ostatnio nie zaczął kiwać swoich mocodawców i grać we własną grę. Powody wyprawy do Argentyny nie były więc do końca znane, panowało natomiast przekonanie, że Maroczy będzie miał ze sobą cenne dokumenty.

– To, że odgrywałem moją rolę i od razu się z nim zakolegowałem, a także że miałem kabinę obok jego kajuty, nie było przypadkiem. A potem, wraz z jego śmiercią, nastąpiły komplikacje. Wiedzieliśmy, że Pedersen pracuje dla Rosjan, i to od wielu lat. Naprawdę nazywał się Wadim Kiryłow, dopiero później stał się Duńczykiem. Szalenie niebezpieczny człowiek, i to mimo postępującej choroby. W Argentynie mieli zająć się nim nasi ludzie, ale... – Cornelius urwał. – Pan też znalazł się na moim celowniku.

– Tak?

– Zbyt dużo wiedział pan o stanie zdrowia Maroczego. Byłem pewien, że on nie żyje, pan zaś, z jakichś względów, ukrywał tę informację. Poza tym często widywałem pana z tym oficerem, Kałużą czy jak mu tam... Zagadką był dla mnie również ten szachista. Tartakower. Światowiec. Bawidamek. Świetnie umocowany we Francji. Idealny materiał na agenta. Potem pojawił się Greene i także zniknął. Trochę mnie to, nie powiem, zdezorientowało. Ale postanowiłem trzymać się koni, na które wcześniej postawiłem. Pedersena i pana. Gdy zaczął się sztorm, wiedziałem, że coś się wydarzy. Wyszedłem na korytarz. Usłyszałem strzał. A reszta... To już jak u naszego Szekspira. – Zamilkł i wpatrywał się

w Abramowskiego. – Oczywiście mówię to panu nie bez powodu. Po to, by zadać dwa pytania.

Patrzyli sobie w oczy.

– Uprzedzę pana. Odpowiedź na pierwsze brzmi: tak. Mam te materiały.

Cornelius się wyprostował.

– I, oczywiście, nie chce pan mi ich przekazać?

Abramowski pokręcił głową.

– Nie dam ich panu. Są dobrze ukryte. Do końca świata nikt ich nie znajdzie.

Angielski agent nie wyglądał na zmartwionego. Najpewniej takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Patowa sytuacja – dodał Abramowski. – W szachach oznacza to remis.

– Ale w prawdziwym życiu nie ma remisów. Cóż... zanim dopłyniemy do Buenos, może zmienić pan zdanie.

– A jeśli tego nie zrobię? Wówczas w Argentynie zajmą się mną odpowiedni ludzie?

– Och... – Cornelius kwaśno się uśmiechnął. – Tego nie wiem. Przecenia pan moje możliwości. – Spojrzał na butelkę koniaku, ale się powstrzymał. – Jest jeszcze jeden szkopał... Ta dziewczyna...

Abramowski drgnął.

– Dziewczyna?

Cornelius chwilę zwlekał z odpowiedzią. Westchnął.

– Proszę posłuchać...

ROZDZIAŁ 32

Następny dzień minął na szacowaniu strat, sprzątaniu oraz naprawianiu szkód. Kałuża utrzymywał, że był to jeden z najcięższych sztormów podczas jego niekrótkiej już kariery. Wszystkich marynarzy zaprzęgnięto do robót, a i podróżnym, którzy zgłaszali chęć pomocy, przydzielano zadania. Wszędzie natrafiało się na odłamki szkła. Szczątki rozbitej porcelany chrupały pod stopami. Postrącane malowidła wracały na miejsca. Biblioteka była zamknięta na cztery spusty. Do drzwi przypięto kartkę. Pożyczone książki należy pozostawić w kajutach. Zostaną stamtąd zabrane po zakończeniu rejsu. Dywan na korytarzu był zaprany i nic nie wskazywało na to, że rozgrywały się na nim dramatyczne sceny.

Wiść o śmierci kolejnych pasażerów rozeszła się lotem błyskawicy. O Pedersenie i Terleckim plotkowano po kątach. Tacy spokojni, porządni ludzie. Ktoś zaklinał się, że wieczorem usłyszał przeraźliwy krzyk dobiegający z pokładu. Po co tamci wychodzili z kabin? Najwyraźniej nieszczęśliwy wypadek Greene'a nie przemówił im do rozumu. Ci, którzy przetrwali sztorm, będą mieli o czym opowiadać, gdy na lądzie rozsiądą się wygodnie w fotelach.

Pani Pedersen nie zjawiała się na śniadaniu. Oni zaś siedzieli przy stole umniejszonym o kolejną osobę. To dobrze, że rejs ma się ku końcowi, pomyślał Abramowski. Gdyby potrwał dłużej, nikt z nich by się nie ostał. Wolica opowiadał raz po raz, jak przypadkiem zatrzasał się w jakimś pomieszczeniu i uwolniono go stamtąd dopiero wtedy, gdy skończył się sztorm.

– To wszystko moja wina – biadolił. – Gdyby nie moja niezdarność, Terlecki by żył. Dzielny chłopak... Zamartwiał się o mnie... Poszedł mnie szukać. Nigdy...

nigdy sobie tego nie wybaczę...

Co chwila spoglądał na Lusię. Było to jednak inne spojrzenie od tych, którymi wcześniej ją obdarzał. Jakby czujniejsze i trzeźwiesze. Jakby badawcze. Pozbawione mglistego bezwarunkowego uwielbienia.

Lusia odłożyła serwetkę na stół.

– Sam jest sobie winien – szepnęła. – Powinien być ostrożniejszy.

Koniuszkami palców dotknęła dłoni męża.

Ona zajdzie daleko. Bardzo daleko. Z Wolicą albo sama. Królowa znajdzie kolejnego gońca albo się bez takowego obejdzie. Abramowski patrzył na Lusię, a w jego spojrzeniu fascynacja mieszała się z odrazą.

To nie była już jego sprawa. Miał jednak coś jeszcze do załatwienia. Pomyślał o Ninie. Dziewczyna w milczeniu kończyła śniadanie. Dźwięczało mu w głowie to, co powiedział Robert Cornelius.

Gdy skończyli, wraz z Kałużą udał się do kapitana. Opowiedział o zajściach podczas sztormu.

Rozwadowski słuchał w milczeniu.

– Robię to z niechęcią, ale muszę zapytać – odezwał się wreszcie. – Czy oczekuje pan jakiejś pomocy?

Abramowski podziękował. Oświadczył, że ze wszystkim poradzi sobie sam. Mówił to bez większego przekonania, czuł jednak, że nie może postąpić inaczej. Na tym statku i tak wydarzyło się już zbyt wiele. Od początku był zdany tylko na siebie i tylko na siebie mógł polegać teraz.

Na werandę zwabiły go dźwięki fortepianu. Wolica siedział przy instrumencie i grał arię. Szło mu całkiem nieźle i chyba bez większej pomyłki dobrnął do końca.

Miał jednego słuchacza. W wiklinowym fotelu usadowił się Sam. Wolica zaczął grać *Moonlight Serenade*. Czarnoskóry pianista z uznaniem kiwał głową i się uśmiechał. Butem wystukiwał kolejne takty.

Abramowski podszedł bliżej. Wolica grał, a po jego policzkach spływały łzy.

Popołudnie i wieczór przesiedział samotnie. Nikomu nie wchodził w paradę i jedyne, czego chciał, to żeby inni także schodzili mu z drogi. Z dala dobiegały go śmiechy i dźwięki muzyki. Ostatni wieczór na statku, gdy wszyscy powinni być w szampańskich humorach i bawić się do upadłego, spędzał w pieskim nastroju. Dopadła go chandra i uznał, że nie ma co się z nią siłować. Poszedł do pokoju szpitalnego, podwinął dywan i upewnił się, że wszystko jest jak należy. Wrócił do siebie, położył się na łóżku i myślał, co robić. Nie miał oczywistego pomysłu i żaden plan nie konkretyzował mu się w głowie. Tej nocy spał krótko.

Dopłynęli do Urugwaju, ale następny postój nie zrobił na podróżnych większego wrażenia. Ci, którzy mieli wysiąść, wysiedli, reszta przywitała kolejny port dość obojętnie. Niektórzy byli już zwyczajnie zmęczeni rejssem, a poza tym jeszcze tego samego dnia czekało na nich Buenos.

Abramowski obserwował z pokładu, jak po trapie schodzi baronowa Brückner, trzymając na ręce starego jamnika. Gdy stanęła na nadbrzeżu, odwróciła się, spojrzała w górę i pomachała tym, którzy płynęli dalej. Klaas van der Vluppen niósł pudełko wypełnione zapewne cennymi okazami.

Ledwo transatlantyk wypłynął z portu, rozległ się ostrzegawczy dźwięk dzwonka. Pasażerów wzywano do jadalni. To musiał być jakiś pilny komunikat. Abramowski wszedł do sali jako jeden z ostatnich i stanął przy filarze. Podróżni patrzyli po sobie niepewnie, nikt nie wiedział, jaki jest cel tego zebrania. Za chwilę przecież mieli znaleźć się u celu. Czyżby wydarzył się kolejny nieszczęśliwy wypadek?

W drzwiach pojawił się kapitan Rozwadowski. Rozejrzał się po sali. Na Abramowskim zatrzymał się jakby trochę dłużej. Poprawił mundur.

– Panie i panowie, chciałbym zakomunikować, że wybuchła wojna.

W jadalni panowała głucha cisza.

Rozwadowski mówił pewnym głosem. Na statku wiedzieli już o tym od kilku godzin. Czekali na potwierdzenie, by mieć pewność, że nie doszło do pomyłki. Niestety, wieści były prawdziwe. Nie mogło być mowy o jakimś mało znaczącym

incydencie lub kolejnej prowokacji. Zaatakowano Westerplatte. Niemieckie oddziały przekroczyły granicę z Polską. Z oczywistych względów pasażerowie nie będą mogli skorzystać z radiotelegrafu. Przez cały czas prowadzony był nasłuch radiowy. Podróżni proszeni są o zachowanie spokoju i przygotowanie na koniec rejsu. Statek znajduje się na kursie do Argentyny i wpłynie do portu zgodnie z planem. Na nabrzeżu będą czekać przedstawiciele polskiej ambasady. Jeśli pojawią się nowe informacje, przekaże je oddelegowany oficer.

– Wspierajmy myślami naszych żołnierzy – zakończył kapitan. – Albo modlitwą. Zresztą, czym tam chcecie. – Z trudem ukrywał poruszenie.

Posypały się pytania, ale Abramowski już ich nie słuchał. Wiedział, jak będzie. Po pierwszym uderzeniu, po chwili szoku, nastanie popłoch, całkiem zrozumiały w tej sytuacji. Nie miał jednak powodu, by w tym uczestniczyć. Tego tylko brakowało, żeby Zaremba nakazał grać hymn, Gombrowicz dostał biegunki z nerwów, ktoś zaczął recytować wieszczów narodowych, a inny lamentować.

Zanim wyszedł z jadalni, wychwycił przeciągłe spojrzenie Corneliusa.

Wrócił do kajuty i usiadł na krześle. Zamknął oczy.

A więc jednak.

Powróciły te same myśli. Powinien jak najszybciej wrócić do Europy. Ale jak? Którędy? Tego teraz nie wiedział. Druga dotyczyła Poldka. Co z bratem? W jaki sposób ma się dowiedzieć, co z nim? Czuł, że nic nie może zrobić. Bezradność często rodziła panikę, a on powinien w tym momencie panować nad emocjami. Skupić się. Tak jakby siedział przy szachownicy i miał do wykonania podczas partii decydujące ruchy.

Uwolnił głowę od wszelkich ponurych przewidywań. Uznał, że zostały trzy posunięcia. Tak, jak chciałby Tartakower. Ostatnie wykona w pokoju szpitalnym. Ale najpierw musi zrobić dwa inne.

Wstał i wyjął pistolet z szuflady. Podczas sztormu mu nie pomógł, lecz teraz mogło być inaczej. Wsunął berettę za pasek i poprawił marynarkę.

Minał pokój Maroczego i zapukał w kolejne drzwi.

Cornelius stał przy łóżku i zapinał walizkę. Odwrócił głowę w jego stronę.

– Czekałem na pana – rzekł. – Pomoże mi pan z tym cholernym zamkiem? – wysapał.

Abramowski stał w progu.

– Sytuacja się zmieniła – powiedział, po czym wszedł i zamknął drzwi.

Gdy skończyli, wykonał drugie posunięcie.

Dwa, dwa i cztery stuknięcia. Nie miał pewności, czy mu otworzy, ale szybko pojawiła się w drzwiach.

Abramowski przygryzł wargę. Patrzył w zielone oczy.

– Więc jak to miało być? – zapytał cicho. – Miała mnie pani uspić jakimś środkiem nasennym? Otruć? Zastrzelić? Pójść ze mną do łóżka? Zmylić czujność w jakiś inny sposób? Jak miało się to stać? I kiedy? – Spojrzał na zegarek. – Zostało już bardzo mało czasu...

Oczy zrobiły się większe. Wyglądały jak tego dnia, gdy widzieli się pierwszy raz.

– Może jednak wejdzie pan do środka? – zaproponowała.

Usunęła się, żeby go przepuścić, ale poczekał, aż sama się cofnie. Dopiero wtedy wszedł. Juliusz spał. Być może jeszcze nic nie wiedział o wojnie.

Stali na środku kabiny. Dzielił ich metr, nie więcej. Abramowski czuł dyskretny zapach perfum.

– Czyli miało być tak, że ja wykonam brudną robotę, a pani zrobi resztę? Zgarnie mi dokumenty sprzed nosa i przekaże dalej? – Każde zdanie przychodziło mu z trudem. – Wysłali panią za mną. Cała ta dramatyczna rodzinna historia... ta gazetka, którą pani zabrała w podróż, to kamuflaż... Całkiem dobry zresztą... Jedna rzecz od początku budziła moje wątpliwości. Zbyt sprawnie wszystko pani ogarnęła. Załatwiła bilety i lewe paszporty. Ktoś musiał w tym pomóc, bo tego się nie robi ot tak. – Pstryknął palcami. – Myślałem o tym, ale później uśpiła pani moją czujność. Jak długo pani dla nich pracuje? I po co ta cała maskarada z ciotką, skoro wszystko można by zrobić bez zbędnych cyrków?

– Może usiądziemy? – spytała.

– Nie.

Milczała, a Jul pochrapywał. Nie wyglądała już na zdenerwowaną. Na jej twarzy nie tliły się żadne emocje.

– Tak, pracowałam dla pewnych ludzi – powiedziała wreszcie. Mówiła spokojnym głosem. – Ale to się dość dawno temu skończyło. I nigdy by nie wróciło, gdyby...

Przełknęła ślinę.

– Ta gazetka... To... to była prawda... Nie do końca prawda... Mój wuj... To ja go zabiłam...

Zamilkła, jakby sprawdzając, jakie wrażenie zrobiły jej słowa.

– Powiem dlaczego. – Jej głos nagle stał się twardy. Oczy się zwęziły. – Wuj dobierał się do Jula. Rozumie pan, co mam na myśli? Brat mówił mi o tym, ale nie chciałam w to wierzyć. Aż sama zobaczyłam... Zastrzeliłam go.

Uniosła głowę.

– Dalszego ciągu może się pan domyślić. Rzeczywiście, pomógł mi pewien człowiek z przeszłości, że tak powiem. Zaproponował, że wyciągnie nas z tego. Mnie i brata. O ile ja pomogę jemu. Przystałam na to. Więc to nie tak, że pracuję dla nich – zaakcentowała dwa ostatnie słowa. – Pracuję dla niego.

Abramowski milczał.

– Czułam, że prędzej czy później zwróci pan na mnie uwagę. Na dziwną pasażerkę, która skrywa zapewne jakąś tajemnicę. Tylko że ja... ja bardzo szybko doszłam do wniosku, że nie wykonam zadania. Nie otruję pana ani się z panem nie prześpię. Właściwie wiedziałam to już wtedy, gdy mnie pan zdemaskował. A wie pan dlaczego?

Nie czekała na odpowiedź.

– Bo raz w życiu się pomyliłam i uległam namowom. A ja zrobię wszystko, aby żyć na własnych warunkach... Teraz, gdy wybuchła wojna, tym bardziej nie ma to żadnego znaczenia...

Jej głos nabrał goryczy.

– Te kamienie, które mi pan dał, nie miały z tą decyzją nic wspólnego. Nie kupiłby mnie pan. Zaraz! – podniosła głos. – Dokąd pan idzie? Proszę nie wychodzić! Chcę jeszcze...

Osadził go w drzwiach bulgot, a następnie męski głos.

– Proszę zostać z nami.

Każdemu wypowiedzianemu niezdarnie słowu towarzyszył wysięk.

Odwrócił się gwałtownie.

Jul siedział na łóżku z głową zwróconą w stronę drzwi. A więc słyszał, o czym rozmawiali. Mięśnie na twarzy chłopaka, te, które mogły, zaczęły drgać. Juliusz otworzył usta, bezradnie je zamknął i spróbował ponownie.

– Nie zostawiaj nas. Proszę.

Coś ścisnęło go w żołądku. Zamrugał gwałtownie. W głowie kłębiły się dziesiątki niejasnych myśli i obrazów.

– Nie mogę – wyszeptał po chwili. – Nie.

Wolnym krokiem poszedł do pokoju szpitalnego i wykonał ostatnie posunięcie. Wrócił do siebie i spakował rzeczy. Zastanowił się, czy dobrze robi, ufając Corneliusowi. Tego nie wiedział, ale nie miał też większego wyboru.

Kilka godzin później dopłynęli do Buenos. Przywitał ich dźwięk syren. Na nabrzeżu kłębił się tłum. Niektórzy mieli biało-czerwone flagi. Nikt nie spodziewał się takiego powitania. Wieść o wybuchu wojny sprawiła, że statek pod polską banderą witano z honorami.

Obserwował, jak Wolicowie opuszczają transatlantyk. Luscia szła sztywno, a nafciarz niezgrabnie podążał za nią. Bagaże Terleckiego zostały na pokładzie.

Staszewski i Konopacka schodzili po trapie niemal pod rękę. Abramowski westchnął. A więc jednak. Przypuszczał, że ta historia dobrze się nie skończy. Dziewczyna wpadła w sidła. Chyba że w Staszewskim dokonała się na statku jakaś wielka przemiana. Kto wie?

W pierwszym dniu wojny wszystko jest możliwe.

Szachiści, ledwo znaleźli się na dole, wpadli w objęcia płaczących i hałaśliwych Argentyńczyków. Ciekawe, czy Najdorf wciąż miał przy sobie rewolwer. Miał nadzieję, że nie, że wyrzucił go za burzę, chociaż różnie mogło być. Nigdy się tego nie dowie.

Na panią Pedersen czekało dwóch zafrasowanych mężczyzn.

Kołupajło rozglądał się po nabrzeżu, być może upewniając się, czy nie natrafi na dziennikarza, a potem skierował ku taksówkom.

Zaremba i Gombrowicz przemknęli niezauważenie.

Nina opuściła statek w towarzystwie ubranej na czarno ciotki, która ledwo przeżyła rejs.

Nigdy więcej już jej nie zobaczył. Wiele razy, w czasie wojny i później, myślał o jej zielonych oczach. Nigdy jednak nie szukał Niny i nie wypytywał o nią. Nie chciał kusić losu. Kilka razy w snach powrócił Jul. Z wysiłkiem składał słowa, które wczepiły się w jego pamięć i nie dawały spokoju.

A Nina? Była dzielną dziewczyną. Z pewnością sobie poradziła. Takie jak ona nie dają się łatwo zatopić.

On i Cornelius zeszli ze statku ostatni.

EPILOG

– Zanim umrzesz, chcę, żebyś wiedział, jak to się stało, że jesteśmy teraz tu obaj.

Abramowski stał przy oknie.

– Szukałem cię od końca wojny. Na trzech kontynentach. Kilka razy byłem pewien, że trafiłem na właściwego człowieka. Nawet nie wiesz, jaki byłem rozczarowany, gdy okazywało się, że żaden z tych ludzi nie jest tym, którego szukam. Pamiętasz pokój, w którym się w Warszawie spotkaliśmy? Na ścianie wisiały dwa propagandowe plakaty i jedno zdjęcie. Jedyna osobista rzecz, jaką tam miałeś. Stałeś ze złowionym pstrągiem. Pamiętam, że to rzeczywiście był dorodny okaz. To był jedyny ślad po tobie. To zdjęcie śniło mi się raz po raz.

Urwał. Wyjął pistolet i ważył go w dłoni.

– Jedno jedyne zdjęcie. W trzydziestym dziewiątym uciekłeś razem z tym żalonym marszałkiem i jego świtą. A potem ulotniłeś się jak kamfora. Chodziły o tobie słuchy, że pracowałeś na dwa fronty. To wiele by wyjaśniało, ale dla mnie to bez znaczenia. Nie muszę wiedzieć, jak było. Ważne jest tylko to, że gdy zleciłeś mi wówczas robotę, mój brat już nie żył. Zabiliście go. Albo pozwoliliście mu umrzeć. Teraz nie dojdziemy prawdy. O jego śmierci dowiedziałem się w czterdziestym piątym. Próbowałem ustalić przez wiele lat, co się z nim stało, a pomógł mi zwykły przypadek.

Chrząknął. Mężczyzna wiał się na krześle. Bełkotał coś, próbując językiem pokonać knebel.

– Teraz także miałem szczęście. Usłyszałem o mężczyźnie, który mieszka w Argentynie i uwielbia łowić pstrągi. Mówiono, że jest Polakiem, chociaż

gwałtownie się tego wypiera. Wiek się zgadzał. Coś mnie tknęło. Postanowiłem to sprawdzić. Nie nazywasz się już Gajowczyk, nie jesteś Szymonem, lecz Simónem, pracujesz w banku, zmieniłeś obywatelstwo. A później ktoś przysłał mi zdjęcie z argentyńskiego czasopisma dla wędkarzy, jak stoisz nad jeziorem ze złowioną rybą.

Urwał. Gdzieś w oddali przejechał samochód na sygnale. Potem zawył pies.

– Trochę się zmieniłeś, zresztą jak wszyscy, ale rozpoznałbym cię na końcu świata. Ten pstrąg był chyba jeszcze większy od tego, z którym pozowałeś w Polsce. A teraz ja złowiłem ciebie. Też chętnie zrobiłbym zdjęcie, ale nie mogę.

Wycelował broń. Mężczyzna potrząsnął głową. Chciał się poderwać z krzesła, lecz nie mógł.

– Powiedziałaś mi wtedy, żebym potraktował zadanie jak partię szachów. Nigdy nie grałem dłuższej. Ta partia właśnie się skończyła.

Wodniste oczy wpatrywały się w Abramowskiego i błagały o litość.

A przynajmniej bardzo chciał, żeby tak właśnie było.

Gdy było po wszystkim, rzucił broń do jeziora. Zanim uruchomił silnik, oparł rozpaloną głowę na kierownicy. Gdyby ruszył od razu, wyrzwałby w drzewo albo spowodował wypadek. Był w Argentynie trzeci raz. Dwóch poprzednich wizyt nie wspominał dobrze. Za pierwszym razem chcieli poderżnąć mu gardło. Za drugim wybuchła wojna. Trzecią zapamięta jednak zupełnie inaczej.

Było popołudnie, kiedy dotarł do Buenos, i słońce paliło niemilosiernie. Odstawił samochód. Poszedł do hotelu. Po drodze mijał dziesiątki plakatów ze zdjęciem uśmiechniętego Juana Peróna. Krótco przed jego przyjazdem próbowano dokonać zamachu stanu. Obawiał się nawet, czy niepokoje w Argentynie nie zmuszą go do zmiany planów.

Wykąpał się i przebrał. Zapytał recepcjonistę, jak dotrzeć do Café Argentino. Tamten się uśmiechnął. Lokali o takiej nazwie było przynajmniej kilka. Wyjaśnił, o który mu chodzi.

Czekał go dwudziestominutowy spacer. Dostał naprędce narysowaną mapkę, wyszedł na ulicę i wmieszał się w gąszcz przechodniów. Po drodze minęły go dwie ciężarówki wypełnione żołnierzami. Dotarł do jednej z głównych ulic, którą ciągnął się sznur samochodów. Mieszkańcy Buenos próbowali na weekend opuścić miasto.

Bandoneonista kończył grać, gdy wszedł do środka. Od tych, którzy tu bywali, słyszał, że powinien się kierować na piętro. Udał się na górę po wysłużonym dywanie.

Wystarczył rzut oka. Poznał go od razu.

Zgarbiony, siedział sam w rogu sali. Przed nim stały szachownica i zegar.

– Dzień dobry – powiedział po polsku.

Najdorf uniósł głowę. A potem poderwał się z krzeselka. Rozbłysły mu oczy. Nos niemal dotknął podbródka.

– Nie może być... Witam pólmistra! – wykrzyknął. Wziął go w ramiona. – Na Boga, to naprawdę pan! Naprawdę ty! – poprawił się. – Prędzej spodziewałbym się zobaczyć tu Dawida Bronsteina. – Potrząsał Abramowskim. – Co cię tu sprowadza? – zapytał, gdy wreszcie usiedli.

– Przyjechałem w odwiedziny do starego przyjaciela.

– Spotkanie się udało?

Potwierdził.

– Było przesympatycznie.

– À propos starych znajomości... Wiesz, że wpada tutaj Gombrowicz? Czasem zagramy partyjkę.

Abramowski podskoczył jak ukłuty szpilką. Rozejrzał się nerwowo.

– Zawsze zagłada w czwartki, więc dzisiaj go nie będzie – uspokoił go szachista. – Czytałeś ten jego *Trans-Atlantyk*? Bardzo dziwna rzecz. Nie dałem rady. No ale ja nie znam się na literaturze, tylko na szachach i ubezpieczeniach.

– Ciągle tak gada przy szachownicy?

– Papple jak najęty. W ogóle jest w bardzo dobrej formie. Zupełnie innej niż Tartakower. Biedaczek... Nie chcę krakać, ale myślę, że wkrótce... – Zawiesił

głos. – Szkoda gadać. Zostawmy to.

Zamówili butelkę wódki i coś na ząb. Do stolika podbiegł chłopczyk z szachownicą i poprosił, żeby Najdorf złożył na niej autograf. Sprawdzało się to, co Abramowski słyszał o tym miejscu. W tej kawiarni szachista był prawdziwą gwiazdą.

Musiał opowiedzieć mistrzowi, co porabia i jak mu się żyje.

Gdy w trzydziestym dziewiątym przedostał się do Europy, zamieszkał w Anglii. Mieszka tam do dziś. Prowadzi antykwariat na obrzeżach Londynu. Ma nawet półkę z książkami szachowymi. Ostatnio nabył *Das Schachspiel*. Pierwsze berlińskie wydanie z trzydziestego pierwszego. Z autografem Tarrascha, prawdziwy biały kruk, nie na sprzedaż. Trzyma się z dala od emigracyjnego grajdołka, bo to tak, jakby się znaleźć w oku cyklonu. Jeden sztorm przeżyty na oceanie w zupełności mu wystarczy.

Kilka szczegółów pominął. Na przykład to, że Anglicy, o dziwo, w trzydziestym dziewiątym dotrzykali słowa. Pozwolili mu bezpiecznie osiąść na Wyspach. Nie miał wątpliwości, że była to osobista zasługa Roberta Corneliusa. No i waga materiałów, które wówczas im dał, okazała się znacząca. W czasie wojny wykonał dla aliantów kilka małych zleceń. W sumie drobnostka. Na pewno nie było powodu, żeby się tym chwalić. Ani teraz, ani nigdy. Z Corneliusem widział się parę razy po wojnie. Popijali guinnessa i szacowali, ile bramek strzeli Stanley Matthews w kolejnym sezonie.

– Wiesz, dostałem zaproszenie na memoriał Alechina. – Najdorf nappełnił kieliszki. – Na przyszły rok. Do Moskwy. Waham się, czy jechać. Przy okazji mógłbym... mógłbym pojechać tam...

– Do Polski?

Szachista przytaknął.

– Chciałbym... Nie – poprawił się – to nie tak, że bym chciał... Muszę to kiedyś zrobić... Zmierzyć się... Zobaczyć na własne oczy...

W czasie wojny w getcie zginęły żona Najdorfa i mała córeczka. A także rodzice. Właściwie: cała bliższa i dalsza rodzina. Z żydowskiego świata nie został kamień na kamieniu. W Ameryce Południowej mistrz rozpoczął nowe życie. Miał drugą rodzinę. W rozgrywkach szachowych, jako Miguel Najdorf, reprezentował Argentynę i był jednym z najlepszych na świecie. Ogólnie wiodło mu się dobrze. Na ubezpieczeniach zbił majątek. Tyle Abramowski wiedział z zasłyszanych wiadomości.

– A ty? Nie wybierasz się tam?

– Nie.

Najdorf zmienił temat. Wskazał ręką na szachownicę.

– Skorośmy się już spotkali... Może tym razem nie dasz się prosić... Sprawę mi to ogromną przyjemność. Byłem umówiony na kilka partyjek, ale mojemu przeciwnikowi najwyraźniej coś wypadło. – Spojrzał na zegarek.

Abramowski wzruszył ramionami. Właściwie, czemu nie. Od wielu lat bzycząca mucha nie atakowała mu głowy. Było tak, jakby wyleciała przez okno i znalazła inne towarzystwo. Czuł się na tyle pewnie, że mógł spróbować.

– Ostrzegam – powiedział. – To będzie gra do jednej bramki. I na pewno nie sprawi takiemu mistrzowi satysfakcji.

Wylosowali kolory.

Uruchomili zegar.

Abramowski wykonał pierwszy ruch skoczkiem.

– Debiut Rétiego. – Najdorf zerknął na przeciwnika. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o nieodżałowanym Richardzie? Wtedy... Na transatlantyku...

Przytaknął. Oczywiście, że pamiętał. Potem zaczęła się wojna. Czwarta, w której wziął udział. Wprawdzie Stalin umarł dwa lata temu, ale wszystko wskazywało na to, że niebawem rozpęta się kolejna, po której nie będzie już co zbierać. Chyba że ludzkość nauczy się żyć pod atomowym grzybem. Ktoś musiał rzucić klątwę na dwudziesty wiek albo ludzie po prostu nagle oszaleli i postanowili

popęłnić zbiorowe samobójstwo. Obaj, on i Najdorf, byli dziećmi swoich czasów, mocno podstarzałymi, ale jednak, tylko los pokierował ich w nieco inne strony.

Najdorf machnął ręką.

– Zresztą... To się bezpowrotnie skończyło. Tamtego świata już nie ma.

– Dla mnie tamten świat skończył się dziś rano – wymsknęło się Abramowskiemu. Od razu ugryzł się w język.

Szachista zamrugął.

– Słucham? Chyba nie rozumiem...

Abramowski się uśmiechnął.

– To bez znaczenia. Grajmy.

Położył rękę na piersi. W kieszeni marynarki miał kopertę ze zdjęciem. Dwóch chłopaków na łódce trzyma wiosła. Zabrał fotografię w daleką podróż. Od tamtego pamiętnego lata, lata, gdy wybuchła wojna, miał ją zawsze, gdy potrzebował łutu szczęścia.

Potem obaj pochylili się nad szachownicą.

POSŁOWIE

DWADZIEŚCIA DNI NA TRANSATLANTYKU

Zawsze chciałem pisać książki, jakie sam lubię czytać. I tak się składa, że „powieści o szachach” (nawet jeśli królewska gra bywa w nich odpryskiem) cieszą moje czytelnicze oko. Lubię więc *Obronę Łużyna* Vladimira Nabokova, emocjonuję się *Nowelą szachową* Stefana Zweiga (to ostatnie opowiadanie, które austriacki pisarz stworzył przed samobójczą śmiercią w Brazylii), a mój szczególny podziw budzą *Szachownica flamandzka* Artura Péreza-Reverte i *Związek żydowskich policjantów* Michaela Chabona. Pomysł, aby napisać książkę o polskich szachistach, którzy latem 1939 roku płyną na olimpiadę szachową w Buenos Aires, dryfował w mojej wyobraźni od wielu lat, brakowało jednak tej iskry, która wznieciłaby opowieść. Pewnego dnia, zapewne gdzieś u początków pandemii, wszystko się zmieniło.

Zaraz.

Przecież mniej więcej w tym samym czasie na pokładzie „Chrobrego”, który wypływał do Ameryki Południowej w dziewiczy rejs, podróżował Witold Gombrowicz.

I nagle rozmaite motywy zgrały się ze sobą i połączyły w pisarskie co-by-byłogdyby. Co by było, gdyby szachiści i wielki polski pisarz w przededniu wojny płynęli tym samym statkiem? Co byłoby, gdyby dodać im innych towarzyszy podróży spod jaśniejszych i ciemniejszych gwiazd? Gdyby stworzyć statek pełen dziwaków, a nawet szaleńców? W tym samym pandemicznym okresie, po niemal czterdziestu latach przerwy, powróciłem też do czynnej gry w szachy, chwilę

później zaczął święcić triumfy serial *Gambit królowej*, spektakularne sukcesy, największe w historii polskich powojennych szachów, odniósł polski arcymistrz Jan Krzysztof Duda, ale to już nieco inna historia...

Od wielu lat chciałem też napisać powieść, której bohaterem byłby Edward Abramowski. Ten prawdziwy Abramowski. Społecznik, polityk, uczonek, myśliciel, którego *Zmowa powszechna przeciw rządowi* rozpałała wyobraźnię rewolucjonistów w 1905 roku, a inne pisma sprawiły, że stał się on, jak to się dziś mówi, postacią kultową. Zmarł w roku 1918, nie doczekawszy niepodległości. Przeszedł także do historii polskiej literatury: w *Przedwiośniu* – jednej z najważniejszych polskich powieści – pojawia się w słynnej scenie, w której Szymon Gajowiec pokazuje młodzieńskiemu Baryce trzy portrety. Nawiasem mówiąc, jeden z bohaterów *Półmistrza* nazywa się podobnie do Gajowca i nie jest to przypadkowa zbieżność...

Ostatecznie powieści o prawdziwym Abramowskim nie napisałem, stworzyłem jednak swojego. Ba! Czytelnicy mogą dostrzec, że mój bohater uczęszczał na wykłady prawdziwego Abramowskiego. No i chciałem, żeby ten mój był dzieckiem – podstarzałym, jako się rzekło – swoich czasów.

Literatura pozwala testować wytrzymałość historycznej materii i tak też parę razy postąpiłem. Rejs z Gdyni do Buenos Aires rzeczywiście trwał dwadzieścia dni – transatlantyk wypływał do Ameryki Południowej w sobotę, a docelowy port osiągał w piątek. Olimpiada szachowa w Buenos Aires rozpoczęła się w ostatniej dekadzie sierpnia, siłą rzeczy więc mistrzowie sześćdziesięciu czterech pól musieli wypłynąć tam wcześniej. Nie płynęli też z Gdyni: dotarli pociągiem do Antwerpii i tam weszli na statek „Piriapolis”. „Chrobry” z Witoldem Gombrowiczem również wypłynął w lipcu. Z oczywistych względów dramaturgicznych zmieniłem termin rejsu tak, aby finał powieści zahaczał o wybuch wojny.

Co jeszcze? Abramowski nie mógł grać z prawdziwym Najdorfem na Wierzbowej ani w innych wymienionych miejscach (szachista był za młody na włączenie się po lokalach), słynny jasnowidz Stefan Ossowiecki miał nieco inny przydomek niż w mojej powieści, kopulację inwertyną u owadów opisał zaś

Szwed Tord Nyholm, choć równie dobrze mógłby to zrobić profesor van der Vluppen. W przededniu wojny Borges z pewnością nie był ślepy, ale Gombrowicz wie swoje. Książka Jima Corbetta ukazała się po raz pierwszy w Indiach w 1944. Co do reszty: chciałem, aby w *Pólmistrzu* czuć było klimat epoki. To, czy zamiar się powiódł, pozostawiam osądowi Czytelniczek i Czytelników.

Pisałem *Pólmistrza* w wyjątkowo paskudnych czasach. Gdy zacząłem, trwała już wojna, w którą – formalnie w niej nie uczestnicząc – jesteśmy zaangażowani. Mam poważne wątpliwości, czy tak zwana Ludzkość jest pojętną uczennicą historii, nie mam natomiast żadnych, że nie wyciąga wniosków z popełnianych błędów. Tym bardziej warto spoglądać wnikliwie w przeszłość, zanim wykona się sensownie jeden ruch do przodu.

Czytelnikom należy się jeszcze kilka słów o tym, jak potoczyły się losy historycznych – wszelako literacko przetworzonych – bohaterów. Polskie szachy w dwudziestoleciu międzywojennym miały potężnych protektorów, by wspomnieć jedynie marszałka Józefa Piłsudskiego i generała Kazimierza Sosnkowskiego. Wyjazd na olimpiadę do Argentyny był możliwy dzięki wydatnej pomocy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Najpewniej to wsparcie ocaliło życie polskim szachistom. O Mieczysławie (Miguelu) Najdorfie i tragicznych losach jego rodziny piszę w powieściowym epilogu. Jeden z najlepszych powojennych szachistów przyjeżdżał do Polski wielokrotnie, po raz ostatni w 1992 roku, gdy miał 82 lata. Zmarł pięć lat później.

Savielly Tartakower jeszcze w 1939 roku powrócił do Europy, służył w Legii Cudzoziemskiej, a następnie wstąpił do sił Wolnych Francuzów generała de Gaulle'a. Po wojnie w rozgrywkach szachowych reprezentował Francję. Zmarł w Paryżu w 1956. Paulin Frydman prowadził w Buenos Aires kawiarnię szachową Rex, pod koniec lat czterdziestych zrezygnował z profesjonalnej gry w szachy. Zmarł w stolicy Argentyny w 1982 roku. Franciszek Sulik, przeszedłszy szlak bojowy w Europie, po wojnie osiadł w Australii. Grał tam z powodzeniem w szachy do początku lat osiemdziesiątych. Zmarł w Adelajdzie w 1997 roku.

Witold Gombrowicz związany był z Argentyną do 1963 roku. W czasie wojny często zaglądał do kawiarni Rex na partyjkę z Frydmanem. Zdaje się, że w pierwszych argentyńskich latach, nieszczęśliwie pod wieloma względami pożywnych, miejsce to było dla pisarza ważne. O rozgrywkach z Gombrowiczem wspominał także Mieczysław Najdorf, choć brakuje innych poświadczeń tych gier. Ostatnie lata życia autor *Trans-Atlantyku* spędził w Europie. Zmarł w Vence we Francji w 1969 roku.

Ważną rolę w powieści odgrywa biblioteka. Zarówno ta umiejscowiona na statku, jak i rozumiana metaforycznie. Uznałem, że postać Gombrowicza zobowiązuje, i tym samym oprócz klamry gatunkowej – sprawiającej, że opowiadana historia mieści się w jakiejś konwencji – pozwoliłem sobie na dodatkowe literackie nawiasy, szумы, zlepy i tak dalej. Tropienie tychże pozostawiam Czytelniczkom i Czytelnikom, jeśli odnajdą w tym przyjemność.

Tworząc *Pólmistrza*, zaciągnąłem dług u wielu pisarzy i to także jest jeszcze jeden wymiar biblioteki. Wymieńmy tu, w porządku alfabetycznym, następujące książki: *Melancholia*.

O tych, co nigdy nie odnajdą straty Marka Bieńczyka; *Arcymistrzowie. Złota era polskich szachów* Stefana Gawlikowskiego; *W hołdzie Katalonii* George'a Orwella; *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji* Martina Pollacka; *W czerwonej Hiszpanii* Ksawerego Pruszyńskiego; *Moje Nalewki* Bernarda Singera (Regnisa).

Podczas prac nad *Pólmistrzem* życzliwość i wsparcie okazało mi wiele osób. Dziękuję Michałowi Miegoniowi (inneszlaki.pl), który oprowadził mnie po Gdyni i pokazał mnóstwo zakamarków tego pięknego miasta. Sporo smaczków nie wykorzystałem, ale wszystko przede mną. Fundamentalnej pomocy udzielił mi Grzegorz Rogowski, autor świetnej książki *Pod polską banderą przez Atlantyk: m/s „Piłsudski” i m/s „Batory”*. Pięknie się kłaniam pani Joannie Mróz z Muzeum Miasta Gdyni. Ogromne wrażenie wywarła na mnie wizyta w gdyńskim Muzeum

Emigracji. Niewiele jest miejsc muzealnych w Polsce o podobnej klasie i rozmachu.

Dziękuję graficzkę i rysowniczkę Marcie Kosek, szachiście i angiście Janowi Olesiowi, filolożce klasycznej doktor Ilonie Szewczyk oraz dyrektorowi Ośrodka Promocji Kultury Gaude Mater Robertowi „Ościowi” Jasiakowi. Wszyscy są znakomici w tym, co robią, a znaleźli także czas, aby wspomóc mnie swą wiedzą i dodać otuchy.

Nie pierwszy raz – mam nadzieję, że nie ostatni – wydatnie pomogli mi profesorowie Tadeusz Cegielski i Piotr Majewski oraz doktor Paweł Leśniewski.

Dziękuję Pauli i Kindze, żeście pomogły ojcu.

Słowa podziękowań kieruję ku Agacie Ługowskiej i Adrianowi Tomczykowi, redaktorom z wydawnictwa Znak, którzy wspierali mnie na każdym etapie prac. Wielkie podziękowania składam redaktorowi Błażejowi Kemnitzowi.

Kłaniam się mojemu trenerowi szachowemu, mistrzowi międzynarodowemu Igorowi Kowalskiemu.

Przy okazji: zainteresowanych słynnym studium Richarda Rétiego odsyłam na przykład tu: https://en.wikipedia.org/wiki/R%C3%A9ti_endgame_study.

Podziękowania szczególne niechaj przyjmie znakomity autor kryminałów Robert Małecki.

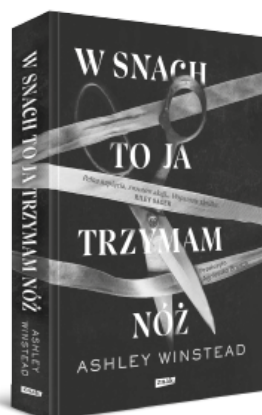
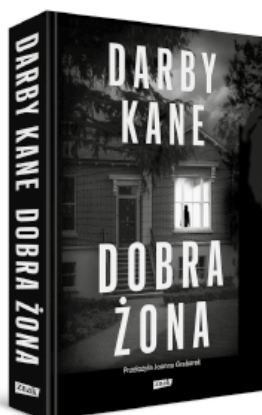
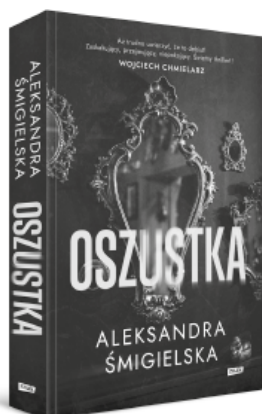
Mariusz Czubaj

Warszawa, 27 września 2022

W SERII ZNAK CRIME UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS:

1. *Półmistrz*, Mariusz Czubaj

NADCHODZĄCE PREMIERY:



© Copyright by Mariusz Czubaj
© Copyright for this edition by Społeczny Instytut Wydawniczy Znak sp. z o.o., MMXXIII
Wydanie I
Kraków MMXXIII

Projekt okładki i stron tytułowych: Michał Pawłowski

Fotografia autora na skrzydełku: Marta Machej

Wydawca serii: Adrian Tomczyk

Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska

Redakcja: Błażej Kemnitz

Korekta: Mirosław Ruszkiewicz, Mirosław Krzyszkowski

Projekt layoutu: Irena Jagocha

Skład i łamanie: MELES-DESIGN

ISBN 978-83-240-6685-8

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink
woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik